SZALEŃSTWO

TEJŻE AUTORKI POPRZEDNIO WYDANE:

	Rb.	k.
O czem się nie mówi. Powieść współczesna. Wyd. II.	1	80
Wodzirej. Powieść. Wyd. II.	1	50
Kaśka Karyatyda. Wyd. II. (w druku)		
Smierć Dulskiego. (w druku)		

GABRYELA ZAPOLSKA

SZALEŃSTWO

POWIEŚĆ

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1910

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Trzymając syna za rękę, Rena weszła w głąb parku.

Od jesieni aż huczało chłodem i grobem. Już liśćmi nie miotło nawet, tylko nagie rózgi gałęzi kładły się jedna na drugiej pokornie i z rezygnacyą.

Rena jednem spojrzeniem ogarnęła wnętrze bocznej alei.

Z daleka czarniała sylwetka. Rena z niesmakiem skrzywiła usta. Przyszła i przyprowadziła dziecko tak, jak to czyniła od lat kilku co trzy miesiące, ale w gruncie sądziła, że przecież, wreszcie, kiedyś, nie zastanie Wendego na zwykłem miejscu.

— Nie mogę mu tego powiedzieć! — myślała — ale mógłby już nie przychodzić, być mniej punktualny. Zerwałoby się to wszystko.

Szła jednak wyprostowana, strojąc twarz w banalny wyrąz. Dziecko dreptało obok niej zgrabnie i ślicznie w nowym, popielatym ko-

żuszku, obramowanym kołnierzykiem z szarych baranków. Twarzyczkę mu zaróżowił wicher, jasna główka tonęła w szarej, sukiennej czapeczce. Nóżki odziane w nowe lakierowane buciki, stawiał Adzio z góry, wgniatając obcasiki w wilgotną ziemię.

Wende nie widział ich. Patrzał w ziemię, siedząc na kamiennej ławce. Ssał srebrną gałkę laski i miał minę szczerze zamyśloną. Zdawało się, że jakiś ciężar tłoczył jego kark szeroki i pełny. Renie wydał się tak skurczony w swojem nowem, granatowem palcie, jakby zebrany, wciągnięty w siebie.

— Starzeje się! — pomyślała z pewną ironiczną radością.

Sama wyprostowała się i przybrała krok bardziej elastyczny. Od rana czuła się jakaś zdrowsza, i neurastenia jej jakby ustępowała. Wiedziała, że jej w żakiecie sealskinowym do twarzy, że wysoki kołnierz miękkiego ciemnego futerka podnosi jeszcze delikatność jej cery.

— Starzeje się...

Podchodzi prawie do ławki. Na szelest kroków wreszcie Wende podniósł głowę. Twarz jego pełna, z prawie nalanym tłuszczem podbródkiem, uderzyła przedewszystkiem jakąś dobrocią dużego Saint Bernard'a o niewielkich, skośnych oczach.

Z kurtoazyą porwał się z ławki i zdjął szybko kapelusz.

Rena skłoniła mu się, nieco zmieszana.

Nigdy nie mogła pozbyć się pewnego wzruszenia, spotykając dawnego kochanka. Było to raczej niemiłe uczucie pewnego zażenowania.

Usiadła na ławce i puściła rękę syna.

— Pobiegaj, Adziu! – wyrzekła do dziecka.

Wende na drugim końcu ławki zajął miejsce, patrząc z ukosa na dziecko. Chciał wyciągnąć rękę do malca i przywabić go zaraz, ale sztywna i wyniosła postawa Reny onieśmielała go, jak zawsze. Nie zawinił przecież niczem przeciw tej kobiecie, bo rozeszli się dobrowolnie i zgodnie, gasząc wspólnie płomyczek swej ukradkowej miłości krótkiemi tchnieniami pośpiesznego zmęczenia. Zawsze jednak Wende czuł się jakby winnym czegoś złego, jakiejś krzywdy — przynajmniej Rena taki ton wprowadziła do ich dobrego stosunku.

Sama także unormowała widywanie się ich regularnie w tym parku, oddalonym od miasta, motywując sucho swe postanowienie.

— Powinieneś pan widywać swego syna. To jedno jesteś mu pan dłużny.

Przyprowadzała mu tego »syna« z początku w wózku, strojnego, jak małego świętego z feretronu, następnie drepcącego koło swych

szeleszczących spódnic. Ruchem nerwowym, zacinając wargi, nakazywała dziecku prezentować się przed swym »ojcem« i siedziała tak, milcząc, ciesząc się jakby w głębi duszy, że ta chwila ma w sobie tragiczną dokuczliwość, targającą za trzewia mężczyznę, którego błędem było zbliżenie się do niej wtedy, gdy nerwy jej szalały, a ona była nadto sama.

Długą chwilę milczenia przecinał tylko czasem krzyk rozpaczliwy kawek, porywających się bez przyczyny z drżących gałęzi brzóz. Dziecko, biegające bezmyślnie przed ławką, podnosiło główkę i z rozwartemi ustami śledziło czarne ptaki.

Wende czynił to samo i uśmiechał się, ale Adzio tego uśmiechu, który był dlań przeznaczony, nie widział.

Rena przybierała coraz bardziej surową minę.

Ściągała brwi i gryzła wargi, jakby cierpiała.

Być może, iż tak było. Cierpiała jakoś w dumie swej kobiecej i w tem dziwnem uczuciu, które im obojgu nie dozwoliło zbliżyć się, gdy byli razem, do tego dziecka, będącego ucieleśnieniem ich tryumfalnych i cudownych bądź co bądź uniesień.

I on, i ona wstydzili się jakby tego żywego krzyku, który lat kilka temu targał nimi tak,

że zdawało się im niepodobieństwem rozejście się i zobojętnienie.

Dziś — nieśmieli zwrócić się całym pędem miłości ku dziecku, on — ojciec, ona — matka, bo światło dzienne, wydobywające na jaw istnienie ich trojga, nie było wystarczające, aby ich uprawomocnić do takiego kroku.

Siedzą — milczą.

Patrzą na dziecko.

Przypadek pomaga im. Oto Adzio potyka się o jakąś gałąź i pada. Porywają się oboje, dopomagają dziecku wstać. Zwłaszcza on z przesadną troskliwością. Ociera mu chustką buciki. Rena w tej chwili myśli, że, gdy Adzio chorował ciężko już kilkakrotnie, ktoś inny czuwał wraz z nią nad istotnem niebezpieczeństwem.

Powstrzymuje nerwowy ruch, pragnąc wyrwać z rąk Wendego malca.

Sucho tylko mówi:

— Nic mu się nie stało. Nie trzeba go roztkliwiać.

Wracają na ławkę, siadają. Dziecko dalej biega po ścieżce.

— Urósł!... — odzywa się nieśmiało Wende.

— Jak dziecko...

— Będzie wysoki.

Chciała mimowoli odpowiedzieć: »Jak ojciec«. — Wstrzymała się. Zwykle tak mówili

jej znajomi, gdy Adzio szedł obok jej męża, odznaczającego się niezwykłym wzrostem.

Spojrzała ukosem na Wendego, wydał się jej jakiś zmalały. Pierwsze wrażenie potęgowało się.

— Pan utył... — rzuciła mu prawie wzgardliwie.

Pokornie zdawał się tłómaczyć.

— Trochę. Mało mam ruchu. Na wsi ciągle się jeździ.

Znów umilkli, ale czuli oboje, że badają się wzajemnie.

— Pani bardzo dobrze wygląda.

Wzruszyła ramionami. Jak każdy człowiek w szponach neurastenii, nie lubiła, aby jej mówiono o polepszeniu jej zdrowia.

— Tak z zimna.

Zaprzeczył.

— Nie, nie. Doskonale. I mały także.

Ironiczny uśmiech wykwitł na jej usta.

— Tak. Dobrze się odżywiamy.

Odwróciła się ku niemu i zaczęła patrzeć z pod przysłoniętych rzęs.

— Pan za to nieszczególnie.

Pochylił głowę i zaczął świdrować ziemię laską.

— Mam mnóstwo kłopotów.

— Jak zawsze?

— O, znacznie więcej.

— Jeszcze!

Machnął ręką i zabrał się do ssania laski. Pomiędzy aksamitnym kołnierzem palta a kapeluszem wydobywał się wałek ciała, pokryty silnie przystrzyżonymi ciemnymi włosami. — Było to bardzo nieestetyczne. i Rena odwróciła znów od Wendego oczy.

— Trzeba się ożenić! — rzuciła mu sucho, tak jakby radziła mu przejść się po alei.

Często mówiła te słowa, jakby nie wiedząc, co mówi. — Zwykle wywoływały gorący protest ze strony dawnego kochanka. — Może właściwie dlatego Rena dawała tę radę Wendemu, aby posłyszeć ten protest.

Sama nie wiedziała.

Dziś jednak Wende milczał.

Rena doznała zdziwienia.

— Trzeba się ożenić koniecznie! — powtórzyła z naciskiem.

Zdziwiła się, że coś w niej przycichło, jakby czegoś oczekiwała...

— Może tak zrobię — wykrztusił wreszcie mężczyzna.

— Co?

— Może się ożenię.

— A!...

Nerwy w niej zatargały się całą siłą. Muskuły twarzy zadrgały. Zaczęła szybko usta przygryzać. Porwała ją jakaś furya za to, iż to wszysto czuje. I zdawało się jej równocześnie, że ktoś jej własność, jej niezaprze-

czoną i zdobytą ciężko, krwawo, wydziera. Przed chwilą Wende był jej nawet przykry do zniesienia, w tej chwili drgało w niej wszystko na myśl, że ma zamiar się żenić.

On nie patrzył na nią. Był mało subtelny i nie umiał wyczuwać błyskawicznych przemian w nerwowych, złożonych naturach. Brał powierzchowne warstwy, a Rena od kilku lat obchodziła się z nim z wystygłą, ironiczną obojętnością. — Słyszał te słowa: »Trzeba się ożenić« — i brał tylko słowa. Cały był w tej chwili skoncentrowany w swym matrymonialnym planie i gotował się właśnie do rozwinięcia go przed swą dawną kochanką.

— Właśnie chciałem się poradzić.

Lecz szelest sukni przerwał mu.

Rena porwała się z ławki i podbiegła do dziecka. Porwała je za rączkę i pociągnęła za sobą. Oczy jej rozszerzyły się i równocześnie zapadły głębiej. Powieki drgały.

Wende wstał także z ławki.

— Pani odchodzi? — zapytał, zmieszany pod spojrzeniem tych oczów, w których migotały silne światełka.

Nie odpowiedziała mu. Patrzyła tylko wciąż, a on odnajdywał jej twarz taką, jak widział kilkakrotnie podczas trwania ich miłości: piękną dziwną pięknością, graniczącą z czemś nieziemskiem, tak silną była moc, płynąca z jej wzroku.

— Pani... odchodzi... — powtarzał machinalnie.

Odwróciła się, pociągając dziecko, przerażone i niepewne. — Zaczęła szybko schodzić aleją ku bramie wejściowej. Pobiegł za nią.

— Nie pozwoli pani się pożegnać?

Widział, że usta jej drgały.

— Pani chora?...

Przyśpieszyła kroku. Dziecko biegło obok niej, nie mogąc nadążyć. Kawki krążyły, wrzeszcząc uporczywie. Kilka listków brzozowych, martwych, zimnych, upadło im pod stopy.

— Adziu! do widzenia!... — pochylił się ku dziecku.

Szarpnęła dziecko.

— Precz!...

Głos jej był tak zmieniony, tak dziwny, że Wende szybko pomknął naprzód, milcząc i podnosząc ramiona.

Rena zatrzymała się chwilę, puszczając go przed sobą. Potrzebowała ochłonąć. Czuła, że widzi źle, że zwykłe jej zaburzenie wzrokowe, następujące przy każdym wstrząsie nerwowym, nadeszło... Drzewa, krzaki, wolne przestrzeni zlewały się w jakieś czarniawe obrzucające się koła. Wpatrzyła się jednak usilnie w niknącą coraz dalej sylwetkę Wendego, starając się wydrzeć go z tej wirującej masy.

— Żenić się będzie, żenić!... — myślała.

Chciała osunąć się na ławkę. Całe światy przeżyte i stłumione ogarnęły ją i zaczęły szarpać zdławionemi strunami jej duszy.

Żenić się będzie...

Jakieś łzy, jakieś skłębienie posuwało się jej z pod serca. Równocześnie ogarniał ją rozpaczliwy gniew. Razem ze łzami zaburzenie wzrokowe ustępowało. Spojrzała w dal. Wende znikł na zakręcie. Nie było go widać zupełnie.

Natomiast przed sobą ujrzała wpatrzone w siebie ciemno-szafirowe źrenice syna. Oparł rączki na jej kolanach, zwykłym sobie ślicznym ruchem. To ją jeszcze więcej podnieciło... W spojrzeniu tem, jakkolwiek barwa oczów różniła się stanowczo od barwy oczu Wendego, zdawało się jej, że tkwi cały tamten, ze swą łagodną pokorą dobrego, potulnego zwierzęcia.

— Ach! wydarło się jej z piersi.

Mimowoli zakryła twarz mufką i cofnęła się, opierając o pień drzewa.

Lecz Adzio nacierał z prośbą.

— Mamuńciu... chodźmy...

I prawie ze łzami już dodał:

— Chodźmy do tatunieczka!

. . . .

Ręce jej opadły.

Tak. Dziecko rwało się w tamtą stronę, gdzie czekał »tatunieczek« — w cukierni, patrzący niecierpliwy, kiedy jego Adzio wtargnie ze stukotem nowych, świeżo kupionych bucików.

A potem iść mają po tę kręgielnię pokojową...

Coś jakby powiało ciepłem na nią i na dziecko.

Powstała.

— Chodź, pójdziemy to tatunieczka!...

Dziecko podskoczyło radośnie.

— Chodźmy!

I poszli.

II.

Wracają do domu we troje.

Brzeziewicz niesie pakunki i prowadzi za rękę Adka. Tak są silnie spojeni temi rękami... Mały uczepiony, a ten starszy prowadzi go, podnosi ku sobie prawie.

Co chwila spoglądają sobie w oczy. Ciągle jakiś prąd przebiega z jednego ku drugiemu.

Rena idzie za nimi, po ścieżce purpurowego dywanu, wyścielającego wschody. Patrzy i dziś specyalnie ten widok tak silnie złączonych rąk męża i dziecka porusza ją strasznem, prawie jej nieznanem uczuciem.

Przed drzwiami zatrzymują się. Mały coś szczebiocze. Służący otwiera drzwi. Ciepło i światło oblewa ich przytulnie. Brzeziewicz rzuca palto. Suchy, wysoki, angielski, ma ruchy delikatne i miłe. Twarz bez wybitnych cech, prawie zatarta.

— Przysłali? — zapytuje.

— Z trzech miejsc! — odpowiada służący,

podając panu szyfrową tabliczkę, na której zapisywać zwykł adresy pacyentów, oczekujących przybycia lekarza.

Rena szybko przechodzi w głąb apartamentu.

W salonie znajduje zwykły nieporządek pokonsultacyjny. Krzesła porozstawiane, gazety porozrzucane. Silny blask elektryczności zalewa salon i przyległą mniejszą poczekalnię.

Całe to wnętrze, tak zawsze sympatycznie garnące Renę w swoje objęcia, dziś przeraża ją prawie tą właśnie przytulnością swoją.

W sypialni zrzuca szybko żakiet. Słyszy, jak Adek targuje się z ojcem.

— Ustaw mi kręgielki! — prosi.

— Muszę iść, synusiu... — tłómaczy się Brzeziewicz. — Ma specyalne timbre głosu. Matowy i jakby ciągle ustawiony na wysokich nutach.

— Ustaw mi kręgielki! — prosi dziecko.

— Muszę iść, synusiu!

Renę uderza to, że mały zupełnie tym samym tonem mówi, jak Brzeziewicz.

— Uczy się od niego, a to jest nieprzyjemne. Muszę go oduczyć! — powtarza machinalnie, zdejmując kapelusz.

— Ustaw mi kręgielki.

— Jak wrócę.

— Już nie pójdziesz?

— Nie wiem...

— Będziemy się bawić! Nie chodź, tatunieczku! — dolatuje to z salonu.

Renę ogarnia przerażenie. Nie, dziś nie może zostać tak we troje w tym domu. Woli już zapaść się w wir ludzi i dotrwać tak do nadejścia snu. Wchodzi do salonu.

— Pamiętasz... mamy iść dziś do kasyna.

— Tak! prawda. Choć wolałbym...

Brzeziewicz ogląda się na swój gabinet, który ciemnem, miękkiem wnętrzem zaznacza się w amfiladzie pokoi, spogląda na dziecko, uczepione mu u ręki. Wolałby stanowczo odpocząć tu, w ciszy i blizkości tego, co wyczuwa jako swoje. Chaos ma w głowie i trochę bólu w karku. Lecz Rena nalega.

— Proszę cię... tak już dawno nigdzie nie byłam!

Cała kurtoazya, jaka jest główną cechą charakteru Brzeziewicza, bierze górę.

— Ależ dobrze. Pójdziemy. Ubierz się tylko.

Podnosi dziecko i całuje je serdecznie, a delikatnie.

Jak kunsztowne cacko, miłośnie i lekko stawia je na ziemi i patrzy jeszcze z poza szkieł swych okularów, które złotą oprawą okalają mu oczy.

— Pa... synku!

Mały drepce za nim do przedpokoju.

— Wrócisz, tatunieczku?

— Niedługo, synusiu...

Patrzą znów na siebie, i całe prądy wymieniają się w tych spojrzeniach. Łagodny uśmiech okala surowe usta Brzeziewicza. Jakaś pobłażliwość, jakieś szlachetne wzruszenie. Mały natomiast, patrząc na ojca, podnosi wysoko twarzyczkę i promienieje zachwytem, jakby cały wydzierał się do oświetlonych czarująco ołtarzy.

Wreszcie Brzeziewicz wychodzi, dziecko powraca do matki.

— Idź do Natalki! — odsyła go Rena.

Mała, czternastoletnia niańka, odziana z pańska, o czarnych, jak węgiel, oczach i cygańskiej twarzyczce, zjawia się.

— Kolacyjka Adzia gotowa! — raportuje z uśmiechem.

— Weź dziecko! — rozkazuje Rena.

Pragnie całą siłą uwolnić się od widoku Adzia.

Sądzi, że zapomni o scenie w parku. Tego pragnie za jakąkolwiek cenę.

To w odstępach trzech miesięcy widywanie się z Wendem naznaczyła sobie, jako rodzaj pokuty za swój błąd, którego przyczyny teraz pojąć prawie nie mogła.

Wracała z tych schadzek, wytrącona z równowagi, zniechęcona jakby do swego domu

i systemu życia, jaki się ułożył powoli, z biegiem czasu.

Potrzebowała zawsze jakichś kilku godzin, aby nie czuć do siebie tej nienawiści, która budziła się w niej po rozstawaniu z Wendem.

Zdawało się jej, że wlecze za sobą jakąś bardzo dobrą istotę i każe jej nurzać się przez chwilę w czemś błotnem, choć to były przecież tylko wspomnienia chwil zapamiętania się grzesznego, jakie mimo jej woli powstawały w jej umyśle na widok dawnego kochanka.

Lecz dziś — to już więcej, niż zwykłe rozdrażnienie i uczucie wstydliwego zgnębienia, pokrytego maską wyniosłej obojętności. Dziś każdy nerw drży w niej, jakby targały go jakieś bezlitośne szpony.

Dobrobyt, cisza przyjazna domu, ciepło, ogarniające miękkiemi ramionami, ściąga w niej kurczowo, zda się, każde ścięgno ciała.

Idzie szybko do tualetki, z za lustra dobywa ciemną flaszkę i przykłada do ust.

— Brom! najlepiej... to jedno.

Pije, już nie wymierzając dozy. Zanadto jest wzburzona. Musi choć chwilowo znaleźć ukojenie.

W pół godziny później pokojowa czesze ją umiejętnie i elegancko. Głęboko falowane włosy piętrzą się, odkrywając kark, nizko porośnięty. Rena patrzy na siebie w zwierciadło,

ale nie doznaje tego uczucia zadowolenia, jakie zwykle towarzystwo jej w chwili strojenia się na bal.

Z dziecinnego pokoju dolatuje ją głos syna:

— Ty się teraz będziesz nazywać Nataliszon, a nie Natalka.

— Dlaczego, paniczu?

— Bo ja tak chcę!

Dumny ton, dumne słowa.

— To źle — myśli Rena — on nie może być dumny, nie może. Nie wolno mu. Korzysta z cudzych łask, z obcych darów. Gdyby się dowiedział, kiedyś, może tego nie przenieść, jeśli w nim duma zostanie. Nie wolno mu... nie wolno...

Lecz równocześnie pokrywa jej myśli pewność.

— Nie dowie się. Skąd? jak?...

Źle jej dziś, strasznie. Odkąd już nie walczyła tak ze sobą, nie szarpała się tak ohydnie.

Jakby z ukrycia wypełzł gad i do nóg jej się przyplątał. Ona uciec nie jest w stanie.

— Nie mogę już znieść tych widzeń... nie mogę.

Służąca wpina we włosy drżącego od świetlanej rosy ptaka. Olbrzymi rajer bladoróżowy wytryska jakby fontanną z iskier metalowych i delikatnie pieści nagą szyję.

Rena sięga machinalnie do kasetki, obciągniętej płótnem, malowanem w bukiety róż.

Na tle zielonego pluszu migocą brylanty. Wyjmuje z głębi dwa piękne kolczyki w formie gwiazd z brylantów najczystszej wody. Delikatnie obciera je płatkiem irchy i wkłada w uszy, które ma drobne i przedziwnej piękności.

— Dostałam te kolczyki od męża... za syna... — myśli, wpatrzona w taflę zwierciadła.

— Ja kolczyki, syn nazwisko...

Coś, jakby gamą tragicznego śmiechu, przesunęło się w jej głębi...

— Co się dziś ze mną dzieje! co się dziś ze mną dzieje!...

Powstała szybko. Sięgnęła znów po brom. Wypiła haust.

Pokojowa zdejmowała z łóżka suknię, zasianą całą srebrem delikatnych blaszek.

Chrzęstem dziwnym, jak zbroja daleko lecącego hufca mistycznych wojennych duszków, podniosła ją w górę i zarzuciła na Renę...

Ta wstrząsnęła się od dotknięcia mnóstwa metalu.

— Ja paniczowi kręgielki ustawię... ja pomogę... — mówi w drugim pokoju Natalka.

Nie chcę! — oponuje Adzio — nie chcę twojej łaski, ja sam!...

— Nie chce łaski... — przewija po głowie Reny — on nie chce łaski.

Ogląda się dokoła. Musi dziś stąd iść, i to najszybciej między ludzi.

Przez otwarte drzwi i przestrzeń salonu widać jadalnię, gdzie służący nakrywa do lekkiej kolacyi. Słyszy brzęk przyciszony sreber i porcelany. Potem dzwonek, elastyczne po dywanie kroki.

To mąż wrócił i idzie się ubierać. Dziecko z krzykiem przebiega pokoje i leci, wołając:

Tatusiek! tatusiek!...

A Rena, zakładając na szyję długi łańcuch, przetykany perłami, myśli:

— A niech się żeni! niech się żeni!... może to i lepiej. Skończy się... zupełnie się skończy...

A tam, w samej głębi, szemrze w niej:

— Jak?... jak? dziecko... przecież dziecko...

Wyciąga rękę.

— Natrzyj mi ramiona pudrem — a dół sukni skrop perfumami.

. . . .

A w głębi szemrze:

Jak? jak się może skończyć! Przecież dziecko, dziecko!...

III.

Krzykliwy szablon kasynowej sali raził Renę tak, że wtułała się w kąt poza filar biały, gładki i ślizki.

Obok niej marła melancholijnie jakaś palma o złośliwych, ostrych liściach.

Rena wyciągnęła rękę, z której zdjęła rękawiczkę, i bawiła się nakłówaniem sobie dłoni tymi śpiczastymi, łamliwymi kolcami.

Patrzyła.

Muzyka grała coś cicho i ustająco. Miało to być omdlenie rozkoszy walca. Smieszne pary szarpały się w kółko, ślizgały. Rena obserwowała, jak dziwacznie zwłaszcza wyglądają ręce kobiet, uczepione u ramienia mężczyzn rozpaczliwie w podrygach konwulsyjnych polki.

Małe, wspólne epilepsye ze zdumiewającą zgodą wykonywały się pomiędzy nieznajomymi. Woń ciał, skrywana chęć głośnego sapania, taksowanie się na blizkość skandali-

czną, wymieniało się w świetle brutalnem i niemiłem, elektrycznych kandelabrów.

Rena uspokojona, a nawet jakby ukołysana bromem, bez poprzedniego podniecenia, z niesmakiem odczuwała ten szablon przeciętnej, zupełnie zbytecznej zabawy.

Chciała »ludzi«, bo lękała się od kilku godzin osamotnienia. Chciała ich jak najwięcej, z ich gestami rozczochranymi, z ich mową niepewną i rozsypującą myśli, które tłuką w skrzydła na alarm i nie grupują się w logiczne węzły, chyba ściągane linewką jakiegoś wyjątkowo skrytego rozumu. Ona ich pragnęła, do nich dążyła, powlokła za sobą znużonego męża i oderwała go od dziecka. Nie chciała jednak widzieć ich śmiesznych i brzydkich, tak jak szastali się przed nią w tej chwili, mężczyźni podobni do stada kuropatw, wykonywających mistyczne zaloty na płaszczyźnie delikatnego blond piasku, obramowanego krepą zielenią jałowcu.

— Nie koją mnie, ale przeciwnie — myślała — wyrwałam się z jakiegoś kręgu szpetoty swojej, lecącej ku mnie szaremi maskami, a oto ukołysana narkotykiem dusza strzępi mi się niesmakiem. Dlaczego skaczą? Dlaczego nie siądą pod ścianami, w pięknych hieratycznych pozach i nie milczą, gdyż właściwie gdaczą, a nie mówią... A potem — ta elektryczność. Banalna, impertynencka i głu-

pia. Gdyby ode mnie zależało, sale balowe byłyby tylko oświetlane setkami świec, świec, świec...

W myśli umieszczała w kandelabrach i pająkach, z których zwieszały się szkaradne gruszki z esikiem płonącym we środku, całe krocie, całe tysiące świec. Przechyliła w tył głowę. Była bardzo tak piękna.

Matowość jej cery i szyi aż biła swą bielą. Długie rzęsy chorobliwie ocieniały powieki, wzniesione ku górze. Ręce miała nieruchomo ułożone na kolanach. Każda najdrobniejsza część jej ciała była ułożona w piękną linię i harmonizowała z resztą. Ona jedna właściwie była tu najpiękniejsza z pomiędzy wszystkich. Nikt nie miał tej troski o utrzymanie w harmonii swego zewnętrznego kształtu.

Odziali się starannie i kosztownie, i temu to odzieniu zostawiali staranie o to, aby podnosiło ich piękność. Rena zaś upiększała raczej swój strój, a nie strój ją upiększał. Dlatego — odsunięta na uboczu, śledziła raczej w swej imaginacyi poczęte bukiety świec złocistych, które umieszczała kolejno w świecących i mieniących się tęczowo kandelabrach.

Czyniła to także, chcąc całą siłą woli zagłuszyć w sobie myśli, które zdawało się jej, że razem z suknią spacerową zrzuciła ze sie-

bie i pozostawiła w domu. Te myśli ciężkie i tłoczące.

Wende — — — dziecko.

To wszystko razem.

Zaszumiało koło niej. Jakaś wysoka, jasno ubrana kobieta usiadła przy niej. Była to także jedna z tych kobiet Whistlera, wysoka, o prawie nieproporcyonalnie małej główce, jak Rena. Siwa już była i pachniała silnie werweną. Złote okulary opierały się na jej kształtnym nosie.

Wyraz zaciętości zamykał jej męskie i przywiędłe usta. Cerę miała zniszczoną i szarą. Kobieta ta nosiła w sobie przeszłość jakiejś walki, którą musiała stoczyć sama ze sobą w cichości. Dziś dumna była i spływała w tej dumie, jak w delikatnych zwojach bajecznego koronkowego szala, który dawną modą z ramion jej spływał. Szal ten zaczepił się o gałęzie palmy. Dama pochyliła się i białemi, jak z wosku, rękami, które drżały lekko, zaczęła delikatnie i niecierpliwie koronkę odczepiać. Rena, mimowoli zainteresowana pięknością koronki, schyliła się także.

»Vous permettez, madame?«

— O!... dzięki!

Dama podniosła schyloną głowę, i Rena mimowoli się zdziwiła.

Jakto? ciocia?... tutaj.

Przywitały się. Okęcka była na raucie od

początku wraz z Jagą. Nie widziała Reny. Przyjechały od kilku tygodni. Wybierały się codzień do Reny, ale czas leciał. Wyjeżdżają niedługo.

— Gdzież Jaga?

— Tańczy.

Okęcka mówiła, nie patrząc na Renę. To był jej zwykły sposób wymieniania myśli. Kryła się za szyby swych okularów i ciskała krótkie słowa. Przytem ta »obywatelka« nie aprobowała wyjścia za mąż Reny za doktora medycyny.

Wykopaliska do tej chwili istnieją ze zdumiewającą wytrwałością. Wieś dostarcza ich w najdoskonalszym gatunku.

Rena te krótkie dwa zdania umieściła natychmiast w kącikach ust swoich, gdy zabierała się do dalszej wymiany zdań z Okęcką. Obie teraz miały w sobie zapasy ironii i dumy, które wymieniały z komiczną powagą siedzących na kamieniu bazyliszków.

Jaga może robi wyprawę? — zapytała Rena.

Jaga nie miała posagu.

Dlatego nie była kochana.

I dlatego nikt jej nie kochał.

Okęcka pokręciła głową.

— Jeszcze nie...

Jeszcze? a więc jest nadzieja?...

— Och! Jaga ma jeszcze czas. Ale, jeśli taka będzie wola Boża...

— Sądzę, że raczej wola konkurenta...

Okęcka poprawiła okularów.

— Jesteś zawsze jednakowa.

— Jakto?

— Bluźnisz.

— Ach, ciociu! na co te wielkie słowa. Sądzę jednak, że Bóg jest za wielką figurą, aby miał aż prowadzić kantor stręczenia małżeństw.

Okęcka obejrzała się dokoła.

— Lękam się, czy kto nie słyszy.

— Miema obawy. Wszyscy, nie wyłączając Jagi, skaczą przed sobą, jak Indyanie, aby się wydać jak najlepiej. Któż to jednak jest ten zięć »in spe« cioteczki? Z pewnością coś ze wsi.

Okęcka znów poprawiła okulary.

— Nie coś, ale ktoś... to pierwsze. Chłopiec najlepszy, zdolny, prawy, zacny, z dobrego gniazda.

— Tak, to wiadome.

— A przytem Jaga zostanie niedaleko Zaleszyniec, wśród swoich, na wsi, w swoim świecie. I to coś znaczy.

— Tak... Choć wie ciocia, lekarze teraz zarabiają więcej i lepiej, niż gospodarze wiejscy.

Na usta Okęckiej wypłynął wyraz nieokreślonej pogardy.

— Możliwe...

Orkiestra zagrała pobudkę do kadryla. Rena przypomniała sobie, że jeden z kolegów jej męża ma być jej tancerzem. Zaczęła powoli nasuwać rękawiczkę.

— Będziesz tańczyła? — zdziwiła się Okęcka.

— Tak!

— Ja już nie tańczę.

— Szkoda.

Pary formowały się powoli. Rena zaczęła z upragnieniem wyglądać swego tancerza.

Obecność Okęckiej drażniła ją. Tę pychę dziwną i śmieszną, tę suchość drewnianego bożka byłaby zniosła, jak znosiła obok siebie obecność filaru, ale zaczęły w niej grać inne pobudki. Coś — z ubiegłych w Zaleszyńcach chwil przedzierało się przez gąszcz obojętności, jaki Rena chciała gwałtownie w tej chwili wznieść dokoła siebie.

— Zaleszyńce... maluchne, nizkie oficynki z sionką, w której spało całe gniazdo szczeniąt i daleko w sadzie po nocy grał kucharz na harmonii jakieś cygańskie melodye.

I... to wszystko...

Lodowy powiew spłynął na obnażone ramiona Reny. Powstała z miejsca.

Nie mogła usiedzieć dłużej obok Okęckiej.

— Idziesz?

— Tak. Oto zbliża się mój tancerz.

Odeszła, dzwoniąc krociami blaszek, któremi była naszyta jej tunika. Opadały z niej, a ona je siała po posadzce, jak roje miniaturowych, błyszczących gwiazd.

Okęcka śledziła ją surowo.

— Tancerza ani śladu. Zawsze kłamie i dekoltuje się bezczelnie... — myślała, poprawiając okulary.

Rena tymczasem zmieszała się z tłumem tancerek. Mijała swe znajome panie, które przeważnie już kierowały się do miejsc, wyznaczonych im w formujących się kontredansowych rzędach.

— Zaleszyńce... Zaleszyńce... — drgało w głębi duszy młodej kobiety.

Rozstępowano się chętnie przed jej pięknością i błyszczącą toaletą.

— Doktorowa Brzeziewicz... — szeptano tu i ówdzie.

Nie słyszała.

— Zaleszyńce,.. i on... znów on... koło olbrzymich krzaków bzu i jaśminu objeżdża powoli na linijce, zaprzężonej w złocistego araba własnego chowu.

Ona stoi we drzwiach oficynki i patrzy przez opadające nizko gałęzie dzikiego wina.

On podnosi czapeczkę, uśmiecha się — kła-

nia — znika w tumanie kurzu, ktoś woła z ganku: panie Wende!...

Rena zatrzymuje się zdezoryentowana na drugim końcu sali.

Znalazła się aż tutaj. Jakaś drobna ręka kobieca ujmuje ją pod ramię.

— Rena!

Panna wysoka, złota blondynka, o dużych rumieńcach, małych zielonych oczach i dowcipnym i przemiłym nosku, stoi obok niej. Jest świeża i sympatyczna. Ma ładne, pokorne wyciągnięcie szyjki. Jest to Jaga, córka cioci Okęckiej w okularach. Niema w niej jeszcze drewnianej dumy matki, przeciwnie, panienka robi wrażenie, jakby chciała przeprosić za zbytnią arogancyę, bijącą promieniami z obywatelskiej godności jej rodzicielki.

Ale Rena nie lubi Jagi w tej chwili, nie lubi jej, jak wszystkiego, co ją do Zaleszyniec pociaga. Nie chce, nie chce mieć z niemi nic wspólnego. Bo oto znów przed nią groza i to, co może jej spokój rozszarpać i podminować zupełnie.

— To ty? — mówi, oglądając białą sukienkę panienki tępym wzrokiem — dobrze jesteś ubrana, choć po co masz tę wstążkę na szyi.

— Widziałaś mamę?

— Ach: Boże! tylko ją widać na sali.

Na twarzyczkę Jagi wybiegły płomienie.

— Mama przecież ubiera się zawsze bardzo dystyngowanie i bardzo dyskretnie.

— Ależ nie przeczę. Tylko ta jej dostojność tak przeraża. Obnosi ją, jak monstrancyę.

Jaga cofnęła się i przygryzła usta.

Och! Reno!...

— Tak. Bluźnię... wiem... Trzeba było zostać w Zaleszyńcach... tam się nie bluźni... tam się tylko popełnia najuczciwsze, najdoskonalsze czyny... Tam nikt nie grzeszy... nigdy... co?... jak myślisz Jaga?...

Głos Reny drżał. Oczy jej pociemniały. Jaga przysunęła się do niej.

— Reno, co tobie?

— Mnie? nic. Tak, ot... zobaczyłam ciebie, mamę... przpomniały mi się Załeszyńce, park... niebieskie świerki... co? i potem ta atmosfera przeczysta... bajeczna... Ale ty nie stój koło mnie. Jeszcze jaki kolega mego męża, lekarz, koło nas zakręci się — i nieszczęście gotowe...

Odsuwała Jagę wachlarzem, śmiejąc się ironicznie.

Jaga miała minkę szczerze zmartwioną.

— Ja się o to nie boję... — wyrzekła — przykro mi, że ty jesteś jakaś dziwna...

Do Reny zbliżył się jej tancerz.

— Służę pani.

Uprowadził ją.

Brodę miał złoto-rudą i ślicznie pachnącą. Ten zapach przyprawiał ją o zawrót głowy. Chciała go prosić, aby odszukał jej męża, i zamierzała wracać do domu. Zmieniła jednak zamiar. Zlękła się ciszy swego pokoju, swych myśli, wszystkiego.

Tańczono.

Rena machinalnie przechodziła, wracała, obracała się w kółko. Wsłuchiwała się w dziwny szmer metaliczny blaszek swej sukni. Pragnęła się tem zagłuszyć. Tancerz jej był zakochany w sobie, i to uwalniało ją od znoszenia jego rozmowy.

Niecierpliwie liczyła figury.

— Oto szósta.

W łańcuchu puszczono w ruch całą bandę. Wykręcając się, podawano sobie ręce, a oczy niektórych tańczących robiły wrażenie ludzi nieprzytomnych.

Rena wyczerpana, szła w takt, jakby gnana rózgą. Te ręce wyciągnięte ku niej, które ujmowały jej palce po to, aby je puścić natychmiast, robiły jej wrażenie automatów.

Z obojętnością wypełniała tę czynność, nie patrząc na migocące się przed nią twarze. Nagle coś jakby nią lekko targnęło nieprzyjemnie. Spojrzała. Przed nią wyfraczony, w białej kamizelce szeroko wyciętej dreptał Wende.

— A...

Puścił jej palce i poszedł dalej do następnej tancerki. Ona znów swoją drogą balansowała w kole. Nie wiedziała, że jest na raucie. Teraz rozszalało się w niej wszystko. To popołudniowe widzenie się z nim i wrażenie, jakie ze sobą od tej chwili dźwigała owładnęło nią z całą mocą, spotęgowane majakami z Zaleszyniec.

— A co... a co... — powtarzała sobie machinalnie, suwając się, jak lalka, w tanecznych figurach.

Wreszcie kadryl się skończył.

— Proszę... zechciej pan odszukać mego męża! — prosiła zdławionym głosem — i przyślij go pan do mnie.

— Ale państwo nie odjeżdżacie? — pytał piękny neurolog z taką trwogą, jakby mu co na tem zależało.

— Nie wiem!... tylko proszę!... tu czekać będę.

Usunęła się i usiadła w drugim rzędzie krzeseł w zupełnym cieniu. Tańczący rozchodzili się po sali, damy siadały, mężczyźni zbijali się w czarne, ponure grupy, jak stado kawek na słońcu.

Rena cisnęła ręce do piersi, bo czuła nerwowe drżenie serca. Pragnęła całą duszą, aby pozostala tak w kącie nieznana i nie widziana.

Lecz nagle z poza jej pleców wysunęła się biała postać Jagi.

— My tu... panie Czesławie! A! oto Rena. Przyjemnie panu się będzie przywitać z dawną znajomą.

Jaga pod ręką trzymała Wendego.

Stanął przed Reną niezdecydowany.

Szybko młoda kobieta odparła:

— Już eśmy się witali.

— Tak? — zdziwiła się Jaga — nic mi pan o tem nie mówił.

Usiadła obok Reny. Ta dostrzegła, że Wende trzymał w ręku wachlarz panny Okęckiej i jej woreczek z białego jedwabiu, wyszywany srebrem, Ten drobiazg uderzył ją.

— Jesteście razem? — zapytała suchym, bezdźwięcznym głosem.

— Przyjechaliśmy na raut razem — szczebiotała Jaga — tak mało mamy tu znajomych. Gdyby nie pan Czesław...

— I ze wsi przyjechaliście razem?

— Tak.

— I odjeżdżacie razem?

— Tak.

Panienka głosiła to jakby tryumfalnie. Rena zmrużyła oczy, cofnęła się, rozparła i patrzyła kolejno na oboje.

— Jak się to dobrze złożyło... — zaczęła powoli i urwała.

— Co?

— Wasz przyjazd i pewna sprawa, którą miał pan Wende do załatwienia.

Jaga uśmiechała się głupkowato. Wende gryzł usta i kręcił łańcuszkiem torbeczki w denerwujący sposób.

— Pan znów będzie tutaj za parę miesięcy? — pytała Rena.

— Och! za parę miesięcy? — wykrzyknęła Jaga.

— Cóż za parę miesięcy?

— Kto to wie...

Teraz już Rena była pewna, że ten »młody człowiek z dobrej rodziny«, którego Bóg przeznaczał Jadze na męża, był właśnie Wende — nie kto inny.

Jakby pożar rozpłonął nagle w jej wnętrzu. Każdy nerw drgał w niej osobno. Nienawidziła tych dwoje wszystkimi fibrami duszy.

— Cóż to?... jakieś projekty — wycedziła, patrząc bystro w twarz Wendego.

On oczy spuścił, nogi podkurczył — przybrał wyraz pokorny i prawie dziecinny. Tłuste swe ręce miął z zakłopotaniem. Nie potrafił hardo podnieść głowy i spojrzeć w oczy tej kobiecie, z którą wiązały go delikatne, prawie mistyczne już cienie chwilowego zapomnienia.

Milczeli teraz, odgrodzeni jakby od reszty

tłumu siatką tajemniczą powstającego między nimi węzła.

Nagle zamajaczyła przed Reną wyniosła postać Brzeziewicza.

— Jedziemy?

— Tak.

Rena powstała szybko.

Jaga przywitała się z doktorem. Wende, jakby oszołomiony, cofnął się w bok cokolwiek. Jaga, która jakby uczuła nienawiść, pędzącą ku niej całą falą ze strony Reny, jak osoba, dobrze wychowana, uznała za stosowne się zdziwić.

— Jedziecie?

Rena otuliła się w długą gronostajową zarzutkę.

— Tak... śpieszymy do naszego dziecka! — odrzuciła szybko tak ostrym głosem, że aż sama się go przelękła.

Zaakcentowała silnie bowiem ostatnie słowa.

Oczy jej spotkały strwożony wzrok Wendego.

IV.

Gdy szła przez salę, ku przedsionkowi, zdawało się jej, że popełniła coś fatalnego, jakby zdarła z siebie maskę, jakby uderzyła w głośny dzwon, wieszczący jej domową hańbę.

Nie stało się przecież nic. Szła przez tłum, wsparta na ramieniu męża, który prowadził ją z uszanowaniem.

Przyjął jej wykrzyknik, jak rzecz naturalną. Szli do »ich dziecka«, śpieszyli się nawet. W karecie siedzieli, jak zwykle, milcząc. Tylko Brzeziewicz przecierał okulary delikatnie, przyglądając się im z pod oka.

Rena, otulona w długi, jasny płaszcz, oszyty szynszylami, cofnęła się w róg powozu.

Od kilku chwil, jak zbrodniarz, czuła potrzebę mówienia właśnie o Wendem...

— Mówiono o kilku maryażach na sali!... — zaczęła jak we śnie.

— Tak? — któż?

Czuć było, że Brzeziewicza bynajmniej ta wiadomość nie interesuje. Przez grzeczność jednak podtrzymywał rozmowę.

— Jaga...

— A...

— I wyobraź sobie — Wende.

Lecz Brzeziewicz odparł, nakładając okulary.

— Nie znam...

Jakaś ironia porwała ją. Wydała jej się sytuacya komiczną w swym tragizmie.

— Wende, Czesław Wende! — powtarzała uparcie.

— Nie znam.

— Jakto? W Zaleszyńcach? U ciotki Okęckiej? ten, który był wówczas na praktyce, syn dalszych sąsiadów... nie pamiętasz?

— Nie. Byłem w Zaleszyńcach na krótko. Przyjechałem po ciebie. Wyjechaliśmy zaraz.

— Tak... ale on tam był. Nie mogłeś go nie zauważyć. Śmieszny. Kurczy się tak, jakby się czegoś bał. Utył teraz... miał dziś guziki turkusowe przy kamizelce i takie same spinki. A potem jest to zły i obłudny człowiek. Cierpieć go nie mogę. Jestem przekonana, że zdolny byłby do najpodlejszego czynu... Tak! jestem przekonana.

Brzeziewicz odparł:

— W takim razie należy ciotkę Okęcką uprzedzić.

— Po co? właśnie niech się pobiorą. Takich dwoje dla siebie stworzonych. I Okęcka stara na dodatek. Co za śliczne towarzystwo.

Szyba u powozu spadła ze stukiem. Brzeziewicz zaczął się męczyć z podniesieniem ramy. Prąd zimnego wilgotnego powietrza wpadł do wnętrza karety.

— Zasłoń szyję! — upomniał — jesteś rozgrzana.

Lecz Rena uparcie odparła:

— Tem lepiej!

Nie słyszał jej słów. Wjechali w źle brukowaną ulicę, turkot był straszny.

Renie stanęły w oczach łzy.

Nie czuła ich bólem, lecz jakiemś uczuciem nieokreślonem, złożonem, dziwnem, z którem się zaczęła porać, jakby z jakąś siłą widomą i cisnącą się ku niej z całym gwałtem.

— Precz! precz! — myślała.

. . . .

Gdy weszli do mieszkania, owiał ich znów ciepły dobrobyt zacisznego kąta, w którym głównie dominuje elegancka czystość ludzi, umiejących chodzić koło swej egzystencyi.

— Jutro, o siódmej — wydawał dyspozycye Brzeziewicz.

— I konie? — pytał służący.

— Nie.

W salonie zatrzymali się chwilę. Na gierydonie paliła się lampa, przyćmiona dużym abażurem z purpurowego jedwabiu. W świetle tem Rena, z której spadała na biodra gronostajowa szarfa w swej lśniącej łusce, owijającej ją wężowymi skręty, przybrała pozór fantastycznej postaci.

Brzeziewicz zbliżył się do lampy i przeglądał kilka listów, które dał mu służący.

Rena patrzyła na jego ręce delikatne, długie, białe, z dziwnie powycinanymi paznokciami, ręce charakterystyczne i wyjątkowe, które wysuwały się z purpurowego światła w krąg jasny, jakby jakieś fantastyczne, odrębne istoty. Przypomniała sobie, jak bardzo w pierwszych miesiącach poślubnych kochała te ręce, tuliła je, pieściła i całowała.

Dziś — patrzała na nie prawie wrogo. Dziś wyjątkowo. Bo — już do tej chwili dzisiejszej — obco.

Tylko teraz — wszystko było wrogie, ohydne, przejmujące ją dreszczem wspomnień splątanych i skłębionych ze sobą.

— Pójdę do dziecka! — rzuciła, idąc szybko w stronę dziecinnego pokoju.

— Ja tam zaraz przyjdę — odparł Brzeziewicz, składając listy do koperty.

Żałowała teraz, że powiedziała te słowa.

Szybko przemknęła się przez pokój dziecka. Zbudziła Natalkę, drzemiącą w ubraniu

na sofce pomiędzy porozrzucanemi zabawkami. Kazała jej iść spać do kącika za parawan, w którym stało jej łóżko. Dziewczyna powlokła się wpół przytomna, uśmiechając się mocą nałogu.

Rena patrzyła za nią chwilę. Było to dziecko miłości dawnej pokojówki jednej z jej kuzynek. Matka jej zaglądała czasem do miasta, do Natalki — lecz rzadko. Była to dziwnie wyszczekana chłopka z Nowo-Sądeczczyzny. Rena uciekała od jej skrzekliwego, niemiłego głosu. Czasem słyszała, jak Wajdówna mówiła głośno i dużo, czy w garderobie do sług, czy w dziecinnym pokoju do dziecka. Lękała się zbliżenia do tej dziewki o pomiętych rysach, której twarz roześmiana sprytnie migała w fałdach chustki.

Rena nie przyznawała się, nie chciała nawet analizować, co właściwie odtrącało ją od matki »Nataliszona«.

Lecz czasem przesuwało się to mimo jej woli:

Dzieci miłości!

Tak jak w tej chwili.

To uśpione w biało lakierowanem łóżku i to wlokące się do swego kąta grzeczne, potulne, już wytresowane.

Rena pochyliła się i zaczęła składać zabawki.

— Nieporządny jest... — myślała — nabiera

to znów od mego męża. Trzeba wyplenić, wyplenić.

Zabawki, przeważnie konie, biczyki, siodła, wózki, zapełniały pokój.

— I to trzeba wyplenić... to zamiłowanie do koni... To ma znów z ojca... ze wsi... z narowów koniarskich...

Z zaciętością wrzuciła konie i bicze w kąt pokoju.

— To wyplenić przedewszystkiem, to... — szeptała półgłosem tak, że Natalka wyjrzała z poza swego parawanu, czarna, dziwna w swej prostej koszulce.

— Wielmożna pani co mówi?...—zapytała.

Rena wyszła szybko z pokoju.

V.

Przez szklane szyby drzwi, łączących pokój Reny z pokojem dziecka, Brzeziewiczowa patrzy tępo na męża, pochylonego nad łóżeczkiem małego.

Jest to codzienny gest Brzeziewicza, i Rena czuje, że ta chwila drogą i cenną jest w dniu jego, jak żadna. Tyle miłości, przywiązania i wzruszenia jest w linii całej postaci, zgiętej ponad bielą pościeli, wśród której złocą się gęste loki dziecka i ciemnieje jego bezzębna, otwarta zawsze buzia. Jakaś cisza i uspokojenie spływa w tej chwili w ściany tego domu. Czuć, że cała wiedza i praca, wszystkie wysiłki nerwów myśli i mięśni, to, co tworzy podwójną, bo dobrowolną i przymusową pracę Brzeziewicza, koncentruje się u stóp tego białego łóżeczka, w którym spoczywa senne, bezwładne ciało chłopca. Jakby przyniósł mu w ofierze wysiłek całego dnia i złożył kornie w milczeniu i ciszy.

Zwykle Rena wchodziła równocześnie do pokoju Adzia i stawała obok męża.

I ona czuła się jakby usankcyonowana i podniesiona szlachetną pięknością tej chwili. Jakby modlitwą rozjaśniało się jej serce. Matką wtedy była — tylko matką — nie żoną, nie kochanką.

Nie pamiętała, że dziecko to poczęła w chwili zapamiętania. Czuła tylko, że je poczęła i zrodziła. Oderwało się od niej, jak kwiat z łodygi, i oto leży drobne i bezsilne. Opieki i miłości pragnie. Dać mu ją trzeba, i sprawia to jej rozkoszne miłe wzruszenie. Lecz co jest najdziwniejsze w splocie tych uczuć: oto obecność męża dopełnia jakby i podnieca jej nastrój, ogarniający ją w chwili pochylenia się nad łóżkiem synka. Gdy kilkakrotnie Brzeziewicz, jakkolwiek nie specyalista od chorób wewnętrznych ani dziecinnych, wzywany był na konsylia do gorączkujących dzieci i powróciwszy wstrzymał się od zajrzenia do pokoju dziecka, Rena sama zbliżała się do śpiącego Adzia. I wtedy zdało się jej, że ktoś wyrwał jej z ramienia jedno wielkie, piękne skrzydło, pod które dziecko jej chroniło się bezpiecznie.

Ten mąż (nie ojciec) był przecież pełną, silną opieką, tą opieką konieczną, której ona sama nie tworzyła dostatecznie i nigdy stworzyć nie mogła.

Lecz dzisiejszej nocy Rena uczepiła się tylko drzwi swej sypialni i przez szyby, z których odsuwała jedwabne zasłony, patrzyła na stojącego nad Adziem męża. Wyniosły, smukły, poważny, miał wielkopańską cechę, pomimo mieszczańskiego pochodzenia. Jakiś czar łagodności trochę obłudnej otaczał go i w połączeniu z fluidem, silnie promieniującym, a który to fluid był główną tajemnicą jego oddziaływania na nerwy pacyentów, czynił z Brzeziewicza wyjątkową i pociągającą indywidualność. Zwłaszcza kobiety przywiązywały się łatwo do lekarza, i magnetyczny prąd, który płynął z jego rąk i oczu, działał nań kojąco, lub wydzierał szponom melancholii nieokreśloną potęgą.

I Rena, patrząc tak z oddali na męża, tego męża, którego zapragnęła całem szaleństwem rozprężonych nerwów, wtedy, gdy jako pannę przywieziono ją do miejsca kąpielowego dla uspokojenia budzącej się w niej zbyt gwałtownie kobiecości, z goryczą zawodu z głębin przeszłości odczuwa tłoczące się ku niej wspomnienia.

— Ma, na co zasłużył... — tłómaczy się w duchu — ma, na co zasłużył.

Zapuszcza firankę. Nie chce więcej widzieć tego wnętrza, napełnionego słodyczą szlachetnego ojcowskiego uczucia.

— Ma, na co zasłużył.

Osuwa się na stojący obok drzwi fotel.

— Tak... lepiej, przypomnę sobie wszystko. Doznam ulgi, rozgrzeszę siebie. Jeśli jest kto podły z nas dwojga... nie ja! nie ja!..

. . . .

Lata pierwsze małżeństwa. Lata. Przewalczone pójście za tego lekarza, którego sprowadzono do niej w chwili jakiegoś ataku, graniczącego ze stale ponawiającymi się skurczami histero-epileptycznymi.

Szybko Brzeziewicz starał się ogarnąć sytuacyę. Zdawało mu się, iż zrozumiał tępy i spóźniony rozwój kobiety.

Zagarnął szalejącą nerwową nędzarkę pod łagodny swój wpływ. Na białej pościeli, z masą rozrzuconych włosów tragiczna była i powabna. Był to, zdawało się, tylko węzeł pacyentki i lekarza. Lecz powoli dziewczyna każdem tętnem przywiązywała się do tego człowieka.

On, spracowany, w nawale trosk zaczął znajdować jakąś ulgę, jakieś odświeżenie w przebłyskach czegoś więcej, niż zwykłych namiętnych pościgów histerycznych, których był do tej chwili przedmiotem.

Ta panna z dalekiego Podola, krwi półarystokratycznej, owiana jakby wonią dojrzewającego zboża, ubrana własną modą w wyszywane bluski i paski z czerwonej

wełny, gdy podniosła się z łóżka, zaimponowała mu wzrostem i chodem, trochę chwiejnym, pełnym niedbałego wdzięku. Przytem »wzięcie jej« było tak różne od ogólnego »wzięcia się« kobiet, które przesuwały się przez jego gabinet konsultacyjny, następnie ta walka heroiczna, jaką staczała z bezwiedną siłą chorobliwą, jaka szarpała jej nerwami, czyniła z niej raczej jakąś ofiarę przeznaczenia, przemawiającą silnie do jego serca.

Oddał się więc jej cały ze swą wiedzą i gorliwą opieką, zacieśniając bez woli może to, co splatało się pomiędzy nimi dwojgiem w jasno bardzo stawianą kwestyę.

Ona uczepiła się poprostu instynktownie tych jego rąk, które łagodnymi gestami dotykały jej skroni, szyi, a w chwili ataku oplątywały ją siecią kojących wrażeń.

I gdy skończył się sezon kuracyjny i Rena miała wraz z matką wracać na wieś, na Podole, porwała ją rozpacz na myśl, że zacznie się dla niej życie bez zjawiania się w niem codziennego i koniecznego człowieka, który zdawał się w rękach swoich trzymać wszystkie nerwy, ożywiające jej istotę.

Bez namysłu, z jednym szlochem w piersi wpadła do gabinetu Brzeziewicza.

Tam — nie znalazła słów. On, zaskoczony, przerażony tym wybuchem, bez zoryentowania

się i zastanowienia zaofiarował jej małżeństwo, jako jedyną możliwą drogę pozostania razem. Radosny okrzyk Reny był odpowiedzią. Trudno określić, ile i co mieściło się w tym okrzyku. Lecz przeważała tam ulga, jaką odczuły doprowadzone do rozpaczy nerwy, lękające się, że pójdą znów samopas i błądzić będą, walcząc z tą niewidzialną hydrą, która zwłaszcza w dnie słotne stalowymi pazurami szarpać je pocznie.

I zaczęła się teraz walka ciężka. Oboje zaręczeni mieli do obalenia mamutowe pojęcia skamieniałej w obywatelskich pragnieniach rodziny panny.

Rena miała już tylko matkę i resztę jakiegoś majątku, na którym ciążvły długi, dochodzące do bajecznej wielkości. Mimo to — uważano Renę za dobrą partyę.

Brzeziewicz nie był szlachcicem i nie miał ziemi. Wiele chłopskości było w tych szlacheckich pojęciach.

Matka Reny, chora i skazana na zagładę przedwiekową, pragnęła, aby córka jej wlokła życie i katorgę obywatelskiego życia.

Brzeziewicz podjął się spłacić długi, oczyścić majątek i tem wreszcie pozyskał matkę. Lecz zawsze uważany był za intruza i kogoś, komu nie dostaje pewnego prawa do życia.

Rena przenerwowaniem swojem odczuwała to wszystko i zabrała się do boju z egzalto-

waną przesadą. Czy kochała Brzeziewicza miłością zwykłą, taką, jaka jest podstawowa i potrzebna dla zawarcia związku małżeńskiego, o tem ona nie wiedziała i wiedzieć nie chciała.

Rozegzaltowała się tak na punkcie narzeczonego, iż żałowała, że jest lekarzem wziętym, głośnym, z ustaloną klijentelą, człowiekiem, posiadającym pewien kapitał i wyrobiony silnie charakter, z którym nosił się dyskretnie na pokaz, jak z pancerzem. Wolałaby, ażeby jej przyszły mąż był biedny, głupi, nic nie znaczący, nawet zdecydowany szubrawiec.

Miałaby większe pole do heroicznych rozpędów i poświęcań się.

Na wszystkie grymasy i wzruszenia ramionami licznie rozgałęzionej rodziny odpowiadała seryą zdecydowanych słów, graniczących z obelgami.

Nie taiła się, iż całą duszą pragnie przyśpieszyć dzień ślubu, aby wyrwać się z tego Podola, które, mimo wszystko, kochała bez pamięci.

I gdy wreszcie po ślubie zaszły konie, aby odwieźć nowozaślubionych na stacyę kolejową, Rena, która od rana okazywała demonstracyjną, nerwową wesołość, wyrwała się do wiekowego sadu, gdzie spędziła swe życie aż do chwili zamęścia.

Jak szalona, wpadła pomiędzy olbrzymio rozrośnięte owocowe drzewa, osypane bielą wiosennego kwiecia. I padła na delikatną zieleń trawy, całując ją, rwąc pełnemi garściami, zanurzając zgorączkowane palce w rozpuchłą świeżością ziemię.

Cała miłość, wiążąca istotę, poczętą, zrodzoną i wzrosłą wśród bujności natury, wezbrała w niej i skoncentrowała się w tem pożegnaniu umiłowania najwyższego. Gdy jednak w kilka minut później wskoczyła do powozu, zawołała prowokacyjnie:

— Nareszcie!..

Stojąca obok matki Reny ciotka Okęcka poprawiła okulary i ze względu na służbę wyrzekła po francusku:

— Żeby tylko nie żałowała.

Ostap, odziany w szafirową z żółtem liberyę, ściągnął lejce. Czwórka ruszyła z miejsca. Za nią pognała para tak zwana »panienki« — z szarabanem, wiozącym wykwintne angielskie szagrynowe kuferki.

Ekwipaże zatoczyły elipsę dokoła trawnika, na którym, jak kadzielnice, wonniały czarowne olbrzymie krzaki bzów i szarzały uroczo błękitne świerki.

Jasny, długi woal Reny migał czas jakiś...

Stojące na ganku damy weszły powoli w głąb dworu.

— Żeby tylko nie żałowała! — powtórzyła Okęcka, kierując się do salonu.

— — — — — — — — — — —

Nie. Nie dowiedziała się nigdy ani Okęcka, ani nikt z rodziny, czy Rena żałowała swego kroku. Rena była tak skryta i zarazem hartowna w raz powziętym planie, jak potrafią być osoby nawskróś nerwowe i żyjące tylko nerwami. Do pewnego czasu, często do późnego wieku uprawiają z wielką potęgą poprostu imponującą sztukę zjadania swej tragiczności i przeżuwania swego losu z zaciętością o dzikich samotnych instynktach konającego w głębi puszczy zwierzęcia.

Zewnętrznie łatwo jej było imponować swem »szczęściem« i szastać szelestem płaszcza dobrobytu, który umiała wyzyskać i rozwiesić przed oczyma ludzi.

Brzeziewicz przez długie lata swej praktyki żyjąc samotnie, nie mając rodziny, trochę obłudnie i elegancko składał znaczne kwoty. Ożenienie się z Reną zabrało część znaczną z owych oszczędności, lecz z reszty ta wioskowa panna potrafiła zebrać dosyć piasku, aby rzucić go garściami ludziom w oczy.

Z poza tego złotego deszczu patrzyła zawsze strojna, z jakimś uśmiechem niewyraźnym, drgającym w lewym kąciku ust, patrzyła prosto, jakby nie dźwigająca żadnego ciężaru, jakby nie ściągnięta tym bólem wewnętrznym, który gnębi, ssie, krępuje jakby rozpalonemi taśmami tych, którzy mają jakiś ból moralny.

A przecież było inaczej.

Rena miała apartament, nie mieszkanie, kilkoro osób służby delikatnej i inteligentnej, doskonałą szwaczkę, wykwintne i mało gdakające znajomości, kredyt otwarty po magazynach i sklepach, miała szacunek, zazdrość i nienawiść ludzką, wytworne obejście się męża, jego cichy i miły, wielkopański sposób chodzenia koło niej, miała szum i szelest strojów, które szczególnym darem i wykwintem potrafiła dobrać do swej urody, miała sanki z XVIII wieku, jako żardinierki, pełne zieleni i lilii nakrapianych purpurowo, miała konie rasowe, piękne, światło acetylenowe przy dyszlu karety i ciszę w okrąg siebie, ciszę domów, gdzie nic nie brakuje, dobrego jest poddostatkiem, a złe wygania się precz mistycznem zaklęciem...

Tak.

Było to wszystko.

A przecież — w drugim roku małżeństwa

Rena wychłódła, pozostała sama, jakby spalona, jakby przez nią przeszedł pożar, który pozostawił z niej tylko zewnętrzną, na szkielecie nerwów trzymającą się, piękną i strojną powłokę.

VI.

Rena pogrążona w myślach, mimo wszystko, tą nadczułością swoją zmysłową, każdy szmer, każdy krok wyławiała w ciszy nocnej.

I teraz słyszała, jak mąż delikatnie odszedł od łóżeczka dziecka i oddalił się w głąb apartamentu do swego pokoju.

Rena bowiem od urodzenia dziecka miała osobną sypialnię. Chwyciła się tego pretekstu i przeznaczyła dla męża pokój, oddzielony od jej sypialni salonem, poczekalnią i gabinetem.

Pozostała sama, bo dziecko poprzednio z mamką, a później z Nataliszonem przebywało zawsze w swoim pokoju, urządzonym według wszelkich wymagań hygieny.

Brzeziewicz co wieczór szedł do siebie, nie wstępując nawet do sypialni żony.

Mimo całego wykwintu, z jakim Renę traktował, ci ludzie wykreślili ze swego życia tę zewnętrzną pieczęć spójności, jaką daje małżeństwu owo — dzień dobry! dobranoc!

niemal konieczne i usankcyonowane. Jak do tego przyszło, nie potrafiłaby określić Rena, lecz przyszło...

Powoli — fatalnie.

Rena czuła, że przesunie się przed nią reszta wspomnień jej życia. Ta najokropniejsza. Ta, wśród której walczyła rozpacznie, targając się z hydrą, która ją oplotła cielskiem palącem i bezecnem.

Z hydrą — zazdrości.

. . . .

Rena pragnęła podnieść się z fotelu i wejść do pokoju dziecka. Lecz brakło jej sił. Ręce jej opadły wzdłuż ciała.

W swej białej szacie domowej ze śnieżnej, miękkiej flaneli ledwo zaznaczała się w cieniu. Oparła głowę o szare jeszcze obicie ściany.

Nieruchoma, tonęła w myśli ciągłej, niedającej się przerwać i zniszczyć.

Kroki Brzeziewicza ucichły, ktoś jeszcze w głębi mieszkania drzwi zamknął.

Cisza nastąpiła zupełna.

. . . .

Zazdrość ją zgubiła. Tak. Bezwarunkowo.

Lecz była to inna zazdrość, nie zwykła, nie szablonowa, nie ta, która pożąda prawa własności, nie ta, która nie chce się

dzielić porywami ducha i szlachetniejszej, lepszej części istoty, skutej małżeństwem, lecz zazdrość pacyentki, zazdrość nerwów, które nie chciały, nie dozwalały, aby choć część kojącego fluidu uzyskać mogły inne nerwy, domagające się także uspokojenia.

Rena przeliczyła się ze swemi siłami. Została żoną lekarza, a nie umiała być tą żoną. Nie wiedziała, że od tej chwili pierwszeństwo przed nią otrzymają inne, bardziej interesujące chore. Nie wiedziała, że lekarze nerwowi oswajają się z objawami nerwowymi swych pacyentów i przestają się powoli nimi interesować, dążąc do nowości, tak jak dąży człowiek-zwierzę do miłosnej zmiany.

Brzeziewicz, pomimo nadzwyczaj zimnej i zrównoważonej powierzchowności, był także nerwowo wyczerpującym się łatwo i szybko ustającym w reagowaniu na jakieś podniecające go w pierwszej chwili objawy.

Rena zajmowała go jako panna, jako narzeczona, jako początkująca mężatka.

Była to wiwisekcya. Badał, w jaki sposób oddziała na jej system nerwowy wstrząs zmysłowy pożycia wspólnego. Zawiódł się. Rena pozostała zimna. Alkowa małżeńska nie dała jej żadnego zapamiętania się.

Zdziwiona, pochmurnem wejrzeniem witała każde zbliżenie się męża, z rodzajem przestrachu i grozy przed brutalnością faktu,

na którego wspomnienie nerwy jej kurczyły się z przerażenia.

Brzeziewicz uczuł, iż dyagnoza jego była błędna. Sądził, że nerwowe ataki, których Rena jako panna doświadczała, pochodziły z przedwczesnego rozwoju jej ciała. Pewien był, iż pożycie małżeńskie zaprowadzi w tej dziwnej naturze równowagę.

Oczekiwał szalonych wybuchów namiętności, pogrążenia się przynajmniej w początkach w pragnieniu ciągłych wyczerpujących dreszczów. Tymczasem spotkał się z obojętnością, pokrywającą nawet odrazę.

Więc nie zmysły rozszalały się zazdrośnie w głębi Reny, lecz nerwy.

Prędko zrozumiała, że była już nie tą jedyną, która odczuwała dobroczynny fluid delikatnych rąk Brzeziewicza.

Po innych czołach, po innych twarzach, ramionach, piersiach przesuwały się te smukłe, dobroczynne palce.

Pochylona postać mężczyzny szeptała dobre, kojące słowa nad nawpół przytomną, wykrzywioną skurczem twarzą.

Jakby dzieło jakieś ukochane, ktoś, jakaś inna kobieta prowadzona była przez męża Reny do krain spokoju, wspierana, pocieszana, pielęgnowana.

Często pod drzwiami gabinetu od strony łazienki Rena podkradała się i w czasie kon-

sułtacyi starała się podsłuchać cokolwiek przez drzwi, silnie obite suknem i wymateracowane.

Słyszała jakiś skarżący się głos kobiecy, a potem łagodny, uspakajający głos lekarza. Znała ton, jaki przybierał, znała dokładnie.

Wszakże na tym pasku powlókł ją za sobą.

Teraz nastąpiła cisza... Bada ją, bada delikatnie, pieszczotliwie, łagodnie. Pod wrażeniem tych pociągnięć ledwo wyczuwalnych uspakajają się nerwy tamtej.

Ona zaś drży cała, przytulona do drzwi od naprężenia, od pożądania takiego ukojenia. O! jakże chętnie oddałaby wszystkie zmysłowe zbliżenia za taką troskę, z jaką Brzeziewicz przystępuje do chorej.

Jakże padłaby tam na szezlong, pokryty białą ścieżką płótna, poddając swe czoło, swą twarz, swe ręce, pod pociągnięcia jego palców chłodnych, a przepełnionych jakby kojącą rozkoszą.

Zamienić się! zamienić z temi kobietami, które oczekują na swą kolej w poczekalni i salonie.

Odstąpić im miejsce żony, to miejsce szablonem i obowiązkiem naznaczone. Powiedzieć mu: »ukój«, lecz tak, jak dawniej, jak koisz twe pacyentki; nie chciej być dla mnie mężem, bądź dla mnie lekarzem.

Kryła się jednak z tem pragnieniem. Nie mówiła mu nic. Instynktem wyczuła, iż przestała go interesować jako chora. Odczuwała jakby wstyd za to, że objawy jej były zwykłe i przybrały banalną ścieżkę.

Zapisywał jej brom w rozmaitych postaciach i odmianach. Uregulował jej dyetę, kąpiele, zastosował franklinizacyę. Czynił to prawie obojętnie, surowo.

Ona miała za wiele inteligencyi i była za elegancka, aby, zwyczajem histeryczek, wymyślić jakieś wzrastające i niezwykłe objawy swej nerwowości.

Kryła się z tymi, które ją zaczynały prześladować, jak zmiany wzrokowe, pewne niewytłómaczone uczucie, że każdy jej gest jest poprzednio wykonany, zanim ona go wypełniła.

Gdy ujmowała naprzykład klamkę u drzwi, miała wrażenie, iż dotknęła jej, zanim palce położyła istotnie, gdy odwracała się ku jakiemuś przedmiotowi, ruch ten wykonywała, uprzedzając swe ciało, co więcej: widziała ów przedmiot, zanim oczy jej zwrócone ku niemu zostały.

Były to sensacye straszne, męczące, tem więcej męczące, że powstały z jakiejś tajemniczej głębi, oplotły ją, jak potworne macki niewidzialnej, a istniejącej potęgi. Skrytość jej pomnażała tę tajemniczą władzę.

Lękała się tych myśli nawet, a gdy napły-

wały na nią same sensacye, miała wrażenie, iż otacza ją stado wampirów, które zawodzi koło niej taneczne kręgi. Gdyby nie skryty charakter Reny, gdyby mogła sformułować głosem, raz niejako wyprowadzić na światło dzienne te wrażenia nowe i ciężkie, stanowczo oswoiłaby się z niemi i doznała ulgi.

Lecz ona wiła się tylko w kole zaklętem, w kole cierpienia istotnego i w kole cierpień przybranych, urojonych, pochodzących z zazdrości o męża, a raczej o lekarza.

Nie czuła i nie wiedziała, że miała właśnie pod ręką najłatwiejszy sposób zwabiania go ku sobie na czas jakiś. Należało tylko przyznać się jej do nowych nerwowych sensacyi, które w niej wirowały.

Brzeziewicz, który miał na tyle już inteligencyi i przeczucia, że nie negował zwyczajem innych lekarzy wpływów tajemnych na nerwowość swych chorych, byłby z szaloną radością uchwycił ten podatny przedmiot, jaki mu się do jego studyów o ciele astralnem nasuwał. Lecz Rena zbłądziła. Milcząc, cierpiała podwójnie i, wzburzając się coraz więcej, popełniła największy błąd, jaki kobieta popełnić względem męża może.

Wybuchnęła fałszywym tonem i fałszywie zrozumianą została.

. . . .

Lata od tej chwili minęły.

Lat sześć, a przecież Rena z całą precyzyą jest w stanie odtworzyć tę »scenę«, która winkrustowała się jakby w jej duszę każdym kancikiem, każdym odcieniem i linią.

Nocą się to stało, nocą późną i zimową.

Brzeziewicz powrócił dnia tego od chorej, która trzykrotnie go w czasie dnia wzywała.

Była to maniaczka na punkcie podróży, i oto już dwa razy w ciągu jednego roku odbyła podróż do Ameryki. Dłużej jak parę dni nie mogła usiedzieć na jednem miejscu.

Brzeziewicz zainteresował się tą Żydóweczką, która zjawiła się u niego z torbą podróżną w ręku, przyprowadzona przez ojca, bogatego bankiera, ledwo ociosanego i mającego w sobie ów lament przeciągły, rasowy, biadający nad jakiemś dotykającem go nieszczęściem. Chora, podrażniona konsultacyą lekarską, na którą podstępnie sprowadzona została, wyrywała się spazmatycznie z domu, chcąc uciec za wszelką cenę w stronę dworca kolejowego. Trzykrotnie zajeżdżała po Brzeziewicza dorożka i przywożono neurologa, który wreszcie zdołał osiągnąć jakąś moc i przewagę nad rozszalałą dziewczyną. Uśpiona, ułożona w pościeli oddychała ciężko, łkając jeszcze spazmatycznie przez sen, lecz nie wyrywając się z poza granic domu.

Brzeziewicz powrócił do siebie, cały przejęty odbytą konsultacyą. Nie mówił nigdy

Renie o swych pacyentkach, wiedząc, że wowi łatwo pochwytują z zasłyszenia objawy innych chorych.

Lecz tu fakt był dziwny i prawie niemożliwy do naśladowania. Przytem Rena tak kryła się dumnie ze stanem swego zdrowia, iż nawet on sądził ją o wiele spokojniejszą w pewnym kierunku i nie lękał się, aby chciała jechać do Ameryki, ona, która miała wrodzony wstręt »koniarki« do jazdy koleją, a tem bardziej okrętami.

Wszedł do sypialni. Rena leżała w łóżku. Wśród bieli przeraźliwej, pościeli wykwintnej i wykoronkowanej, młoda kobieta miała wytworny wdzięk świeżego kwiatu, opadłego na biel śniegową.

Nie spała i powitała męża milczącem skinieniem głowy.

We wnętrzu jej wrzało poprostu od rozdrażnienia, którego już taić nie była w stanie. Przelotny rzut oka, jaki Brzeziewicz rzucił na nią, przecierając swoje binokle, dopełnił miary. Nie dostrzegł nic.

Nie zrozumiał, czy nie chciał zrozumieć, że ona od dni kilku jest u kresu, jaki zakreślić sobie może cicho cierpiący na nerwy człowiek.

Nie miał dla niej nic, nic! wszystką siłę, całą moc, fluid uspakajający oddał innym. Takim, które głośno krzyczeć umieją...

Tymczasem Brzeziewicz, uszczęśliwiony, że

udało mu się kilka sensacyjnych uzdrowień i że dostał pod swą władzę nową interesującą chorą, osądził, iż może obecnie poświęcić trochę czasu i sobie, i żonie. Spojrzał na nią uważniej.

Leżała nieruchoma, z zaciśniętemi ustami i z przysłoniętemi powiekami. Długie rzęsy rzucały cień na jej policzki. Rozrzucone włosy, osunięta z ramion bielizna, czyniły ją piękną i powabną nad wyraz. Brzeziewicz zbliżył się do niej uprzejmie. Usiadł na brzegu łóżka i pochylił się ku ustom żony.

— Pani śpi? — zapytał pieszczotliwie — pani nie czeka na męża!?...

Chciał objąć wpół jej smukłe ciało, zaznaczające się delikatnie pod jedwabiem kołdry, gdy ręce Reny wyprężyły się i z gardła zaciśniętego kurczowo wypadł krzyk:

— Idź!... idź!...

Brzeziewicz cofnął się. Po raz pierwszy spotykał się u Reny z taką demonstracyą.

— Co to?... co ci się stało?... — zapytał zmieszany.

— Idź!... idź! do nich!... idź do tamtych! teraz one... nie ja...

. . . .

I tu zaszła szalona, nienaprawiona już niczem pomyłka, tragiczne nieporozumienie tych dwojga.

Oto — Brzeziewicz zrozumiał, że Rena jest zazdrosna jako kobieta, jako żona...

Będąc pod tym względem jeszcze bez winy, owszem, z całą siłą czuwając nad sobą, aby w niczem nie wykroczyć przeciw swej wierności małżeńskiej, kładąc w to dużo naiwności właściwej ludziom pracy intelektualnej, uczuł się niewypowiedzianie dotknięty przez postępek Reny.

Podejrzywała go więc, ciskała mu w oczy niezasłużoną obelgę i wyrzut, odtrącała od siebie ze wzgardą, wtedy gdy on garnął się ku niej po dniu ciężko przepracowanym.

Zła więc była i niesprawiedliwa. Co więcej, w jednej chwili niweczyła cały urok estetycznego zachowania się, o jaki Brzeziewicz dbał bardzo. Schodziła do roli prostej zazdrośnicy, gwałtownej i krzykliwej.

Wstał, odszedł do kominka, na którym w onyksową czarę zaczął powoli składać obrączkę, pierścień zaręczynowy i szpilkę od krawatki.

W lustrze widział, jak Rena parę razy przetarła czoło drżącą ręką i jak ukryła twarz w batyst i koronki poduszek.

— O! to będzie źle... — pomyślał — dla żony doktora zazdrość jest więcej niż zbyteczną. To będzie plaga, bo to się zacznie powtarzać bardzo często.

. . . .

Ale się pomylił.

Rena zgryzła znów w sobie zewnętrzne wybuchy swego cierpienia. Nigdy już nie dała odczuć Brzeziewiczowi, jaka jest ta zazdrość, która na jedną chwilę rozdarła osłonę jej pozornej obojętności.

Przeciwnie, przybrała pewien ton ironicznej pobłażliwości i najczęściej w czasie konsultacyi uciekała z domu. Początkowo tułała się po ulicach zgorączkowana i zmęczona. Stopniowo wstępowała tam, gdzie mogła spotkać ludzi, i tuliła się, jakby moralnie, do ich głupoty i zewnętrzności.

Brzeziewicz, spostrzegłszy, że Rena ucieka z domu w godzinach przyjęć, wolał to nawet, bo pomimo tego, iż właśnie jego specyalnością były choroby, związane najczęściej z duchową podstawą człowieka, nie był biegłym psychologiem.

– Przychodzi do rozumu, zaczyna obojętnieć i nabiera do mnie zaufania, pozostawiając mnie samego z pacyentkami — myślał rad i odzyskiwał równowagę.

Gdy jeszcze pewnego wieczoru zahazardował zbliżenie się i pieszczoty jego zostały przyjęte z tą samą obojętnością, jaka cechowała ich pożycie od chwil pierwszych, lecz bez wstrętu i krzyku, znamionującego zazdrosne uniesienie, poczuł się zupełnie zadowolonym. Wszystko bowiem wracało do tej normy

do tej linii, którą on sobie w życiu zakreślił...

— Zrozum! — wyrzekł nagle do żony, całując jej rękę — zrozum, że ty jesteś dla mnie najpierwszą z kobiet i taką pozostaniesz na całe życie.

Wbiła w niego swe wielkie, rozumne źrenice.

— Z kobiet? — powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

— Tak!

— A... z pacyentek?

Zaczął się śmiać, zapalając o płonące w dwuramiennym kandelaberku świece, papierosa.

— Ba!... moja droga — odpowiedział — jako pacyentka, to już, dzięki Bogu, jesteś na dalekim planie. Mam inne, ważniejsze od ciebie i te posiadają mnie w zupełności; zrobiłaś mi, jako pacyentka, maleńki zawód. Wyleczyłaś się inną drogą, niż tą, którą przypuszczałem, że jest dla ciebie jedyna! Ale mój ukochany mistrz Charcot powiedział kiedyś bardzo słusznie, że wiemy tylko to napewno, iż nic nie wiemy.

Otoczył się delikatnymi kłębami dymu i zapadał powoli w półsen, miły i słodki. Rena zaś leżała rozbudzona, z oczami szeroko otwartemi, pociemniałemi, z twarzą zmienioną od wewnętrznego cierpienia.

Po chwili uniosła się na łokciu i, dotykając lekko ręki zasypiającego już męża, spytała:

— Pozwól... zadam ci jedno pytanie. Na czem opierałeś właśnie nadzieję wyleczenia mnie? Daruj mi moją ciekawość... ale przyznam, że mnie to obchodzi.

Usiłowała mówić zupełnie swobodnie, naturalnem głosem. Pod kołdrą wszakże wpijała paznokcie w biodro swoje, poprzez batyst bielizny. Chciała tym bólem fizycznym zmusić się do siły moralnej.

Brzeziewicz ziewnął i papierosa dogasającego wrzucił do kryształowej popielniczki.

— Sądziłem, że gra w tobie zbyt silny rozwój i popęd kobiecy — odparł niedbale — byłem przekonany, że wielki i gwałtowny wstrząs twych drgających przedwcześnie nerwów uspokoi się i do normalnej linii doprowadzi.

— Tak?...

— Lecz stało się inaczej. Pozostałaś zimna i należysz do rzędu kobiet, które... słowem, wyzdrowiałaś inną drogą, czego ci serdecznie winszuję.

Roześmiał się na wpół sennie.

— Niemniej przeto bierz jeszcze brom i nie zaniedbuj kąpieli... W każdym razie jednak, wiedzy mej lekarskiej »dałaś w pysk« i poszłaś...

Natychmiast prawie zasnął, jak dziecko, zmęczone szkolną, wyczerpującą pracą.

Rena leżała na wznak, wpatrzona w sufit, malowany stylem Ludwików w błękit i obłoki, majaczące delikatnie barwami w mlecznem świetle nocnej lampki.

Zdawało się jej, że krąży po stepie bezmiernym, na którym rosną całe morza zagadkowych, tajemniczych roślin.

Od nich zależy jej spokój, jej unormowanie życia, od poznania rozumu ich i tajemnic, które zawierają w sobie.

— Jestem kobietą, która... — myślała — dlaczego nie dokończył. Co chciał przez to powiedzieć? Są widać na świecie inne kobiety, które nie sprawiają mu zawodu w jego dyagnozie i systemie przeprowadzonej kuracyi. Są to kobiety, które...

Ogarnęło ją rozpaczliwe zniechęcenie.

— Nie rozumiem. Ale pytać nie będę. Za dumna jestem i za harda. Niech już tak zostanie. Niech!

VII.

Gdy Rena doszła do tego punktu swych wspomnień, podniosła się nagle z fotelu i szybko podeszła do łóżka.

— Nie chcę dalej myśleć, nie chcę. Położę się. Zasnę.

Świece dopalały się w kandelabrach. Płomienie ich były prawie nieruchome. Świadczyło to o doskonałem zabezpieczeniu pokoju przed wichrem jesiennym. Ciepło trochę suche, ale równe i wystarczające, płynęło z kaloryferu. Na stoliku obok łóżka leżała książka, stała stara szlifowana karafka z prześliczną szklanką.

Mały kryształowy zegarek stojący, podstawka na pierścionki, flakon wytworny na wodę kolońską, rozpylacz, dopełniały drobiazgów podręcznych, do których Rena przyzwyczaiła się z biegiem lat.

W fałdach firanek koronkowych, zwieszających się lekką kaskadą nad łóżkiem, wisiało

małe ręczne lusterko, pięknie cyzlowane, w formie węża, zwiniętego w kółko, przypominające linie ornamentów Pawła Ransona.

W lusterku tem badała zwykle Rena swą cerę rano i wieczorem, układając się do snu. Dziś jednak szybko zgasiła świece i, pozostawszy w ciemności, zsunęła ze siebie długą białą szatę, którą miała na sobie.

Z pokoju dziecinnego, przez szyby drzwi — wpadała do sypialni smuga błękitnego światła, słała się po szarawym dywanie, aż do białej niedźwiedziej skóry, rzuconej pod stopy łóżka.

Rena pozostała chwilę nieruchoma z bosemi nogami, zanurzonemi w puchu futra, opłynięta miękką, delikatną bielą swej nocnej koszuli, opadającej jej z ramion. Miała wygląd jakiegoś ducha, zwioniętego na ziemię, ducha wieczystej udręki, blada, z ciemnemi plamami oczu, pod łukiem zsuniętych brwi.

— Spać! spać! — wołała w niej każda fibra ciała.

— Spać! spać! — wołał jej duch, chcący oswobodzić się z pęt zepsutego i dręczącego się organizmu.

Wsunęła się w łóżko. W pierwszej chwili doznała miłego uczucia rozkoszy. Zdawało się jej, że znalazła przytulne miejsce, na którem spocząć jest w stanie.

— Spać!... spać!... za wszelką cenę!...

Chwil kilka przeżyła prawie w omdleniu. Ulatywała w przestrzeń, zbywając się tych kajdan rozpalonych, które za sobą wlokła.

Nagle — jakby brutalne uderzenie pięści, wymierzone w jej bok lewy, porwało ją z pościeli. Siadła z oczami szeroko rozwartemi Cisza była dokoła.

Łagodne światło płynęło z pokoju dziecka. Nic się nie zmieniło.

Rena nigdzie nie uleciała, i kajdany przywarły się do jej rąk z jednaką mocą.

Wiedziała już, że spać nie będzie, że przywita ranek szary i wstrętny zbolałemi oczami.

— To przez ten bal, przez niego, przez Zaleszyńce.

. . . .

Zaleszyńce!

Myśli jej wymówiły to słowo magiczne i tęskne. Wymówiły i teraz rozuzdane pędziły galopem. Przyłączyło się serce i wezbrało uczuciem.

— Zaleszyńce!

Dwór biały i długi z kolumnadą ganku, dwór stuletni, nizki i napozór prosty, a szlachetny w wielkopańskim wykwincie ludzi, którzy wili swe gniazdo z myślą, iż całe pokolenia pod tym dachem rodzić się i umierać będą.

Dwór o rzędzie okien dużych, sięgających prawie ziemi, pociętych w drobne kwadraty szybek, oprawnych w białe, już próchniejące ramy.

Bez okiennic, tak jakby hardo otwierał wnętrze swych tajemnic na widok ogólny, z dużym, ciemnym dachem, świeżo pokrytym blachą — jedyne ustępstwo w pozbyciu się zbyt demokratycznych gontów.

W migocie słońca tablica asekuracyjna na boku, nad kłębem bratków i płomiennej nasturcyi z fontanną białej płaczącej róży w pośrodku kwietnika.

Wogóle pewne pomieszanie starych, dawnych piękności spokojnego, szlacheckiego zacisza z niewielkiemi naleciałościami pewnej kultury europejskiej. Jakoż altana żelazna koło szkieletów topoli, które, potrzaskane gromami, tragicznie wznosiły się na tle młodych klonów i brzóz, świeżo zasadzonych dokoła podjazdu.

Przepyszne klomby bzów, jaśminów, pomieszane z klasycznym podolsko-wołyńskim berberysem, wonialy z daleka, jak kadzielnice, wstrząsane lekko powiewem wiatru, napływającego od nizko położonego w oddali stawu.

Olbrzymi park, bajeczny, böcklinowski, czerniał dokoła dworu po lewej stronie — tajemnic pełen. Opuszczony i zarosły, przed-

stawiał się jak las dziewiczy, osypany tylko setkami wron, które zawodziły wrzaskiem dzikim i zataczały czarne wstęgi po błękicie nieba, wysoko nad szczytami wiekowych drzew.

Ten park i sad, łączący znów dwór z zabudowaniami stajennemi i następnie z folwarkiem, był światłem, w którem wzrosła, wychowała się i rozwinęła — Rena.

Każde drzewo, każda ścieżka, zarosła trawą, każda grusza i kępy irysów lub lilii, strojących trawniki przydworne, znaczone były śladami jej myśli, które powoli przeistaczały się i nabierały świadomości i pewnego uporu, właściwego tym, którzy iść skrycie myślowo muszą.

Bo w Zaleszyńcach była łagodność i dobroć ginących bez oporu rodów, to jakieś niby życie tradycyami, a właściwie dogorywanie na cieniach tych tradycyi, które już żadnej racyi bytu nie miały. I był pewien ton obłudy w odnoszeniu się do ludu, który był wrogi i pełen nienawiści dla dworu, a który szedł co niedzielę po lekarstwo, rozmaite sprawy swoje niosąc w zanadrzu, a koso, rzucał okiem na strony, gdzie owoców najwięcej, aby w nocy podkraść się, a narwać, nałamać, naniszczyć i uciec.

To samo, co z owocem, działo się ze wszystkiem. Służba zdeprawowana, poczęści

mająca rodziny we wsi, dopomagała w tym bolesnym rozboju, uległe »jaśniepaniując«, pieszcząc dzieci pańskie i obnosząc razem z kozackim strojem lub wiśniową kamizelką tradycyę wiernych, przychylnych sług domowych.

Matka Reny, od lat kilku owdowiała, chora i nieporadna, dama w każdym calu, paląca mocne papierosy, siedząc na swym bujającym fotelu pod kolumnadą ganku, miała raczej wygląd cienia, niż żyjącej istoty.

Stary rządca prowadził gospodarstwo, trzymając sąsiednie dzierżawy niby dla interesu, a właściwie dla pretekstu zaciągania ciągłych pożyczek.

Matka Reny namiętnie zajmowała się gospodarstwem mlecznem, które nie przynosiło żadnego dochodu.

Krowy kupowały się nie mleczne, lecz ładne w linii i barwie. Sama pani w rękawiczkach i kaloszach pojawiała się czasem w oborze. Przeważnie jednak siedziała smutna i cicha, paląc bezustannie papierosy, rozmawiając ze zjawiającymi się często chłopami i chłopkami pod gankiem.

Miała sławę leczenia i rzeczywiście leczyła dobrze. Wielkie sumy pożerała apteczka domowa tem więcej, że hygiena w Zaleszyńcach - wsi stała na bardzo nizkiej stopie. Matka Reny, zamiast starać się z gruntu prze-

mienić pojęcia o sposobie życia chłopów zaleszynieckich, zamiast wywlec ich na światło, powietrze, pognać do łaźni i wykazać śmiertelne skutki pijaństwa, białemi rękami, wolno, ze słodkim uśmiechem dobroczynnej damy, rozdawała proszki chiny, sody, fenacetyny, antinerwiny, citroniny, kodeiny, cascarę, flaszki z siroliną, bromipiną, skawuliną, malagą z żelazem, Pain Ekspellerem, chloroformem, rozmaitemi wazogenami i innymi preparatami, wyszukanymi na ostatniej stronie pism codziennych.

Przy każdej konsultacyi mówiło się:

— A pamiętaj, serce... tem się smaruje, a nie wypij, bo umrzesz. Zrozumiałaś, duszko?

Duszka, pokudłaczona, zwinięta pokornie, łypała oczami.

— Rozumiem, proszę jaśnie pani.

Mówiło się bowiem — »serce, duszo, baranku«. Nawzajem słyszało się westchnienia, lizania w rękę, pokłony i jaśniepanowanie. Lecz były to raczej wymieniania wzajemne ostatnich grotów.

Ze strony chłopów układność, pełna ukrytej ironii, wyprowadzana na postronku dla interesu, ze strony dworu — lęk i trwoga przed płynącą potężną falą, lęk zamierającej powoli rasy, przyległej jeszcze do ziemi ukochanej, drogiej, potrzebnej do życia, nie

tyle materyalnie, ile moralnie, jak powietrze, jak okruszyna pożywienia.

Odgrodzony od wsi stary dwór z kolumnadą, dwór jeszcze z »przed Kraszewskiego«, dwór, który drżał nadziejami i romantycznemi uniesieniami, dwór, przed którym zdejmowano dagerotypy z panów, siedzących na kamieniu w »insurgenckich strojach«, pełnych dobrej wiary i ofiarności bezbrzeżnej, dwór, który znał ciszę żałoby i wyczekiwań, radości powrotu i rozpaczliwą melancholię strawionych przedwcześnie i niezdolnych już do siły istnień, dwór, który był świątynią i grobem, teatrem pełnym maryonetek pustych i kaplicą o katafalkach bez trumien, ginących gdzieś w śnieżnej, sybirskiej oddali, dwór, dzwoniący szumem i rozgwarem zbytecznych zabaw, kokieteryi ze wsią, lub spowity w opuszczenie, zda się, bez zmartwychpowstania, drżał teraz, jakby przed poświstem garnącej się coraz wyżej, dalej, śmielej, groźniej z poza tafli stawu wsi zaleszynieckiej.

Dawniej »poddani - dusze«, które się dawało pannom w posagu razem z wyprawnemi srebrami, majtkami i sukniami, później »sąsiedzi«, zapraszani do wielkanocnego stołu, podejmowani na weselnych jutrach, wzamian za »korowaj« z zakalcem, który oddawał spocony drużba, ślizgając się kutymi obcasami po flizach sieni, obecnie... bez nazwy,

a raczej »oni«, o których się mówiło półgłosem, a w obecności służby po francusku z akcentem bartelsowskim i trwogą niepewności w gestach i spojrzeniach.

Tak, nocą cichą i wonną, gdy bzy rozwieszały swe kiście, a brzozy leciuchno drżały w srebrze księżyca, jakiś lęk, jakaś groza płynęła z tych chat modrych, często ciemnym szafirem wśród wiśni przebłyskujących.

Wygasłe okna miały w sobie dziw źrenic, knujących coś »na jutro«.

Po polach »pańskich«, po sadzie czołgały się postacie ciemne, złodziejskie, sięgając do wnętrza ziemi po cudzą własność. Lecz to była drobna kradzież, uświęcona i wiekowa.

Ta moc, która czyhała w oddali, była większa i miała paszczę potworów nienasyconych, tych, które nasycą się wreszcie wtedy, gdy połkną, zmiażdżą to, w czem obrony nie czują.

I nie ten dwór mógł dać »obronę«, nie ten ród chory i zmelancholizowany.

Łącząc się ciągle pomiędzy sobą, najczęściej w pokrewieństwie, potęgując swoje wady fizyczne i błędy charakteru, pielęgnując, jak w cieplarni, szały swe nerwowe, musiał zaginąć powoli, stopniowo. Czynił to z godnością i rezygnacyą.

Nie były to komedyowe lub powieściowe

zaniki wykopalisk, które świeża rasa strącała do grobu, lecz jakieś grzeczne usuwanie się kolejne, z pewną tragiczną walką, przypominającą usiłowania gnomów, czynione dla podtrzymania walącej się góry.

Takie »gospodarstwo mleczne« matki Reny, taka edukacya samej Reny, która miała być przygotowana »na wszelki wypadek«, przez osobę bardzo godną, z muzyką i nieskazitelnym charakterem, a pozatem umiejącą wychowywać »hygienicznie«, takie branie dzierżaw i inne nieśmiałe skradania się ku podniesieniu tego, co się wali, próchnieje i kona, były to dziecinne, smutne usiłowania; których nikt nie oceniał, nikt nie aprobował.

Rena pomiędzy tym amalgamatem rzeczy, jeszcze trzymających się siłą tradycyi, a rozkładem powolnym, który zgnilizną unosić się zdawał dokoła, nauczyła się tylko jednego.

Kochać Zaleszyńce, ale to kochać do głębi, bez egzaltacyi, tylko namiętnie, z pewną pasyą, właściwą jej charakterowi.

Półnaga, bosa, cały dzień migała po sadzie, w fezie czerwonym na głowie, fezie, który po jakimś dziadku odkryła w pachnącej chlebem kredensowej skrzyni. Szczególniej obora i stajnia były dla niej ukochaniem prawdziwem.

Kuc jej, pałasz i wózeczek terkotał po grudach, a ona z fezem, zsuniętym na tył

głowy, cwałowała przez zagony i bajury, obryzgana błotem, z wyciągniętą szyją, sina od chłodu, nigdy nie nasycona pod względem ruchu.

»Osoba z muzyką«, której było powierzone wychowanie Reny i która w szarej godzinie, siedząc na długim bujającym fotelu pod kolumnadą dworku, zdawała »matce« relacyę z postępków wychowanki w ciągu dnia całego, była stanowczo za angielskim, sportowym systemem, według którego prowadziła swoje poprzednie uczenice.

— Dzięki Bogu, zrobiły świetne partye i są wzorami w okolicy — mówiła, oglądając uważnie paznokcie.

Lecz nie zastanawiała się »osoba z muzyką«, że owe panienki były nadzwyczaj anemiczne, uśpione i ten rozbudzający je system był dla nich wskazany.

Przeciwnie. Rena, podbudzona ciągłym ruchem, szalała bez wędzidła, siekąc swą krew i nerwy nieustającą, podniecającą werwą. Dla »osoby z muzyką« indywidualizm był czczem słowem.

Dla niej był tylko — system.

Rena, dziecko skuzynowanych blizko ze sobą ludzi, pochodząca z rodu, gdzie nerwica i histerya nie opuszczały prawie nikogo, gnała do późnej nieraz nocy po ugorach i łąkach, wydając (gdy była sama) dzikie, niezrozu-

miałe okrzyki. Wieczorem padała znużona i wyczerpana, nie przyjmowała żadnego posiłku i w nocy wstrząsana dreszczami, przeżywała sensacye gwałtowne dnia poprzedniego. Żyła bowiem cała życiem stepów, bujnością ludzi prymitywnych, chłopskich natur, nie mając na to sił, zrodzona z matki, wychowanej »pod kloszem«, będącej znów córką kobiety lalki sentymentalnej i czułej. Z resztką siły nerwowej, tułającej się poprostu po jej ciele wychudłem i źle wyrośniętem, Rena upajała się silną wonią stajen i obór, drżała z radości, gdy łyżką rozgrzebywała kurhany, szukając w nich tajemnic, o których gorączkowała po nocy; mknęła z zapartą piersią, leżąc prawie na swych sankach, z czerwienią w oczach, nie mogących znieść blasków śniegowych; zapadała się po szyję w bajury i krzykiem rozpacznym śmigała swego kuca do heroicznych zbawczych wysiłków.

Wychudła, wyrosła marnie, smukła, dzięki rasowej doskonałości szkieletu, zawsze jakby niepewna, rozwichrzona, niosła ze sobą niepokój, do przeniesienia ciężki.

W miarę lat niepokój ten przemieniał się w chorobliwe objawy, którym środki domowe, obficie aplikowane przez domowe panie, nic zaradzić nie mogły.

Wezwani lekarze skonstatowali neurastenię

w najlepszym gatunku i lekko coś napomknęli o dziedziczności.

Matka Reny, przerażona, wypaliła dnia tego wielką ilość papierosów, »osoba z muzyką« cofnęła się do swych apartamentów, a Rena, porwawszy latarkę, pobiegła bosa i w kaloszach do obory, gdzie przywiedziono trzy nowe Oldenburgi, kupione na jarmarku.

Ciemnica obory, w której tylko odstępami kołysały się latarnie, szeregi zadów krowich, czarnych, lśniących, tłuczenie ich kopyt, poryk czasem krótki, brzęk łańcuszków, a zwłaszcza to gorąco dziwne, pełne magnetycznych, zwierzęcych prądów, zachwycało Renę. Długo tułała się po oborze, zupełnie pustej w tej chwili, nadsłuchując śmiechu dziewek, zebranych pod ścianami zabudowań.

Rozmawiały głośno, po rusińsku, przeciągłą nutą, podśmiechując się lekko, bez banalnego chichotu, właściwego Mazurkom.

Mówiły o małżeństwie Tatiany, córki Julka Kozaka, z furmanem. Żałowały jakiejś Maryny i dziwiły się, że chce mu być na weselu drużką.

Jedna z nich rzuciła zdanie, że Maryna chce pewnie zepsuć wesele »Kozaczki«.

Inne oponowały.

Rena zastanawiała się na tle tych słów, że i ją czeka niedługo może »wesele«, i to jej własne. Słyszała przez okno ogrodowe, jak

lekarz radził matce wydanie czemprędzej »panny Reny« za mąż.

— Tylko zmienić należy środowisko »koniecznie«.

Matka odparła:

— Ja sądzę, że zmiana warunków, w których Rena wzrosła, pogorszy tę sprawę.

— Co? może znów chcecie ją wydać za któregoś z waszych...

— Czekam właśnie, aby cioteczna siostra moja, która ma syna...

Doktór był brutalny. Pochodził z chłopów.

— Właśnie. Tylko tak dalej. Hodowla kretynów i obciążonych dziedzicznie...

Starsza pani zdziwiła się.

— Nie rozumiem...

— Mąż pani kto?

— Mój kuzyn.

— Dlatego właśnie Rena.

— Cóż to ma do stanu jej zdrowia?

— Pani nic nie rozumie. To zbrodnia. Zresztą wyjdźmy z punktu jasnego dla pani i z tego, który ma nad panią jakąś władzę. Kościół zakazuje małżeństw między krewnymi. A wie pani, dlaczego?...

— Nie ośmieliłabym się badać wyroków kościelnych.

— Skoro się czemuś ulega, należy znać powody. Gdyby je pani znała, nie wyszłaby pani za swego ciotecznego brata, a dziś panna

Rena nie miałaby ataków, które ją i panią śmiertelnie wymęczają.

— Kościół dał mi dyspensę.

— Boście go oszukali, twierdząc, że ślub wasz jest konieczny, inaczej żyć musicie w grzechu i nieprawości. I znów pani tę samą komedyę przeprowadzi dla córki. Udacie, że znów zaszło coś...

— Daruj, doktorze! słuchać nie mogę.

— Obowiązek mi nakazuje.

— Konie zaszły.

— Żegnam panią. Lecz, gdy się wnuk urodzi, a będzie kretyn albo epileptyk, nie wzywajcie mnie, proszę...

Rena uciekła w sad.

Oparła się aż o płot, skąd widać było szerokie pola, jar i błękitem pomalowane chaty.

Wkrótce na drodze pojawiła się czwórka, odwożąca doktora do miasteczka. Konie długą wstęgą biegły po jasnej drodze, dzwoniąc lekko brzękadłami, zawieszonemi przy uprzęży.

— Nie! nie! — buntowała się Rena — dziecko moje nie będzie kretynem, nie będzie epileptykiem. Nie chcę!...

Przy obiedzie dostrzegła czerwone oczy u matki; »osoba z muzyką« miała minę zgorszoną, niezadowoloną.

Lecz w sercu Reny nie obudziło się współ-

czucie. Sama cierpiała i teraz zaczynała pojmować, kto był przyczyną cierpień.

— Tak, tak... pójdę za mąż — myślała, stojąc na środku obory nieruchoma, ledwo oświetlona słabem światełkiem latarki.

— Pójdę za mąż, ale nie za żadnego z mych kuzynów. Zmienię środowisko.

. . . .

W takich warunkach dostał ją w kuracyę Brzeziewicz.

. . . .

Lecz to środowisko upomniało się o swoje.

Jak potwór, w czasie właściwym wyciągnęło swe szpony i ogarnęło tę, która chciała się wydrzeć od rozkosznej i upajającej potęgi, jaką ma w sobie ziemia, rozkwitła w letnią noc, i którą częściowo mają w sobie i ci, co z ziemią złączeni, zrośnięci, fluid życiowy z niej bezpośrednio w siebie ciągną.

Noc letnia... wczesnego lata.

Zaleszyniecki sad...

Modlitwa drzew, lekko szumiących.

Zdaleka płynąca woń rozpachniałych grząd rezedy.

Poszczek psów gamą cichnącą.

I przez siatki gałęzi i krzaków, gasnące powoli okna dworu, tak jakby ktoś gasił dyamentowy różaniec.

I to wzruszenie bezcenne, dziwne, którego ani opisać, ani opowiedzieć czujący je nie jest w stanie.

To wzruszenie, które sprawia, że na wsi miłość ma w sobie potęgę tak wielką, aż urasta często do zbrodniczości zapamiętałej.

W takie noce letnie sprzysiężenie się dwóch istot dosięga rozmiarów tragicznej katastrofy.

I staje się często tragedyą.

. . . .

Rena porwała się na posłaniu.

Nie chciała dalej myśleć. Nie chciała. Za podłe, za straszne było to wszystko, co zaczęło się tłoczyć ku niej.

Wyciągnęła rękę po brom. Odetkała flaszkę i pić zaczęła. Piła długo i chciwie. Oswoiła się z narkotykami. Potrzebowała wielkich dóz. Wreszcie flaszka wypadła z jej ręki.

Skurcz żołądka porwał ją straszny, lecz równocześnie uczuła się zupełnie bezwładną.

— Przeczekaj! zaśniesz!... — wyszeptały jej zbielałe usta.

VIII.

Na drugi dzień Rena spała długo i zbudziła się przybita, z pamięcią przytępioną, z sercem rozżalonem. Odczuwała to zawsze po nadużyciu bromu. Inne uspakajające środki działały na nią inaczej.

Brom głównie pozbawiał ją pamięci. Mówiła wtedy z wielką trudnością. Brakowało jej słów co chwila. Męczyła się niewypowiedzianie, zwłaszcza, że służba z wrogą ironią podpatrywała w niej te chwile osłabienia, czekając impertynencko na wyraz, który Rena odszukać w jakiejś puszczy starała się, uśmiechając boleśnie.

Brzeziewicz pojechał do pacyentów, zapowiadając, ażeby go z obiadem nie czekano, a raczej zostawiono mu obiad, jak się to często zdarzało.

Rena cały ranek straciła na mechanicznych zajęciach, doglądając dziecka, kwiatów, ocie-

rając z kurzu delikatnie saskie figurynki, których miała kolekcyę niepospolitą.

Pragnęła przytulić się moralnie do czegoś bardzo delikatnego, bardzo subtelnego i wypięknionego w zakresie istnienia ludzkiego.

Kwiaty, dziecko, przejrzyste i barwne, drobiazgi z etażerek jedynie nadawały się na to.

— Oto mój świat — myślała — nie tamten zaleszyniecki.

Adzio chodził po pokojach, mając za sobą, jak cień, nieodstępnego Nataliszona.

Od czasu do czasu garnął się do matki czarownym, wdzięcznym gestem, krył się w fałdy jej sukni, całował białą, delikatną rękę młodej kobiety.

Delikatnie pochyliła się nad nim.

— Sieroto moja ty!... sieroto!...

Natalka, spoufalona i z natury dość śmiała, podchwyciła.

— Czemu wielmożna pani nazywa Adzia sierotą? przecie on ma matkę i ojca...

Rena spojrzała na dziewczynę błędnie.

— Powiedziałam... sierota?

— Tak, proszę wielmożnej pani.

— A!...

Odeszła szybko w głąb domu.

Nazwała Adzia »sierotą« bo w głębi jej zapadła myśl, że teraz, gdy Wende się żeni, dziecko jej zostaje opuszczone przez prawdziwego, rodzonego ojca...

— I tak jest... i tak jest... — powtarzała do siebie, stojąc na środku sypialni.

Zjawiła się dopiero przy stole, gdzie zajęła swoje zwykłe miejsce. Naprzeciw niej, na wysokiem krzesełku, siedział Adzio. Obok stała, jak szyldwach, Natalka.

Adzio miał dziwny zwyczaj podchwytywania przy stole z rozmowy starszych wyrazów, które uderzały go swoją niezwykłością. Wygłaszał je potem ciągle bez najmniejszej przyczyny i bawił tem niezmiernie oboje Brzeziewiczów.

Widząc dziś matkę osowiałą, siedzącą w swem rzeźbionem krześle smutno i milcząco, instynktem dobrego serduszka pragnął rozweselić ją i zabawić.

— Asekuracya, imaginacya, elewacya — wygłosił nagle, uderzając w takt po różowej cieczy barszczu, pokrywającej dno talerza.

Lecz Rena nie roześmiała się. Tępo spojrzała na dziecko. Uderzyło ją jedno. Mały wymawiał te słowa z akcentem ściśle podolskim, nie używając joty, lecz zamieniając ją na i.

Wychodziło więc z jego ustek »elewacia, asekuracia i imaginacia...«

— Mówi, jak »tamten«, jak »on«, jak my wszyscy stamtąd. Nie powinien tak mówić!— myślała, marszcząc brwi surowo.

Zaczęła strofować dziecko, wykazując mu

błędy w wymowie. Mały, zaskoczony i zdziwiony, otworzył szeroko buzię i nagle uderzył w głośny płacz.

Dobre jego chęci zostały źle zrozumiane i odwróciły się przeciw niemu. Rena, rozdrażniona żałosnym płaczem dziecka, krzyknęła ostro:

— Cicho!

Skurczył się, ramionka ściągnął i przycichł zupełnie, jak Wende, gdy spojrzała nań groźnie i gniewnie.

— Bez ambicyi, tchórz... jak tamten... — przemknęło jej znów przez myśl.

— Weź go od stołu! — rozkazała Natalce.

Gdy dziecko i niańka opuścili salę jadalną, serce Reny wezbrało żalem.

Czuła, że popełnia wielką niesprawiedliwość.

Nienawiść swoją dla ojca przelewa na dziecko, które przecież także jest jej dzieckiem.

Pod zimnem okiem lokaja, podającego jej półmisek i kompotierkę, wyprostowała się i starała przybrać minę obojętną.

— Czy dla pana jest sałata mieszana? — spytała, udając zainteresowanie.

— Tak jest. Schowałem do śpiżarni.

Jadła, zmuszając się.

Służący usunął się pod ścianę i zdawał się być wykuty z kamienia. Cała sala jadalna

tonęła w jakimś półmroku. Sufit, belkowany w kasetony, nad drzwiami supraporty syntetystów, okna szerokie, w drobniuchne szyby, na wzór spodów butelek zielonych i mieniących się. Meble ciężkie, wielkie, rzeźbione.

Tylko kwiaty, związane u góry, z których wytryskały banalne lampki elektryczne, kładły jakąś nutę bardziej wesołą w to wnętrze surowe i trochę smutne.

Nawet migotanie sreber i starych kryształów na kredensie nie podnosiło ciemnego nastroju tej sali.

Siedząca przy stole Rena, spowita w długą domową suknię z ciemno rubinowego aksamitu, wyniosła, długoszyjna, doskonale zastosowywała się właśnie do tego otoczenia.

Lecz ciężar jej duszy wzrastał. Czuła się bardzo samotną. Miejsce jej męża było puste. Przeważnie Brzeziewicz zjawiał się po godzinie obiadowej.

Jadał sam, pośpiesznie. Rena usunęła sama dziś jedynego swego towarzysza, Adzia.

Pustka ogarniała ją i ściskała jej głowę, jak obręczą.

— Sama jestem!... sama!...

Odsunęła podawaną przez lokaja legominę. Nie miała odwagi i siły udawać dalej.

— Schowaj trochę dla małego! — zarządziła tylko.

Nie wstawała jednak od stołu. Patrzała na tę pustkę jadalnego stołu, który jest przedewszystkiem rodzinnym stołem, gromadzącym wszystkich blizkich w godzinie posiłku i odpoczynku.

Nagle przedstawiła sobie taki stół w wiejskim dworze, pełen ludzi roześmianych lub skłopotanych, ale wszystko dzielących wspólnie, z oknami szeroko otwartemi na sad, kwitnący biało, na jaśminy królewskie, rozpachnione i słodkie, różowe gruszki, przypominające drobne dziecięce ciałka.

I u stołu tego, w otoczeniu dzieci, rodziny, domowników, ujrzała jasno, bez mgły, z doskonałością halucynacyi, jej tylko właściwej, wesołą, trochę nieregularną twarzyczkę Jagi, w obramowaniu jasnych, niewyszukanie uczesanych włosów.

Opodal »on«, Wende, zadowolony, rad ze siebie i z gniazda, które stworzył i wypełnił, »on« — najzupełniej nie pamiętający o niej i o Adziu — »on«, ojciec rodziny, mąż, wszystko...

Dreszcz przebiegł po niej.

— Tak będzie, tak... a ja? a ja?

Nie przyszło jej nawet na myśl, że kilka dni temu ten sam Wende był dla niej prawie obojętnym, a widzenie się z nim uważała za karę, jaką nałożyła sobie dobro-

wolnie za swój chwilowy błąd i zapamiętanie się...

. . . .

Ale to było bardzo kobiece, a więc bardzo naturalne.

. . . .

I równie naturalne było także, że w chwili, gdy Brzeziewicz wszedł do jadalni, ona, która przed chwilą biadała na swoje osamotnienie i czuła gorzki żal do męża za to, że, przesadzając gorliwość dla jakiejś pacyentki, każe jej siadać do stołu samej, porwała się i uciekła do swego pokoju, pomimo że Brzeziewicz wołał:

— Zostań, Reno! mam ci coś ciekawego do powiedzenia. Złapaliśmy tę chorą, już wybraną na kolej, gdy uciekała. Chciała znów jechać do Ameryki... Nadzwyczajny fakt... Bardzo interesujący. Jutro będzie konsylium...

. . . .

Po południu, gdy zapadł zmrok, pokojówka zaanonsowała Renie Okęckę z córką.

Rena podczas godzin konsultacyi męża nie mogła wprowadzić swych gości do wielkiego salonu, zajętego zupełnie przez pacyentów, gdyż poczekalnia często okazywała się za małą.

Przyjmowała wtedy odwiedzających w małym, tak zwanym lustrzanym saloniku, gdzie ściany wypełnione były lustrami w wązkich, białych, lekko złoconych ramach.

Jasne meble w stylu Ludwika XVI, szpinet orzechowy, nadzwyczajny stolik do robót, cenny antyk w formie globusu, trochę kwiatów, a zwłaszcza świece, przyćmione małymi abażurkami o różowej, wykwintnej barwie, czyniły ten kąt bardzo zaciszny i bardzo kobiecy.

Rena ochroniła go od inwazyi elektryczności, a na wiszące na ścianie pułeczki ułożyła kilka książek jej ukochanych, które wzbudziły może uśmiech na ustach niejednych, lecz doskonale świadczyły o tem, że w głębi Rena była tem, co Francuzi nazywają »une passionée«, podszytą nerwami, chorobliwie cierpiącymi.

Do tego saloniku weszła Okęcka z córką.

Wniosły ze sobą profacyę futer, piór i dzikiego zapachu skór zwierzęcych, pomieszanych z silną wonią perfum.

Okęcka usiadła zaraz sztywno i zajęła się przecieraniem okularów.

Jaga z lubością przypatrywała się swej banalnej osóbce w trochę zielonawych lustrach salonu.

Szybko weszła Rena; porwała się z łóżka, na które upadła po obiedzie i leżała tak bez

żadnej wybitnej myśli. Gdy weszła, zdawaćby się mogło, że wita przybyłe uprzejmie i nawet chętnie. Witała je przecież z ironią.

Wiedziała, że ciotka Okęcka korzystała z każdej bytności, aby »poradzić się« Brzeziewicza. Wypadała jej dawno konsultacya, a Okęcka lubiła i musiała się z groszem liczyć.

Nie przeszkadzało to przecież, że nie cierpiała Brzeziewicza, nazywała go »konowałem« i pogardzała nim.

Rena odrazu zaczęła wojnę.

Szczęśliwa była, dostawszy w ręce te kobiety. Sądziła, że poczuje ulgę, widząc na ich twarzach choćby cień zakłopotania.

— Ciocia do męża? — zapytała z udaną swobodą — masa jest pacyentów. Ale ja poślę przez Jana kartkę. Mąż wpuści ciocię przez łazienkę.

Okęcka spojrzała w przestrzeń i zesznurowała usta.

— My przedewszystkiem chciałyśmy odwiedzić ciebie, Adzia.

— Ach! dziękuję! Ale — czemuż nie w komplecie?

— Jakto?

— No... narzeczeni nie powinni się rozłączać...

Mówiąc to, wbiła wzrok w Jagę i z pociechą dojrzała, że ta oblała się cała ponsem.

— Narzeczeni? — podchwyciła Okęcka.

— No tak... Ten... jakże mu .. Wende... tak? gruby, trochę śmieszny, ale podobno niezła partya.

Czuła, że jest niesmaczna, że te zarzuty, stawiane Wendemu, miałkie, prostackie, są skrobaniem szpilki po tragicznej płycie grobowego życia.

— Pan Czesław Wende jeszcze nie jest oficyalnym narzeczonym Jagi — odparła Okęcka.

— Ach, tak? Myślałam. Sądząc z zachowania się wczorajszego Jagi...

Urwała. Miała dosyć pociechy. Biedna Jaga poczerwieniała znów gwałtownie, szarpiąc pysk jakiegoś mistycznego zwierzęcia, które, przewieszone przez ramię, spadało jej do stóp, czyniąc ją podobną do jakiejś kobiety z epoki jaskiniowej, dźwigającej zdobycz myśliwską męża na usłużnych barkach.

Rena tryumfująco spojrzała na Okęcką. Wiedziała, że była ona »matroną«, nie tolerującą żadnych demiwierżowskich wybryków.

Poprawiwszy okulary, ciotka surowo spojrzała na córkę. Lecz równocześnie chciała przerwać niemiłą rozmowę.

— Gdzie mały? — spytała, siląc się na uprzejmość.

— Śpi!

— Można będzie go zobaczyć?

— Jeżeli się przebudził...

— Nie powinnaś mu pozwolić sypiać za długo. To zgęszcza krew.

Wygłosiwszy to nadzwyczajne zdanie, Okęcka zaczęła uważnie przyglądać się Renie.

— I ty musisz długo sypiać. Znajduję, że utyłaś.

— Jaga znajduje inaczej.

— Och! to niczego nie dowodzi. Wy tu, w mieście, nie macie pojęcia o hygienie.

— Jeśli chodzi o tłuszcz, to Jaga przedstawia niezły okaz. Znajduję także, że jej przyszły mąż ma pozór wcale marienbadzki. Raczej jest jednak nalany... Choć, kochając się, musi schudnąć.. co?

Okęcka przygryzła usta.

— Darujesz, Reno... ale...

Rena wybuchnęła zgrzytliwym śmiechem i niemiłym.

— No cóż? musi się kochać, jeśli bierze Jagę. Posag »entre nous« niewielki. Szczęśliwa! będzie miała przynajmniej pewność, że jest wziętą z miłości.

Twarz Jagi rozjaśniła się. Panienka nie mówiła jednak nic, torturując dalej problematycznego lisa.

Ten błysk radości zebrała z jej twarzy Rena.

I znów zdawało się jej, że Jaga jest zło-

dziejką, która kradnie jej niezaprzeczoną i świętą własność.

— Ale dlaczego ciocia nie wydaje raczej Jagi za kogoś z kuzynów?—podjęła znowu— Wende przecież..

— Mylisz się — przerwała jej Okęcka — z matką pana Czesława odnaleźliśmy dalekie wprawdzie, ale spowinowacenie przez jampolską linię.

— A!...

— Tak, i wtedy odetchnęłam. Wiem teraz, że Jaga nie wychodzi ze swego gniazda.

Rena rozparła się w fotelu. Zły błysk strzelił jej w oczach.

— Ha! skoro tak — wyrzekła, skandując słowa — wszystko jest w porządku. Znajdzie się tam jakaś choróbka familijna, wspólna u Jagi i Czesia, i ta, wzmożona i wypielęgnowana, zostanie w poprawnej edycyi wydana na świat w formie ich dziateczek...

W różowem świetle abażurów ciotka Okęcka aż poczerniała ze wzruszenia.

Powstała szybko.

— Daruj, moja droga! przebywanie w otoczeniu lekarzy — wyrzekła — a więc ludzi, nie liczących się z formami towarzyskiemi, czyni cię do nich podobną. Ani ja, ani Jaga słuchać tego nie możemy.

Panna Okęcka, naśladując matkę, powstała

także, zestraszona i kombinująca w swym ptasim mózgu przed chwilą posłyszane słowa.

— Nie ma ciocia powodu czuć się urażoną — cedziła Rena — konstatuję fakt, nawet przez Kościół stwierdzony.

— O! proszę!... nie mieszaj Kościoła do tego rodzaju rozmów. A teraz, proszę cię, poprowadź mnie do dziecka.

Gestem kurtuazyjnym Rena wskazała drzwi, prowadzące do sypialni.

— Proszę!

Adzio wstał i, odziany w białą flanelową bluzkę, która czyniła go jeszcze pełniejszym i zatracała w nim linię, siedział na dywanie, ustawiając rzędem rozmaitej wielkości, maści i materyału konie. Obok, Natalka zawzięcie starała się szpilkami przypiąć udo jakiemuś kulawemu rumakowi.

— Oddaj!

— Zaraz!

— Oddaj i poszła precz!

Okęcka zatrzymała się w progu.

— Arbitralny i zamiłowany w stajni. Ma to po dziadku.. Będzie musiał wrócić na wieś, niema co, będzie musiał.

Rena natychmiast zaprzeczyła.

— Nigdy! będzie lekarzem, jak ojciec.

— Ach! zostaw. Jak można szlachecką krew zmusić do...

Urwała. Powiodła wzrokiem dokoła. Wre-

szcie zdecydowała zbliżyć się do Adzia. Lecz on nie zwracał uwagi na przybyłe panie. Z pod oka tylko patrzył na matkę, nie mogąc zapomnieć o scenie obiadowej.

Kurczył się i kulił, milczący i niepewny.

— Nie poznajesz mnie, Adziu? — wdzięczyła się Okęcka.

Jaga, jak każda panna, wybierająca się za mąż, czuła się pociągnięta ku dziecku naprawdę i naturalnie.

— A mnie Adzio poznaje? — spytała, przyklęknąwszy na dywanie.

Chłopczyk podniósł swe oczy błękitne, wielkie i nieśmiały, a wdzięczny uśmiech zaigrał mu w kącikach ust.

Jaga klasnęła w dłonie.

— Ach! jakie ma cudne oczy. Jaki on podobny...

Zatrzymała się, zdawała się szukać w pamięci.

— Nie wiem... ale tak mi kogoś w tej chwili przypomniał.

Okęcka przypatrywała się dziecku uważnie.

— Do ojca, zdaje się, podobny. Co? — zwróciła się do Reny. Ta nie odpowiedziała ani słowa.

Ta scena działała na nią w straszny sposób.

Czuła, iż Jaga instynktem zakochanej kobiety miała tak pełne oczy i całą wyobraźnię,

przesyconą niemal rysami i postacią Wendego, że odrazu wyczuła w Adziu ten związek tajemniczy, jaki łączył go z jej narzeczonym.

To przeczulenie dziewczyny, ten pociąg ku dziecku zaznaczał się coraz więcej. Pociągnęła malca ku sobie.

— Oczy ma niebieskie, prześliczne... poczekaj! pocałuję twoje cudne ślepki.

Lecz Rena szybkim ruchem wydarła jej prawie dziecko.

— Nie, nie trzeba! — zawołała ostrym, zmienionym głosem.

Jaga, klęcząc ciągle, zwróciła swą różową, świeżą twarz ku Renie.

— Dlaczego?

Ta chwilę milczała.

— Nie trzeba dzieci całować! — wyrzekła wreszcie powoli — to niezdrowo.

Okęcka poprawiła okulary i nieznacznie ramionami wzruszyła.

— To są nowe, modne wymysły! — wyrzekła ironicznie. — Ręczę, że to rozkaz twego męża.

— Tak! mego męża! — odparła sucho Rena.

IX.

Brzeziewicz miał w sobie zawsze pewien rodzaj szacunku dla wiejskiej szlachty, on, syn mieszczański, wychowany na Podgórzu wśród kołtuńskiej sfery.

Czuł u Okęckiej pogardę, sam w głębi duszy gardził także jej bezdennym, tradycyjnym uporem; a przecież, gdy się zeszli razem, zdawaćby się mogło, że odżyły tradycye wersalskie.

Rena nie asystowała temu turniejowi obłudy i pychy.

Zatrzymała Jagę w saloniku, na co dość niechętnie Okęcka zezwolić musiała. Nie chciała jednak ominąć sposobności, aby darmo zasięgnąć rady znakomitego lekarza. Z szumem dyskretnym weszła do gabinetu.

— Zaczekaj tu, serce, ja zaraz wrócę! — rzuciła córce od progu.

Rena wiedziała, co znaczy to »zaraz«.

— Wyżyłuje, wymęczy godzinę przynajmniej — myślała z niesmakiem.

Jaga, prawie trwożna, została z Reną. Zaczęła się jej lękać.

Lecz w Renie nastąpiła depresya. Nie mogła, nie umiała zgryźć. Zdawało się jej, że każde ukąszenie za żywo odezwie się w jej własnem sercu.

Usiadła obok Jagi i zaczęła ją bawić grzecznie i potulnie pokazywaniem nowych sztychów, kupionych niedawno.

Pochylone tak nad kartonami, tworzyły prześliczny obraz.

Trochę nieregularna uroda Jagi nikła w cudnej barwie jej młodych, lśniących, jak mistyczna złota przędza, włosów.

Smukłość postaci Reny, jej długa szyja, opięta gipiurowym kołnierzem, zakończonym wązkiem pasemkiem futerka, mała głowa, a zwłaszcza sposób noszenia tej głowy, wszystko to, razem złączone, opłynięte złotawo-różowym kolorytem abażurów, kryjących świece, tworzyło świetlany obraz jakiegoś Cariere Beleuse'a, podszyty lekkim sentymentalizmem i smutną tonacyą barw Latouch'a.

Zdawały się być pogrążone bardzo uważnie w delikatnych i subtelnych pięknościach sztychów, poświęconych księciu de Luynes, księciu de Chevreuse.

— Ta, która książkę czyta, ta pod oknem, jest moją ulubioną! — twierdziła Rena. — Patrz, jak dla niej nikt nie istnieje, prócz tych tworów jakiejś sentymentalnej wyobraźni...

— Mnie się więcej podoba ta para przy fortepianie. Pewnie narzeczeni...

To jedno słowo Jagi przywiodło cichą i niewidoczną, a przecież dla tych dwóch kobiet silnie wżytą niejako w treść ich istnienia, postać Wendego.

Odsunęły się od siebie. Zdawało się, że jest pomiędzy niemi, że je rozdziela.

Przynajmniej takiego uczucia doświadczała Rena.

Obecność Jagi zaczęła jej ciężyć. Dławiła ją.

— Pozwól!... zaraz wrócę.

Wyszła i w dużym salonie, który już zupełnie opustoszał z pacyentów, spotkała się z Okęcką, powracającą z gabinetu męża.

— Już? — zdziwiła się Rena.

— Och! znudziłam dosyć poczciwego doktora! — odparła Okęcka.

Dla niej, jak dla Ohneta, każdy lekarz nosił tytuł »poczciwy«.

— Teraz jest tam u niego ostatni jakiś pacyent. Wyobraź sobie, ciągle trzęsie głową. Widziałam, wchodząc do salonu. Gdzież Jaga?

Za chwilę wyszły obie, znów matka szty-

wna i zimna, córka jakby spłoszona i niepewna.

Rena po ich odejściu zabłądziła do pokoju dziecka.

Znalazła je skulone w kąciku, jakieś smutne i osowiałe. Zabawki, rozrzucone dokoła, robiły wrażenie pobojowiska. Przeważały konie.

Rena uklękła i zbierała w swą suknię wszystkie koniki, stanowiące »stajnię« Adzia.

Postanowiła nie pozwolić mu więcej rozwijać pasyi koniarstwa.

— Będzie człowiekiem nauki, musi nim być. Majątku ziemskiego nie ma. Zaleszyńce nie nasze... kupili Okęccy — więc co? co mu potem. Niech idzie odrazu jedną drogą.

Dziecko nie protestowało.

W milczeniu, z pod jedwabistej masy swych włosów, śledziło uważnie ruchy matki.

Ona nie śmiała spojrzeć w oczy syna. Czuła, że krzywdzi ciągle to małe serce, przeczyste i niewinne.

Pogardzała sobą.

Lecz zdawało się jej, że czyni dobrze i wypełnia swój obowiązek.

. . . .

A przecież w gruncie rzeczy to było pastwieniem się na dziecku za ojca, i to za ich wspólną winę — za winę jej i jego.

Tylko, że kobieta, gdy myśli o popełnionym grzechu, zawsze składa całe przestępstwo na barki »tego drugiego«, a sama przybiera pozę ofiary.

A przecież ten »grzech« wymaga koniecznie wspólnika.

. . . .

Gdy Rena wyrzuciła zabawki do swej sypialni, powróciła do syna i zaczęła nań patrzeć tępym, przyćmionym wzrokiem.

— Przeciw mnie nigdy ani słowa protestu — myślała — ciągle ten wzrok pokorny, spłoszony wzrok Wendego.

Nagle coś zalśniło na buzi dziecka.

Adzio cichutko płakał.

W jednej chwili Rena upadła mu do stóp.

Adziu!... Adziu!... mamusin biedaku!

Pochwyciła go w ramiona. Całowała jego ręce, oczy, piła łzy duże, gorące.

Zdawało się, że chce go przebłagać za tragiczne powołanie go do życia, za każdą myśl nawet, jaką ma przeciw niemu.

Obejrzała się dokoła.

Była sama z dzieckiem. Natalka w kuchni czekała na kaszkę »paniczową«.

— Sierota moja!... sierota!... — łkała, tonąc ustami we włosach dziecka — nikogo nie masz, tylko mnie, nikogo...

Adzio zachowywał się biernie. Zdawał się

nawet trochę przerażony tym wybuchem nerwowym i pocałunkami.

— Sierota... bez ojca! bez ojca!...

Lecz Adzio zaczął nasłuchiwać. Jak piesek przywiązany, znał już dokładnie i wyczuwał godzinę, w której Brzeziewicz będzie wolny. Odgłos zamykanych drzwi, następnie kroki lokaja w salonie, otwieranie okien, przesuwanie krzeseł oznajmiły dziecku odejście ostatniego pacyenta.

Trwożliwie, łagodnie zaczął wysuwać się z objęć Reny.

— Puść, mamusiu, Adasia!

Rozplotła ramiona.

Dziecko skorzystało z chwilowej wolności i, jak kula, pomknęło w stronę drzwi przymkniętych. Wypadłszy do salonu, krzyczeć zaczęło:

— Tatuńciu! Tatunieczku!...

A z głębi gabinetu, gdzie Brzeziewicz obmywał ręce sublimatem i przemieniał ubranie, odpowiedział mu głos zmęczony, ale radości pełen:

— Idę, syneczku!... idę!

X.

— Panie z pod czternastego numeru w domu?

— Nie wiem, proszę jaśnie pani! Zaraz zobaczę!

— Tak, w domu.

Rena zawiodła się.

Myślała, że ograniczy się na pozostawieniu biletu, nie widząc się z Okęckiemi.

Tymczasem były w domu.

Weszła na schody hotelowe, szukając numeru, zajmowanego przez ciotkę.

Znalazła go w kącie korytarza. Widocznie było silne przepełnienie, skoro Okęcka zdecydowała się wziąć ten apartament.

Po zapukaniu, sama Jaga otworzyła drzwi Renie. Wchodząc do pokoju, ta ostatnia doznała nieprzyjemnego wrażenia. Pokój był duży i ciemny, gdyż okna wychodziły na oszkloną werandę. Pomimo, iż była godzina

popołudniowa, paliła się elektryczność brutalna i grobowa.

Od drugiego, prawie zupełnie ciemnego pokoju drzwi były uchylone.

Robiło to wszystko wrażenie domu przedpogrzebowego. Powiększała jeszcze to złudzenie duszna woń więdnących kwiatów. Kilka koszów i kilka bukietów było pozatykanych dokoła. W dzbankach na umywalni dogorywały stosy gwoździków różowych.

Przeważnie kwiaty były różowe i białe.

Cukierkowa intencya narzeczeńskich ułud.

W tym mogilnym nastroju kręciła się Jaga, ubrana strojnie, uczesana widocznie przez fryzyera, zmieniona, zbrzydła. Te abażurowe pęki włosów zmieniały rodzaj jej bezpretensyonalnej urody. Podkreślały kantowaty profil, zacierały świeżość cery.

Rena ogarnęła to jednym rzutem oka i, ujrzawszy swą postać kształtną i bardzo moderne w olbrzymiem lustrze, obstawionem sztucznemi palmami, uczuła się prawie zadowoloną.

Łaskawie zwróciła się do Jagi:

— Sama jesteś?

— Mama wyszła na chwilę. Potem jedziemy do fotografii.

— Ach! dlatego jesteś taka piękna..

Wbiła oczy w tę młodą twarz, tak bezbronnie ku niej zwróconą. I znów ogarnęła

ją myśl, że Wende będzie niedługo mężem tej dziewczyny, a ojcem jej dzieci.

To głównie, to nie mogło jej opuścić, to ostatnie.

Jaga starała się być uprzejmą.

— Może pozwolisz cukierków?

Podała jej olbrzymie, nieprzyzwoicie wielkie pudło czekoladek, pachnące z daleka »konkurami« i ich całą głupotą.

— Dziękuję, nie jem słodyczy!

Milczały, nie mając co mówić.

One obie przecież miały jeden temat, który, gdyby chciały poruszyć, ich myśli wyzionęłyby ze siebie całą głębię i szczerość ich żalów i pragnień, ich bólów i radości.

Ale lękały się poprostu. Jaga bała się Reny instynktownie. Chroniła przed nią swą miłość dla Wendego, chroniła swe uczucie.

Rena znów bała się samej siebie, bała się wymówić nazwisko tego człowieka, aby nie stracić panowania nad sobą.

— Powinnam przecież ją przestrzedz, ją samą. Powinnam jej powiedzieć, że... lecz co? lecz co?...

Obejrzała się dokoła.

Kwiaty ją dusiły. Nie wiedziała, dlaczego, ale zdawało się jej, że jest w pokoju, gdzie niedawno była trumienka małego dziecka.

— Po co ty trzymasz te kwiaty? — spytała szorstko — duszą i dławią...

Jaga zarumieniła się i podeszła do okna Otworzyła je lekko.

Prąd świeżego powietrza wpadł do pokoju.

Rena odetchnęła głęboko.

— Z miłości udusiła się kwiatami Albina...— zaczęła sarkastycznie.

— Kto?

— Och! zakochana w księdzu Murecie.

— Jakto? w księdzu?

— W proboszczu. No widzisz. Zdarzają się takie wypadki. I gorsze jeszcze. Och jakie! To wszystko na tle miłości. Na tle miłości, Jago! Czy wiesz, czasem dzieją się nawet zbrodnie z tego powodu, że się ktoś kocha, albo że komuś zdaje się, że kocha.

— Czyż może się zdawać...

— Że się kocha? Najczęściej, Jago, najczęściej.

— Ja jednak jestem pewna.

— Że się kochasz? Ty może... co zaś...

Jaga usiadła naprzeciw Reny. Na jej czole wystąpiły krople potu.

— Co zaś... Rena... co chciałaś powiedzieć?

W Renie ten aparat »konkurów«, aparat kłamliwy, banalny, uświęcony, zaprowadzony i uprawiany przez tego człowieka, który do niedawna »nie śmiał« tchnąć bez jej woli, ta cała wystawa obłudnego skakania przed uwiciem sobie legalnego i solidnego gniazda

wtedy, gdy jej gniazdo dla niej było na zawsze potrzaskane i rozbite, budziły coraz gorsze, coraz namiętniejsze uczucia.

— Chciałam powiedzieć, że nie powinnaś iść za Wendego! — przebiła ostro i gwałtownie, patrząc Jadze prosto w oczy.

Tu nagle pobladła.

— Dlaczego?

— Bo to jest kłamca i podły człowiek.

Odetchnęła, powiedziawszy te słowa.

Bladość Jagi równa była jej własnej bladości. Czuła, że tak samo panuje nad sobą, iż przy bliższem natarciu ze strony Jagi gotowa jest powiedzieć wszystko.

Lecz Jaga milczała. Bezradnie tylko spojrzała na kwiaty, na cukierki, ale milczała.

— Powiedziałam ci to! — zaczęła znów Rena zdławionym głosem — bo tak mi kazało moje sumienie. Pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Wstała. Zdawało się jej, że urosła przez tę chwilę. Pustkę miała pod czaszką. Serce jej biło szybko, a właściwie drżało, jak pociągane za sznurek. Ręce jej zesztywniały w ciepłym puchu mufki.

Jaga powstała także i nagle drżącemi usty przemówiła cicho:

— Dlaczego nas nienawidzisz, Reno?

Nas? Rena nie mogła rozebrać, o kim mówi Jaga.

Czy o Wendem i o sobie? Czy już tak łączy siebie z nim nierozerwalnie?

Ale Jaga objaśniła ją dalszemi słowy:

— Mnie się zdaje, że to dlatego, że moja mama po śmierci twej mamy nabyła Zaleszyńce.

W Renie duma wywłaszczonej z ziemi posesyonatki zbudziła się cała.

— Co? jak? za co? Mylisz się. Sama chciałam pozbyć się Zaleszyniec. Ciężar bezużyteczny. Czy kupiła to twoja matka, czy byłby kupił jakiś inny nabywca, było mi to obojętne.

Kłamała, kłamała...

Po śmierci matki nie mogła się utrzymać przy Zaleszyńcach. Mąż jej, żeniąc się z nią, spłacił długi, lecz przez lat kilka ów rządca »poczciwy i wierny«, następnie sama matka, ciężko i kosztownie chora, ciągle po zagranicznych sanatoryach, zaciągnęli nowe i znaczne pożyczki.

Rena nie mogła żądać od Brzeziewicza, aby dla fantazyi jej przywiązania do »rodzinnego kąta« ciągnął dalej ciężar, na który nie miał właściwie funduszu.

Okęcka, czyhająca oddawna na dwór zaleszyniecki, którego zazdrościła starszej siostrze od pierwszej chwili podziału rodzinnego spadku, skorzystała z okazyi, nabyła za bezcen Zaleszyńce i sprowadziła się natychmiast.

Rena od tej chwili była raz jeden w Zaleszyńcach i przeżywszy tam tragedyę swego stosunku z Wendem, nie pojawiła się już wcale.

Niemniej przeto w głębi jej duszy była nie zagojona rana tęsknoty za tym czarem rodzinnego dworu, który, uśpiony w niej, powstawał widmem i szarpał ją tęsknotą i bólem nieokreślonym.

Śmiała się jednak szyderczo, patrząc Jadze w oczy.

— Co? jak? Zaleszyńce?... dawno o nich zapomniałam.

Lecz Jaga, jakby chcąc przebłagać tę nienawiść, która wrogo ku niej szła, straszna i groźna, mówiła słodko:

— Bo, Reno, widzisz... Zaleszyniec nie można nie kochać. Takie cudne, takie śliczne. Zwłaszcza na wiosnę, bzy, jaśminy! Tak pachną... jeszcze się rozrosły. Zasadziłam trzydzieści odmian róż. Ja się tam nie urodziłam, a przecież nie chciałabym Zaleszyniec opuszczać. Za nic! Więc my po ślubie będziemy mieszkać w Zaleszyńcach.

— A!

— Tak. Pan Czesław wypuści swoje dobra w dzierżawę, a osiądzie w Zaleszyńcach. Sam tak zaproponował.

— Tak... mówił, że i on lubi Zaleszyńce.

Rena ironicznie i boleśnie podchwyciła:

— Lubi Zaleszyńce...

— Tak... mówił, że ma bardzo przyjemne wspomnienia z tych chwil, gdy był u nas na praktyce. Ty pamiętasz, Reno, bo przyjechałaś do nas także wtedy. Ja byłam jeszcze w krótkiej sukience i zazdrościłam wam, gdy jeździliście konno. Zdawało mi się, że lubiłaś wtedy pana Czesława.

— A więc on to nazywa przyjemnemi wspomnieniami?

— Tak sądzę. Nie wiem, czy to, ale tak powiedział. Sądzę, że te chwile. Bo przecież musiał się nudzić między tatkiem, mamcią i mną, głupiutką i nieśmiałą. Tylko wtedy, gdy byłaś, ożywiał się.

Rena oparła się o ścianę.

Mgła zasunęła jej oczy. Smutek straszny, bezpamiętny ogarnął ją całą.

— Więc.. chciałam ci powiedzieć! — ciągnęła dalej Jaga, ożywiając się i ośmielając powoli, że, jeśli zechcesz, możesz zawsze przyjechać do Zaleszyniec i uważać je tak, jakby były twoje. Wiem... że z mamą moją niebardzo się możecie zgodzić, ale mama będzie dużo jeździć po krewnych. Już mi to zapowiedziała. Ja zaś i pan Czesław przyjmiemy cię zawsze całem sercem. I jestem przekonaną, że... pozyskamy wszyscy twoje serce. I ja i Zaleszyńce... a pana Czesława będziesz lubić, jak dawniej.

— Jak dawniej?...

— Tak. Będę taka szczęśliwa...

Rena czuła, że dłużej słuchać miłego głosu tej dziewczyny nie będzie w stanie. Oderwała się od ściany i skierowała ku drzwiom. Długa jej, wązka suknia, ciemnej, rdzawej barwy, wlokła się za nią miękko, bez szelestu.

— Odchodzisz?

— Idę, Jago! Bądź zdrowa! I pamiętaj, co ci powiedziałam. To jest kłamca i podły człowiek!

Lecz Jaga przycisnęła ręce do piersi.

— Nie, Reno! nie! ty się mylisz. On ze wsi, on nasz, on nie może być złym człowiekiem!

Lecz Rena nie słuchała i wyszła pośpiesznie.

XI.

Rena znalazła swoje konie i powóz, oczekujące na nią przed hotelem.

Wsiadła do karetki prawie nieprzytomna. Rzuciła woźnicy adres modniarki, pierwszy lepszy adres, który nawinął się jej na myśl.

Dostawszy się do wnętrza powozu, wtuliła się w róg i siedziała długo z zamkniętemi oczami.

Ciągle miała przed sobą rumianą twarz Jagi, z której krew ściekała do serca i stawała się tak bladą, jak opłatek.

— Kocha go, kocha... to widoczne. Będą szczęśliwi! będą szczęśliwi!

Zdawało się jej, że ktoś pazurami wydziera to szczęście z jej duszy. Wszak ona je miała, posiadała, tarzała się w niem do tej chwili, a obecnie okrutnie, brutalnie oddać je musi.

Nie, Wende był przecież tem jej szczęściem, tylko coś nieokreślonego, nieuchwytnego, jakby poczucie i pewność trzymania

zaciśniętych szponów na jakiejś kornej egzystencyi, która się wyzwolić nie śmiała.

U modniarki Rena starała się obudzić w sobie »kobietę« i całą zewnętrzność lalkowatą i chłodną. W olbrzymich salonach, wysłanych ciemno-czerwonym puchem dywanów, snuły się panny sprzedające, ubrane czarno, niezadowolone, sztucznie uprzejme i uroczyste. Dokoła piętrzyły się białe pudła, a do ścian przylegały szafy, zaciągnięte sfałdowaną zielenią firanek jedwabnych.

Jakiś nieokreślony zapach piór, delikatny, a mimo to ostro drażniący, pomieszany z zapachem klejowym sztucznych kwiatów, przepełniał powietrze.

Na stołach nieruchome szeregi strojnych kapeluszy mieniły się barwami intensywnemi, będącemi w modzie. Kaskady dziwnych piór wybiegały z mieniących się kokard i opadały, drżąc leciuchno za najmniejszym powiewem powietrza.

Jasne kapelusze wznosiły tryumfujące egretty, przejrzyste, rozkoszne, jak struny harf miniaturowych, czasem nakrapiane leciuchną rosą sztucznych dyamentów i pereł drobniuchnych.

Było w tem coś z turbanów, zawojów wschodnich, przepuszczonych przez absolutyzm napoleońskiej epoki, coś potrącającego o indyjskie wampum tęczowe i zwycięskie.

Brak czarującego upiększenia, jednostajność barwy włosów zastępowała kobieta pięknością zapożyczoną, zdartą z głów, albo ciał zmiażdżonych trupów. Pławiła się rozkosznie w tej atmosferze nagromadzonych przystrojów, którymi mogła okolić swą twarz, zwracając bardziej uwagę na swoje wdzięki.

Liczne postacie kupujących dam, jak zahypnotyzowane, stały przed ogromnemi lustrami, w których odbijały się całe od stóp do głów. Obok luster paliły się lampy elektryczne, pomimo że na dworze biało było od światłości dziennej.

Wszystkie te panie odziane były w kosztowne futra, miękkie i fałdziste.

Ciemna tajemniczość loutre'ów przeważała, otulając smukłe postacie chłonącą światło odzieżą.

Rude nurki, fryzowane karakuły, srebrzyste szynszyle, pomieszane z gronostajami, długie boa z tumaków, lisów czyniły z tych kobiet jakiś tłum prymitywny, strojny w skóry zwalczonych po lasach zwierząt.

Lecz ich fryzury niezwykłe, łańcuszki pełne fantazyjnych breloków, migocący lakier bucików, zapach perfum, szelest jedwabnych spódnic, długich, miękko spadających szat, ich szczebiot i gesty wyuczonych doskonale lalek, znajdujących się dopiero »u siebie« w tej sztucznej atmosferze, podnoszącej ich wdzięk

i czar wrodzony, świadczył dostatecznie o kulturze i uprawie tych wyrafinowanych w pewnym kierunku istot.

Rena, przyjęta z wielkiem odznaczeniem przez sprzedające panny, zajęła stanowisko przed jednem z luster i rozpoczęła machinalnie przymierzanie kapeluszy. Dlaczego to czyniła, nie wiedziała sama. Znano jej gust. Wiedziano, że lubi wielkie Gainsborough'i rzucające cień na jej delikatną twarzyczkę.

Podawano jej kolejno kapelusze, które ona kładła na głowę, udając zainteresowanie. Myśli jej jednak błądziły ciągle w hotelowym pokoju, pełnym zamierających kwiatów i cukierków, kolo postaci Jagi, strojnej i zalęknionej, oczekującej z taką ufnością na swego narzeczonego.

— Podli i wstrętni!... — pomyślała, wskazując równocześnie na pierwszy lepszy kapelusz i każąc go sobie odesłać do domu.

Wyszła szybko, nie zwracając uwagi na kłaniające się jej postacie.

— Powietrza! — myślała — powietrza za każdą cenę. bo się uduszę!...

— Jedź na Zamek! — rzuciła woźnicy.

. . . .

Za kilkanaście minut Rena, wysiadłszy z powozu, szła po pustych alejach góry, na

której resztka ruin szarzała wśród rózeg drzew bezlistnych i krzaków.

Szczątki feudalnych dzikości, rozkruszone, jak kawałki zczerstwiałego pieczywa, marnie i głupio, nadawały jednak pewien ton wielkości brutalnej temu zakątkowi. Stok góry, napozór dziki i opuszczony, krył w swych gęstych krzakach ścieżki, któremi już obecnie schodziły w letnie niedziele grupy rodzin mieszczańskich, trzymających się »pod ręce« do restauracyi, oblegających podstawę góry, na kufel piwa, na raki.

Rena nie wiedziała nawet o istnieniu tych knajp przygodnych, nie słyszała nigdy dzikich wrzasków żydowskich orkiestr, zaczynających o zmroku swój zmieszany, straszny, groźny jakiś koncert. Przychodziła na Zamek tylko we dnie i najczęściej w zimie, nie przyprowadzając nawet Adzia, gdyż chciała mieć na świecie jakiś kąt, w którym czułaby się zupełnie sama.

I była tu rzeczywiście sama i czuła się czasem spokojna, a nawet jakaś lekka, wśród tych dróg i dróżek, zasypanych śniegową bielą lub zasianych złotością jesiennych liści.

Wzrok jej wybiegał w olbrzymie półkole pól zamiastowych, przeciętych gdzieniegdzie taflą stawu lub jasnością złotawą wyścigowego pola.

Miasto lekko, koronkowo jakby spływało

z góry w te pola i wrzynało się w nie strumykami coraz niższych, coraz uboższych domów, które zdawały się niknąć i ginąć w oddali. Widziane tak z daleka, drobne, nieruchome, martwe, stonowane w liniach, zatracało szpetotę kosmopolityczną, tak podatną do pokrycia i wchłonięcia w siebie wszystkich mętów i jadów, jakie społeczeństwo miejskie cechują.

Zdawało się puste i nie zamieszkałe, obumarłe i zapomniane. Patrząc na nie stąd, Rena lubiła je nawet, lubiła na nie patrzeć, bo miała wrażenie, że jest to coś panoramowego, z czem się jej dusza nie wiąże.

Wtłoczyła się w to widowisko sama, okrutnie i brutalnie, utrzymywała się w niem, czując, że to, co jej środowiskiem było, zdradzieckie jest dla niej i groźne. Zrobiła wszakże próbę...

I teraz jak strasznie pokutowała!

. . . .

Oparła się o balustradę z brzozowych gałęzi na kraju góry i pozostała tak nieruchoma. Iść dalej nie mogła.

Dokoła niej zaczęły krążyć kawki z wrzaskiem i nawodzić ją jeszcze łatwiej ku dawnym wspomnieniom.

Zaleszyńce!

Nie te — jej dziecinne, ze stajnią i oborą,

dla niej na rozcież otwartą, z kucem, kilkakrotnie na dzień zaprzęganym i sadzącym po ścierniskach i brózdach, w których spały zające.

Nie te Zaleszyńce, gdzie bosa tańczyła po kałużach jesiennego błota, urządzała sobie salony w krzakach bzu i wracała z nich z głową ciężką od upajającej woni i rozmarzenia sennego.

Nie te Zaleszyńce, drogie i zarazem straszne, w których poczuła i przeczuła przyczynę swej choroby; nie te, przed któremi uciekła, rzucając się w objęcia Brzeziewicza i w wir miasta, lękając się, aby to »środowisko« jej rodzone nie wyżarło z niej resztek sił, a równocześnie nie doprowadziło jej do ostateczności.

Lecz te Zaleszyńce, do których wróciła nie mogąc się oprzeć tęsknocie strasznej, a która, potęgując się widocznie w negacyi, zdławić ją chciała.

Na pierwszą propozycyę męża w kilka lat po ślubie, który, jadąc na kongres neurologów, sądził, iż sprawi Renie wielką radość, odwożąc ją do Zaleszyniec, zgodziła się drżącym od wzruszenia głosem.

— Ależ tak... pojadę... — odrzekła prędzej, niż zdołała w sobie sformułować tę odpowiedź i wyczuć ją.

Widocznie w głębi serca, w głębi mózgu

to pragnienie, ta odpowiedź żyła, drżała, rosła, aż wybuchła z niej, jak płomień, jak lawa, bez jej woli, bez jej współudziału skoncentrowała się w tym krzyku.

— O tak! pojadę!...

Jak statua z czarnego marmuru, tylko świecąc białą, delikatną twarzą, stoi Rena oparta o baryerę, napozór nieruchoma, a cała drgająca od bólu, żłobiącego w niej wielkie, tragicznerysy, nie ukształtowane jeszcze, a przecież dojmujące przestrasznem odczuciem.

Pod delikatną, jak listki róży thea, skórą twarzy, przebiegają dreszcze i mkną ku oczom, w których wyrazie skoncentrował się całą potęgą żal tych, którzy nie potrafili jeszcze wznieść się do tych szczytów, na których wiara w przeznaczenie koi i rozgrzesza wszystko.

XII.

Naszło na nią, jak wampir...

I zaczęło ssać jej serce...

Litanię jakichś głosów, skłębionych w oddali, majaków, obrazów mglistych...

Widzi...

Tak — zajechali przed dwór zaleszyniecki.

Wydaje się jej niższy, słupy jakby wbiły się w ziemię. Z okien płyną żółte światła. Tak samo rolet brak, jak za czasów jej matki.

Ciotka kupiła Zaleszyńce z inwentarzem. Więc powóz ten ich dawny, który tak starannie obmyty i wyczyszczony woził ją lekko i sprawnie na sumę do kościoła.

W czwórce dwie jakieś klacze przykupione, dwa konie dawne, jej znane i lubiane.

Ten sam Ostap na koźle w swej kozaczce szafirowej, fałdzistej, przeciętej żółtą linią pasa, w ceratowej czapce na głowie. Przed powozem chłopak konno z latarnią, która ściele świetlaną ścieżkę pod kopyta końskie.

Szerokie zatoczyli koło, z pobrzękaniem gadatliwem dzwonków, zatrzymali się przed gankiem...

Renę owionął czar woni bzów i wiosny rozkwitłej, bijącej ciepłem z ziemi. Jakże porwałaby się z powozu i biegła w ten sad, który czarną masą dźwigał się za domem!

Noc była duszna, parna. Wonie kwiatów słały się nizko, jakby kornie modląc się i snując. Rena musiała witać się z wybiegłą na ganek, trochę rozespaną Jagą.

Potknęła się o coś. To był jeden z bujających foteli, na którym siadywała lata całe jej matka, paląc papierosy.

Zdawało się jej, że dostrzega jej widmo smutne, na straży grobu swego ducha.

Jaga wprowadziła ją do oświetlonej jasno sieni. Uderzył ją wieczny i charakterystyczny zapach nafty, bo na stole pod oknem lokaje od lat całych »lampy oprawiali«.

— Jak dawniej... jak dawniej...

Okęcka czekała na nich w salonie.

Z wielką godnością powitała Renę i z grandezzą podała rękę Brzeziewiczowi.

— Mam nadzieję, że nie jesteście bardzo znużeni... — przemówiła swoim sztywnym, dziwnym głosem.

W salonie Rena dojrzała pewne zmiany. Jakiś bez stylu garnitur, obity adamaszkiem, panoszył się na środku. Dawne sprzęty pou-

suwano pod ściany. Niemniej były serwantki, sepecik z XVI wieku, gdańskie biurko, podobne formą do klęcznika. I zwłaszcza lustro empirowe, długie, przed którem Rena rosła, żyła, rozwijała się, poznawała i zaczęła kochać siebie i nienawidzieć.

— Jest, jest... nasze, nie nasze! — myślała.

Spojrzała przelotnie na męża.

Nie starał się odczuć, co jest w jej sercu, nie rozumiał pewnie. Troszczył się o swoje i jej necesery i o to, czy dobrze się przedstawia.

Miał bowiem ten szacunek dla posesyonatów, i brał on w nim górę nad wszelką subtelnością uczuć innego rodzaju.

Okęcka wydawała lokajowi rozkazy.

— Niech podają kolacyę!

Za chwilę siedzą wszyscy przy stole jadalnym.

Gęste kiście bzu stroją kominek. W kącie Rena wita starą, wysiedzianą sofę, okrytą jarmolinieckim, dziwnym kilimkiem chłopskim, w szachownicę szafirową z amarantową barwą.

Zna tą sofę i kocha ten sprzęt, z którym wiążą ją całe szeregi wieczorów, przespanych po dniach, które wydarły jej całą energię i siłę nerwową.

Przerzucona pół-korpusem przez poręcz sofy, drzemała rozkosznie, słysząc w oddali

mglistej głosy matki, nauczycielki, starego rządcy, ekonoma, często Tatyany, swej dawnej mamki, lub gadatliwej klucznicy zakochanej w kucharzu. Słyszy i widzi te wszystkie postacie, walcząc ze snem zupełnym. Ciekawa jest i nie chce tak tonąć w niepamiętnym śnie. Lęka się posłyszeć to codziennie:

— Niech dziecko idzie spać... serce, Tatyano, niech się panienka nie rozsypia.

Zaciska wtedy oczy, piąstki, kurczy bose nóżki i rozpoczyna walkę z Tatyaną o troszeczkę tej drzemki na sofie.

Na jej sofie.

Okęcka wzrok Brzeziewiczowej dostrzega.

— Dziwisz się, że jeszcze ten stary grat trzymam, ale tak jakoś schodzi.

Zasiedli do stołu.

Porcelana ich dawna, w muszki błękitne z wązkiemi, zielonemi obwódkami. I lokaj, może nie ten sam, ale taki swojski, z wąsami mały, niepozorny, z twarzą mumii, stoi, jak manekin, przy kredensie, przy półmisku nakrytym srebrną pokrywą.

Tylko zasiedli do stołu inaczej. Na miejscu jej matki ciotka Okęcka. Po prawej miejsce dla Reny. Jej miejsce dawne ma zająć Jaga.

Rena zwraca się szybko ku niej.

— Pozwól mi. Niech tu usiądę.

— Chętnie.

Okęcka poprawiła okularów.

— Dlaczego?

Rena nie chce się tłómaczyć.

— Tak sobie.

Siadają.

— Czy pan Czesław wie, że kolacya podana?

— Wie, proszę jaśnie pani.

— Jedzmy!

Lampa rzuca jasne światło na głowy siedzących.

Jakaś bezbarwna nauczycielka, Litwinka, blada i mizerna, instrument, pośredniczący pomiędzy mózgiem Jagi a »wiedzą«, chora na żołądek, je kaszkę. Obok niej puste miejsce.

Rena mimowoli na to miejsce spogląda.

Siedział dawniej na niem stary rządca, którego ciotka odprawiła. Rena nie lubiła go, czując w nim instynktem dziecka fałszywego człowieka, lecz dziś brak jej nawet i tej nie lubianej postaci.

— Wewnątrz! — myśli — wszystko inne: oto siedzi inna matka, inna panna na wydaniu, inna osoba z muzyką... tylko tam... brzozy, topole, bzy, irysy, tylko te moje stare sprzęty przechowały się dla mnie z całą swą miłością, przytulnością i duchową przyjaźnią. Witają mnie kochane i drogie... Tylko one...

Ciotka Okęcka tymczasem stara się bawić

Brzeziewicza. On nawzajem płaci jej wymową elegancką i wytworną.

Wymieniają zdania o rzeczach nic nie obchodzących i wyciąganych z teki grzeczności za uszy.

Wreszcie urwali.

Pierwsza potrawa i pierwsza wymiana grzeczności załatwiona. Ciotka Okęcka poprawia okularów i zwraca się do służącego:

— Czy pan Czesław wie, że kolacya podana? — zapytuje.

— Chłopak właśnie chodził. Panicz zajęty przy wypłacie, zaraz przyjdzie.

Rena teraz wie, że ten kto zajmie miejsce dawnego rządcy przy stole, jest »panicz«, a więc ktoś, praktykujący przy gospodarstwie i nazywany zwykle w tych stronach »paniczem«.

— U nas nie było panicza — myśli.

I znów jak przez sen, słyszy rozmowę ciotki z mężem.

— Jaka sztuczna, jak nieszczera... — przechodzi jej przez umysł — na jednym punkcie wieś i miasto porozumieją się zawsze. Na punkcie obłudy i konwenansowej nieszczerości.

Drzwi do jadalni otwierają się cicho.

Rosły, silny, ubrany w widocznie pośpiesznie wrzucony żakiet, wsuwa się z pod por-

tyer młody mężczyzna. »Panicz« jest widocznie zdrowiem obdarzony.

Rysy ma regularne, wąsy ciemne, cokolwiek rude, owal twarzy pełny i coś jakby podbródek, co dziwi w tak młodym wieku. Ręce obrosłe włosami, nieśmiałe jakieś, tępe i bez wyrazu. Za to oczy błękitne, ciemne, prawie szafirowe i pełne tak bezdennej rozmarzonej dobroci, że aż ciągną ku sobie, jakby zdawały się zapowiadać swem zbliżeniem wielką błogość i ukojenie.

Ruchem trochę niezgrabnym nowoprzybyły powitał towarzystwo.

Lecz już ciotka Okęcka gestem szablonowym, nic nie znaczącym przedstawia:

— Pan Czesław Wende... nasz sąsiad.

Brzeziewicz pośpiesznie podał mu rękę.

— Doktór Brzeziewicz.

Usiedli.

. . . .

Z otwartych okien, z bukietów, bielejących na kominku, płynęła przesłodka, rozkoszna woń.

Dokoła lampy kręciły się dwie śnieżne ćmy mniszki, wirowały i ginęły.

W oddali naszczekiwały psy wiejskie.

Milczenie panowało dokoła. Słychać było tylko delikatny szczęk srebra o porcelanę zastawy.

A Rena myślała, że do tej woni przesłodkiej, do tego nastroju wiosny wiejskiej, płynącej od rozpachnionych pól i łąk, jedynie tylko odpowiada w tym dworze wyraz oczu tego młodego człowieka, którego ciotka przedstawiła:

— Pan Wende, nasz sąsiad.

Oczu, mających właśnie słodycz ciemnej, pełnej prostoty nocy wiosennej...

XIII.

Dziwna noc!

Noc czarów i tajemnic pełna.

Och! nie pusty to dźwięk te słowa. To coś prawdziwego, istniejącego, sprawdzalnego, o rozpachnionem lecie — nadpłynie taka noc na Podole, na jego jary i wgłębienia, na jego ciche, stawy nie zmącone i pokryte lasem oczeretu, na jego chaty szafirowe, o białych słupach i oknach, otoczone drobiazgiem drzew wiśniowych, natkanych pękami owocu.

Tu i ówdzie krzyż wykwita, ten krzyż, zda się, zwartwychwstały, któremu nie wolno było do niedawna rozpostrzedz ramion nad wolnymi, szczerymi bezmiarami pól. Cicho, jak w baśni, rozpięły swe skrzydła wiatraki, zebrane po trzy, po dwa, jak stare baby, zmęczone terkotem i smutkiem życiowym. Ledwie je znać, ledwo się dźwigają wśród pól.

Gdzieniegdzie zaczerni drzewo wśród kępki lasowej. Ale przycichnie wnet. To znów ode-

zwie się symfonia dalekich, psich rozmów i jęków. Przebija ciemnię i skona w ciemności.

Jękliwa gra w oddali, w głębi sadu jakaś harmonijka. Gra coś rwącego trzewia, coś, co aż prosi się o samobójczą śmierć, coś, co niesie krzykiem tonącej waryatki, skaczącej z grobli w głąb stawu. To się nazywa »pieśń« i zawodzi ponad ziemią chromatycznie, zawodzi ta harmonia, dławiona niewidzialną ręką melancholika.

— Gra, jak dawniej — mówi do siebie Rena, stając na progu oficynki.

Umieszczono ją w tej oficynie, która dawniej była dworem. Te cztery pokoiki, sionka, kuchenka starczyły na wszystko. A potem zaczęto się już potrącać i czuć ciasnotę.

Nie szukano się wzajemnie. Uciekano od siebie.

Stanął dwór o kolumnach i dużych drzwiach.

Oficynką zamianowano tę drobną budowlę, którą całą miłosiernie okryło dzikie wino i ogrodził gęsty żywopłot.

W sieni schodziły się piece, grubki tak zwane, w których paliło się słomą. Rena już znała stary dworek-oficynkę. Kochała ją. Tu mieszkała »osoba z muzyką«, i tu była uczelnia Reny.

Na prawo — teraz zajął ten pokój jej

mąż. Widziała przez uchylone drzwi, że zawsze tam stoi koło ściany biedermajerowska szafa z drzwiami w kratkę, która ją w zachwyt wprowadzała. I stół duży orzechowy na jednej nodze...

Wszystko...

W pokoju, który dla niej urządzono i który znajdował się naprzeciw pokoju męża, znalazła swe dawne panieńskie łóżko w formie łodzi.

Ten »empire« cenny i niezwykły nie znalazł widocznie łaski w oczach ciotki Okęckiej. Wdzięczna jej była Rena za ten brak smaku. Na ścianie zegar z kurantem złocił się przy świetle kandelabrów. Widocznie Jaga postawiła na gdańskiem biurku bukiet groszków różowych i delikatnych. Rena garstkę ich przypięła sobie do piersi. Mała odgadła instynktownie ukochany zapach Reny. Sweet Tea. Słodki Jasio, zmieniony w ciągu życia i wyrugowany modą ideałów i...

Tak, jak jej myśli, jej pragnienia. Słodycz ich woni, ich linii, ich barw, wypaczył się boleśnie i nawet piekąco.

Tak, jak ona cała!...

. . . .

Rena wysunęła się na dziedziniec.

Chwilę patrzała z oddali na tajemnicze

piękno, jakie przedstawiała tonąca w cieniu winogradowych festonów oficynka.

Okno jej otwarte, drobne, małe, ujawniało wnętrze jakieś przedwiekowe, przyciszne i przytulone. Z łoża jej kołdra żółta adamaszkowa, obrzucona koronką, spadała, wlokąc się po skórze niedźwiedziej, rozpostartej poddańczo na zwierciadlano wyfroterowanej posadzce.

Na stoliczku, podtrzymywanym przez lirę o złotych strunach, płonął mosiężny kandelabr, dwa gryfy splątane z rozpostartemi skrzydły.

Mahoń łóżka, stolika, jakiegoś krzesełka, rzuconego na środku pokoju, na którem zwisał jej podróżny płaszcz o blado malinowej podszewce, zdaleka, przez te okna, robił wrażenie tych wnętrz Vuillard'a, pokrytych patyną, oświetlonych żółtawym niepewnym blaskiem i przepojonych wdziękiem. Rena z całą miłością chłonęła w siebie ten widok.

Wzrok jej ogarnął cały dziedziniec pusty i cichy.

Z okien dworu gdzieniegdzie wylewał się na zewnątrz blask. Jedno okno przesyłało światło błękitne.

Płacząca róża biała kwitnąca, naprzeciw okna, zdawała się cała w tem świetle srebrnym i metalicznym bukietem kwiatów, osypanych brylantowym pyłem.

Czarne grupy drzew i krzewów, stulone

dokoła, bramowały olbrzymi okrąg środkowego trawnika. Tylko niewyraźnie, w oddali, szarzała wielka kamienna ławka o greckich kształtach, pęknięta na dwoje, niosąca ze sobą wspomnienia pierwszego cesarstwa, legendowych brutalstw i nadziei, korowodu trupów i dam półnagich w swych tanagryjskich strojach.

Rena powoli zaczęła iść ku tej właśnie ławce. Stamtąd widziała całe serce Zaleszyniec i tam siadywała często, zwłaszcza gdy następowała w niej przemiana i dziecko zapadało powoli w jakąś nicość, a ujawniała się w niej kobieta.

Tu długie nocne chwile, odziana w pled, trawiła, chłonąc w siebie czarowną woń cieni i roślin, pozwalając odpocząć swym zmysłom i badając samą siebie.

I w tej chwili czuła, że potrafi odpocząć tak, nie po dniu mozolnie przemęczonym, lecz po szmacie swego życia, które przedstawiało się w tej chwili, jakby skopany i stłumiony łan przepysznie zapowiadającego się zboża.

Usiadła na ławce i zanurzyła się cała w ciemni, chłodzie i ciszy.

Ogarnęła ją radość wielka, niezmierzona.

. . . .

Czuła, tak jest — czuła, że jest spokojna, że nie drży, nie walczy, nie szarpie się cała.

Miłośnie, lekko, prosto jej było w duszy i w zmęczonem ciele. Prosto i świeżo. Inaczej tego określić nie była w stanie.

Tuliła się cała w przepych rzeczy pięknych i niewzruszonych, w ukochanie mądrości spokojnej, jaką wyznawały w tej chwili czarowne siły przyrody.

Jak każdy chory newowo przy zmianie środowiska, promieniała radością, iż wreszcie znalazł się zakątek, gdzie błogość dziwna wstąpiła w nią całą.

Nie pamiętała, jakie męki nerwowe przebyła już tutaj, wśród tych samych rozkosznych piękności, które wznosiły się dokoła niej, jak świątynia cicha, nieskalana i niewzruszona.

Czuła tylko, że jest spokojna, że miasto i szarpiąca, drażniąca ciągle jego atmosfera pozostała daleko, jak widmo senne, i zapadła w otchłanie.

Z miejsca, na którem siedziała, przez gałęzie drzew, widziała oficynkę i okno pokoju, zajmowanego przez męża.

W tej chwili światło zgasło. Ulga Reny była teraz zupełna. Lękała się, aby Brzeziewicz nie wyszedł jej szukać.

Nie jego to bowiem postać wywoływała jej pamięć.

Obraz jego konkurów i ślubu raczej przy-

kry i nie łączący się z nastrojem tej chwili był dla niej.

Niech śpi, to najlepsze... — myślała — niech odpoczywa hygienicznie i nabiera sił. Niech egzystuje za tem czarnem oknem, niech egzystuje sam i dla siebie!

. . . .

Powoli wzrok Reny oswajał się z ciemnością.

Rozróżniała dokładnie kształty drzew, krzakow i zabudowań. Na środku trawnika dojrzała swój ukochany, błękitny świerk. Barwy uspokajającej i dziwnej rozróżnić nie mogła, lecz kształt stożkowaty dostrzegła doskonale.

— Ty mój ukochany! — przemówiła miłośnie.

I w tej chwili ogarnął ją żal, ból ciężki, jakiś wyrzut, że porzuciła to wszystko, co było jej, poszła z obcym, zupełnie różnym od niej człowiekiem światami i żyła tam życiem istototy, która nic nie ma, jest wydziedziczona, nie ma szmata ziemi własnej, na którym skonać może.

— Jak mogłam! jak mogłam! — biła się ze sobą boleśnie i ciężko — jak mogłam!...

Drogą od stajen, których masy dźwigały się w oddali, poza sztachetami, szła jakaś postać, odziana w jasną suknię.

Rena poznała instynktem Tatyanę, swoją dawną »nianię«, która pozostała we dworze, pomimo zmiany właścicielki. Obecność jej była Renie miła.

Tatyana bowiem dopełniała tych miłosnych rzeczy przeszłych, które zagarnęły ją pod swój królewski, spokojny płaszcz.

Wyciągnęła rękę.

— Tatyano!

Chłopka zatrzymała się.

Była zawsze rosła i prosta. Mazurka, jak całe Zaleszyńce, nosiła się jednak moralnie i z odzienia zwyczajem Podolaków.

Koszula jej spięta była pod szyją mosiężną spinką, spódnica ciemna, bronzowa, fartuszek jasny, kilimkowy, pasiaty.

Tylko kaftanik perkalowy, krojem miejskim, okrywał jej plecy, i chustka, brzydko związana pod brodą, kryła twarz, w której była jakaś siła i upór chłodny, pomimo olbrzymiego temperamentu, z jakiego Tatyana słynęła.

Lata spłynęły po niej bez śladu. Twarz, wykuta kształtnie, pozostała nią, chód jej nie stępiał.

Rena pamiętała, że Tatyana zawsze tak o letnich nocach powracała od strony stajen, a ona wtedy, dziecko, zrozumieć nie mogła, dlaczego niepokój jej nerwowy zwiększał się

za zbliżeniem »niani« w powrocie z takiej nocnej wycieczki.

— Tatyano!

Ta otworzyła ramiona.

— A Renusia... już chciałam iść do oficyny. Widziałam, że w oknie światło i do ciebie mnie ciągło — przywitać, się serce, z tobą.

Rena wsłuchiwała się w ten głos równy, nizki, zadowolony.

Patrzała na tę pierś szeroką, wygodną, na której zasypiała kiedyś tak chętnie.

Tatyana tymczasem siadła obok niej i objęła ją delikatnie.

— No... jakże ci tam, Renusiu, w mieście? co?...

— Źle, nianiu!

— O!... czemu?

— Źle, bo w mieście.

Chłopka zastanowiła się.

— A no, to pewnie. Ty tutejsza, to nie dla miasta. Ja, jak do kościoła, albo na jarmoliniecki czy wyżnicki jarmark pojadę, to aż się serce do góry odwraca. I smród, i ludzie źli. Wieś, to wieś. Ha? co?

— Tak, nianiu!

Chłopka westchnęła.

— Za nieboszczki pani — zaczęła znowu — pewnie, że i lepiej było. Choć teraz większy ład i porządek, ale to na oko. Takie nowości

powprawadzali, a ciągłe zmiany. Parobków, dziewek co chwila innych zwożą, naganiają. Już nie rozróżnić, kto i co. Klucznica też pyskata, kucharki piekarnianej niema, za to pszenica przeszłego roku była, jak czyste złoto, a mleko się teraz zakontraktowało z Dobrowyżą, gdzie panienki mają centryfugi. U nas też jest centryfuga. A jakże. W garderobie. Rena jutro zobaczy. Tylko słowików niema. Wie Rena, het odleciały. Renowa brzoza w parku rozrosła się, że haj, i Kozaka syn ożenił się z wnuczką takiej jednej z pod Melsztyńca. Wrony też precz poszły. Panicz je wystrzelał. Widziała Rena panicza przy kolacyi? To syn Wendego z Horodenki. On dużo porządków zaprowadza. Jest trzech gumiennych. Podobno jaśnie pani ziemię założyła w banku. A panicz tu mieszka, tu — o — jeszcze się u niego świeci.

Rena spojrzała w kierunku wyciągniętej ręki Tatyany.

W drugiej oficynce, postawionej już przez matkę Reny, a raczej zlepionej z gliny na wzór chłopskich hat — dwa okna oświetlone, osłonięte koronką firanek, majaczyły w oddali...

— Panicz się nazywa Czesław. Rena nie pamięta? Jeszcze za życia nieboszczki mamy przyjeżdżał czasem z ojcem. Taki był wtedy malutki. Rena się z nim bawić nie chciała, bo

miał dwa lata mniej, niż Renusia. Teraz... ho... ho... tylko bardzo skromny. Rena nie wierzy? Jak Boga kocham. Z żadną u nas. Podobno jeździ do Jarmoliniec. Tam jest jakaś, czy coś. Ale tu nie. Nie wierzy Rena?...

Rena wzruszyła ramionami. Co ją to obchodziło, czy ów pan Czesław bawi się z dworskiemi dziewczętami, czy je zostawia w spokoju.

— Ale wierzę, Tatyano... — odparła znużonym głosem.

Subtelne ucho Tatyany w tej chwili pochwyciło nutę znużenia w głosie Reny.

— A ty, biedna moja kureczko, zmęczona Co? A czem ty zmęczona, serce? Drogą? czy tak ot życiem?

— Życiem, Tatyano.

Głos chłopki pogłębił się jeszcze więcej.

— Nie lubisz się z mężem? ha?

Rena milczała.

Tatyana pokręciła głową.

— To już najgorsze. Bo to, co mogło być najlepsze, to będzie, jak jad. No... i czemu tak? On ciebie nie lubi, czy ty jego? Jakże wy tak i przez co się rozlubili?

Rena chwilkę milczała.

— To długo o tem mówić, nianiu! — wyrzekła.

— Ha... tak. Prędko się stanie, a potem długie gadanie. Najgorsze, że się stało. Ja

wiem. Jak porwie jedno do drugiego, tak i odrzuci. Jakby kto wierzbę rozszczepił. Piorun, czy co. Już się nie złączy. No i dzieci u was niema?

— Naturalnie, że niema.

— Ta i lepiej. Takie z prynuki, z musu, to na nic. Nie miałabyś ty do dziecka serca, jakeś do ojca nie miała. No...

Milczały obie. Łagodne wonie rozpachłych grząd płynęły, jak z ukrytych kadzielnic.

— Lepiej ci było u nas tak zostać! — odezwał się nizki głos Tatyany.

W myśli odpowiedziała jej Rena. Chłopka założyła ręce pod piersiami, które ciężko opadły jej na dół. Rena dyszała całą wonią kwiecia i spokojem, ku niej ulatującym. Zdawało się jej, że wznosi się ku źródłom życiowym, że odzyskuje czystość swych pojęć, pragnień i wyobrażeń. W mieście, w ciasnocie zakurzonego zbytku, jakim przesiąkłe było jej istnienie, była pewna, iż nie miałaby już siły, ani chęci do przeciwstawienia swemu przeznaczeniu choćby jednego usiłowania, któreby zaznaczyło, iż nie wygasła w niej jeszcze reszta jakiejś energii i siły. Wiara w fatalizm, »w dolę« która biła całą potęgą z tej ziemi, z tych chat wygasłych, ukrytych w kępach wiśniowych rozwielmożniła się tu jako pierwsza i niezwalczona potęga. Przed nią korzyła się Rena,

lecz życie, które spędziła, podało jej jeszcze pewną możliwość w stanięciu oko w oko z losem. Oto — nie mogąc go zwalczyć, nie czynić nic takiego, z czego los ten chciałby uczynić tragedyę naszego życia. To nie sformowało się w niej jeszcze zupełnie. Lecz tkwiło w niej na dnie i oto rozkwitać zaczęło w chwili stanięcia wśród dawnych jej rodzinnych woni i przedmiotów.

Siedząc tak w milczeniu i ciemni obok Tatyany Rena traciła jakby swą rozpaczliwą beznadziejność. Pustka, która stanowiła główny jej ból, zaczynała wypełniać się jakiemiś postaciami, których kontury nikły w mgle... Nie chciała myśleć o teraźniejszości. Gdy nagle Tatyana prawie szeptem rzuciła:

— Czas, by tobie wracać do męża, Renusiu!

Ona pochwyciła dłoń chłopki.

— Cyt... nianiu! zostaw... niech odpocznę!

. . . .

I długo tak siedziały, a wkoło nich czasem przemknął się cień psa, lub kot w susach po trawnikach przeleciał.

Wieś już cała zagasła i zapadła w czerń. Lekki szmer stawu i szum delikatny oczeretu podnosił się od głębi jaru.

Im noc była głębsza, tem większa świe-

żość i czystość przenikała powietrze. Była to świeżość, właściwa nocom letnim przed nowiem, który groźnie i chorobliwie się skradał.

Obecnie jednak czerń nieba, aksamitna i nieprzenikniona, rozkoszą opiekuńczą zwisała nad dyszącą ku niej miłośnie ziemią. Misterya, kryjące w sobie istotę życia, przyczynę i początek, zdawały się ożywać pod sklepieniem świątynnem. Dusze ludzkie brały w nich udział, wyłączając ciała, smutne w swem niezrozumieniu, lecz jakby na pociechę pozostawiając im cząstkę pewnej świętości tajemniczej, to jest tę melancholię tęskną, którą poiła się w tej chwili spragniona jej Rena.

Melancholię nocy p dolskich.

Dźwigającą się z głębi jarów.

Z szeregów wierzb stłumionych i jakby kornych.

Z chat szafirowo-kraszonych, z chat, tonących w pękach bursztynowych wisien.

Z pogrzebów, gdzie biała trumna kołysze się na wozie, pokrytym kilimami o barwach świeżej kaliny i chrabrów, rosą okrytych...

Z dusz, pełnych prostoty gołębiej i chytrości węża.

Z czynów ofiarnych, idących po drodze Prawdy, i czynów, oddalających się od tej Prawdy rozpacznymi krokami tych, którzy blasku znosić nie mogą.

Melancholię nocy podolskich.
Piła spragniona jej Rena.

* *
*

Z oficynki, zamieszkałej przez panicza, wyszła na drogę ciemna postać, trzymająca ślepą latarkę. Trójkąt światła słał się po ziemi, drgał i dygotał. Wyrwana ze swej milczącej kontemplacyi, Rena drgnęła nerwowo.

Postać kierowała się w górę ku zabudowaniom dworskim, ku oborom i stajniom.

— To »panicz« — wyrzekła Tatyana — idzie do stajen. Jutro prowadzą konie na jarmark do Jarmoliniec. Sam pilnuje.

Rena patrzyła z zajęciem na to światełko. Przypomniała sobie, jak, będąc dzieckiem, nocami wyrywała się tak z latarką do stajen, jaką rozkoszą były dla niej te wycieczki. Porwało się w niej bujne, prymitywne życie. Odruch najlepszy istoty nie spętanej.

— Nianiu, ja też pójdę do stajen!

I, nie słuchając, co jej Tatyana powie, już biegła znanemi jej dróżkami, wyżej ku pagórkom, w ślad za światełkiem latarki, które już zbliżało się do zabudowań, tańcząc, jak błędny ognik, przed oczyma Reny.

XIV.

Ciepło owionęło Renę na progu, ciepło miłe, pełne magnetycznego fluidu, płynącego z nagromadzonych tu ciał zwierzęcych. Radość serdeczną sprawiła jej Leda, suka stajenna, bękart Sztikelhawigów i wilczych, potwór szpetoty, broniący wstępu do stajen z rozpaczliwą zaciekłością jakiejś furyi mitologicznej.

Gdy Rena już po ciemku, bo »panicz« zniknął ze swą latarką w głębi stajni, dążyła ku drzwiom, mając daleko poza sobą idącą w jej ślady Tatyanę, Leda wbiła swe łapy w ziemię i błysnęła dziko oczyma. Lecz w tej chwili opadła cała z natężenia, jakie przybrała, i cisnęła się ku przybywającej z rozkosznym skowytem.

— Leda! — cicho szeptała Rena. — Poznałaś mnie? poznałaś?

Weszła do stajni szybko i śmiało. Z umy-

słu jej znikła różnica, która ją dzieliła od tego prawa własności, które utraciła.

Stajnie nie zmieniły się ani na jotę. U góry tak samo frendzle ze słomy stroiły pułapy. W bokach połyskiwały zady końskie, biły kopyta, szczękały łańcuchy. Gdzieniegdzie w długiej środkowej alei płonęły latarki.

Szło się po deskach, chyboczących, jak klawisze.

Na tabliczkach kredą nakreślone imiona koni. Pod jedną latarnią Rena przeczytała nieznane jej imię Markiza.

— To już wymysł cioci Okęckiej — wzruszyła ramionami.

Pamiętała, że dawniej do niej należał przywilej dobierania imion dla rodzących się źrebiąt. Zależało to od jej nastroju i od literatury, w której była pogrążoną. Raz jeden, nienawidząc ćwiczeń muzycznych, chciała gwałtem nazwać źrebicę gamą chromatyczną. Wyperswadowano jej, tak jak nie dozwolono nazwać świeżo kupionej klaczy Akuszerką.

Rena posłyszała to słowo, nie znając dostojnośni tego urzędu, zaadoptowała je, jako pięknie brzmiące. Płakała gorzko, gdy jej wytłómaczono, że żąda rzeczy w gruncie niemożliwych.

Szybko i pewnie szła Rena środkiem stajni.

Uczuła się sobą samą, sobą dawną, lecz tak, jakby zaczynała swe życie u samego źródła.

Jeżeli połączenie jej milczące z roślinnością zaleszynieckich sadów, ze smętną pięknością nocy ciemnej i wonnej wypośrodkcwało z niej melancholię i tęsknicę rozkoszną, to zetknięcie się i wkroczenie w bujność życia zwierzęcego, to rozkochanie się w zbliżeniu do siły prawdziwej i nie wypaczonej, podniosło ją jakby i zahartowało w jednej chwili.

Nie mogła zrozumieć, czy było to trwałe to stężenie nerwów, lecz wiedziała, iż weszła w jakiś krąg dobry jej i przychylny.

— Tak... tak być powinno! — myślała.

Szła prosto, bo wiedziała, dokąd zmierza.

Tam stał jej ukochany Karmazyn, ogier czystej krwi arabskiej, Miał najlepszy boks ostatni od drugiego wejścia. Stąd dominował na całą stajnię.

Królem tu był, królem bezpodzielnym, bo nawet jego syn, Mandaryn, nie dorównał mu w piękności i majestacie. Stary już był jako okaz — mówili o nim: »stary« — ale Rena zachwycała się liniami jego ciała, delikatną różowawą barwą jego skóry, jedwabną, lekko żółtawą białością ogona i grzywy, z całym zapałem rozmiłowanej, w istotnem pięknie żyjącej — istoty.

10*

Latarnia płonęła u wejścia do przegrody, w której rezydował Karmazyn. Rena podbiegła prawie do baryery i oparła się o słup, na którym wisiała tabliczka. Ogier stał przy żłobie wyniosły i spokojny.

Renie zabiło serce, jakby witała się z dawnym kochanym przyjacielem.

Stała w tem samem miejscu, na którem jako dziecko godzinami pozostawała, wpatrzona w delikatną, inteligentną głowę konia, osadzoną na długiej, smukłej, czerwonej szyi. Tak samo wówczas, jak i dzisiaj, gotowała się z całem skupieniem, aby przeżyć chwilę, z którą później nosiła się długie godziny, jak z czemś wyjątkowem, miłem i kochanem.

Głosem cichym, wzruszonym prawie, Rena woła:

— Karmazyn!

I oto gestem prześlicznym, eleganckim, dystyngowanym w swej powolności Karmazyn odwraca ku niej swoją czarującą głowę i spogląda na nią błękitem źrenic, ocienionych długą, białawą rzęsą. Nic nie zdoła oddać melancholijnej dostojności tego wzroku, uczucia, jakie tkwi w wyrazie tego spojrzenia.

Ten wyraz, to uczucie chwyta Rena w swe wnętrze i powtarza drżącemi usty:

— Karmazyn! Karmazyn!...

. . . .

Z poza drewnianej ścianki, dzielącej ostatni boks od przegrody, przeznaczonej na siodła i wogóle na uprząż, wysuwa się postać męska.

Głos Reny wywabił stamtąd Wendego, który tam konferował z drugim furmanem w sprawie jarmarku. Zdziwiony »panicz« patrzy na Renę.

— Pani tu?

Ona, trochę zmieszana, mimowoli przybiera maskę miejskiej strojnisi.

— Tak... przyszłam.

Ale prędko odrzuca ją.

— Przyszłam przywitać się.

— Ach! tak...

Wende zrozumiał, że ta kobieta witała się w tej chwili z gniazdem swych uczuć najdoskonalszych.

Uprzejmie, jakby z pewnem współczuciem odezwał się:

— Z Karmazynem?

— Tak.

— A widziała pani jego wnuka? Po Mikadzie, synu Karmazyna.

— Mikada dostrzegłam, przechodząc. Wydało mi się, że stracił dawną formę.

Wende się roześmiał.

— Cóż pani chce... lata. Ale chodźmy do wnuka. Ten jest jeszcze w zupełnej formie...

Śmiejąc się, szli po kładce drewnianej,

usuwającej się im z pod nóg, pomiędzy szeregiem boksów.

Wende szedł pierwszy, przyświecając trzymaną w ręku latarką. Rena mimowoli zauważyła korzystną zmianę, jaką wywierało otoczenie obecne na Wendego. Szedł raźno, pewno, śmiało. Był odziany w długie buty, czapkę. Miał w sobie ładną junakieryę młodości, pełnej temperamentu. Zatrzymał się przed jedną z przegród.

— A oto... nasz waryat. Niech pani zauważy, co to za kłębek nerwów.

W przegrodzie biło nerwowo kopytami śliczne źrebię, będące literalnie zmniejszoną kopią Karmazyna. Ten sam delikatny kolor sierści, przez którą przewiewały siatki drżących żyłek, ten sam doskonały kształt pustynnych rumaków o czarujących, błękitnych źrenicach.

— Prawda... nerwowe. Ale prześliczne.

Wende oświetlał latarką coraz więcej szalejące źrebię.

— Tak. Piękne. O ile nie będzie chlubą swej stajni, o tyle może być przez swoją nerwowość... jej hańbą...

— O!...

Lecz nagle Wende zaklął. Dojrzał, iż obok jakaś klacz nie była dobrze przypięta do żłobu.

— Daruje pani, ale muszę...

Wyszła sama przed stajnię. Czekała na nią Tatyana i Leda. Za chwilę połączył się z niemi i Wende.

— Odprowadzę panią — wyrzekł uprzejmie.

Szli rzędem do dworu. Przed nimi biegła Leda.

Rena milczała.

Jakiś pietyzm rzewny bił od niej, gdy stanęła na progu drzwi i przygarnęła ku sobie Tatyanę.

— Dobranoc, nianiu! — wyrzekła miękko.

— Dobranoc, serce!

Pochyliła się ku suce.

— I tobie dobranoc, Ledo!...

Przytuliła szkaradną głowę psa do piersi.

Poczem zerwała gałązeczkę różowego groszku, pnącego się po grządeczce, okalającej żywopłot, zieleniejący u stóp oficynki.

— Dobranoc wam wszystkim! — rzuciła miłośnie, ogarniając wzrokiem bezmiary sadu, kontury zabudowań, drzemiącą cicho wieś, szumiący oczeret stawu i wpatrzone w nią oczy łagodne i dobre »panicza«.

XV.

Zasnęła nad ranem.

Zbudziła się późno.

Okno nie zamknięte biło ku niej jasnością czystą cudownegp czerwcowego ranka. Nie śpieszyła się ze wstawaniem.

Rozkoszowała się myślą, że tam za ścianą czeka na nią cała uczta doskonałych wrażeń.

Patrzyła na gałęzie winogradu, opadające na okno, które wiatr poruszał. Interesowała się niemi.

Cisza była wielka dokoła.

Jeśli szedł kto po piasku drogi, to kroki jego były bez odgłosu. Jakaś niedzielna świąteczność zdawała się ogarniać całe to miejsce.

— Może to niedziela! — pomyślała Rena — wszyscy są w kościele.

Ale rozliczyła daty. Nie, to był dzień powszedni.

— Raczej wszyscy są przy pracy — starała się myśleć poważnie

Nagle zaciemniało pod jej oknem. Pojawiła się głowa kozacka i przesunął się grzbiet osiodłanego konia.

Widzenie to znikło. Widocznie prowadzono komuś pod dwór wierzchowca.

Rena wyskoczyła z łóżka i nasunęła na siebie penioar z białej, miękkiej wełny.

— Ktoś jedzie konno! — śpiewało jej w duszy.

Pobiegła boso do okna.

Na ganku pomiędzy filarami stał Wende w przyczesach i kamaszach szarych płóciennych ze stickiem pod pachą. Rozmawiał z jakimś Żydem i naciągał trochę brudne rękawiczki,

Po chwili nadzwyczaj zgrabnie wskoczył na siodło i jeszcze na siodle kończył rozmowę, zaczętą na ganku.

Kozaczek, cały szafirowy w swej zajmującej liberyjce, poprawiał coś koło popręgu.

Klacz rosła i kształtna niecierpliwiła się. Wreszcie Wende ruszył z miejsca. Klacz niosła doskonale.

— Ganaszuje! pomyślała Rena — ganaszuje!

Podobała się jej jego jazda. Siedział głęboko w siodle i miękko. Zdziwiła się nawet, że jedzie po angielsku.

Z oficynki wyrwała się nagle cała banda szczeniąt, malutkich pokurczów, wdzięcznych

i pełnych temperamentu. Pomknęły za kopytami konia.

Wende okrążył dziedziniec i, zamiast wyjechać za bramę, wracał z asystą szczeniąt do dworu.

— Zapomniał czegoś! — interesowała się Rena.

Przejechał pod jej oknem. Cofnęła się, imając swych rozpuszczonych włosów. Gdy był pod gankiem, patrzyła znów za nim przez gałęzie winogradu.

Nie zatrzymał się jednak. Objechał znów dziedziniec i wreszcie wyjechał za bramę.

Wtedy Rena dostrzegła, że z poza węgła dworu wyglądała za nim Jaga, bardzo wiośniana, ale i bardzo jeszcze dziecinna, w swej jasnej białej sukience, w klasycznie białej sukience w czerwone punkciki.

— Aha! tędy, panienko! — pomyślała, śmiejąc się wesoło.

Równocześnie powstała w niej rozkoszna myśl:

— Jeździć będę konno! jeździć będę konno!...

Od strony ogrodu dostrzegła idącego do oficynki Brzeziewicza.

Doktór, przyzwyczajony do rannego wstawania, i tu widocznie uczynił to samo. Szedł, ubrany bardzo correct, w wysokim śmiesznie

kołnierzu, od którego odbijała się nieprzyjemnie jego ciemnawa cera twarzy.

Tak bardzo odbijał od całego tła, tak był tu inny, transplantowany, tak niczem nie złączony z tym przepychem zieloności, światła i czarującego powabu budowli, że Rena aż żachnęła się subtelnością swej duszy.

Cofnęła się od okna, nie chcąc patrzeć na tę postać wymuszonej nauki, błyskającą szybkami okularów, na tle rozwianych piękności, pełnych potężnego wdzięku.

— Jak mogłam... — formułowało się w głębi jej duszy — jak mogłam!...

* * *

Wyrywała mu się teraz po prostu z rąk, ulatywała w swoją sferę. On nawet tego nie czuł. Nie rozumiał.

Od rana rozpoczęły się konsultacye. Ciotka Okęcka wyzyskała sytuacyę.

Brzeziewicz miał zabawić dwa dni. Należało się śpieszyć. Zaczęła się defilada całego dworu. Trzydziestu kilku »ludzi«, zajętych koło »państwa«. Każdemu coś brakowało.

Malarya, którą zionęły stawy, zdawała się być integralną częścią organizmu każdego osobnika. Brzeziewicz cierpliwie, dostojnie, prawie uniżenie przed »obywatelskością« atmosfery badał całe szeregi chłopstwa i łyków, poodziewanych w półliberyjne szatki.

Okęcka składała się w przeprosinach za tyle trudu, ale chytrze obliczała, ile to jej przyniesie oszczędności w budżecie. Atmosfera wewnątrz dworu przepełniona więc była kłamstwem, pychą i chytrością.

Rena to odczuła i całe oba dni strawiła pod niebem, pokazując się zaledwie w chwili siadania do stołu. Z Wendem zamieniła zaledwie słów kilka, zapytując go o siodła i o to, czy jest który z koni wyjeżdżony pod damskie siodło. Odpowiedział jej twierdząco. Ucieszyła się.

Jaga, krążąca, jak cień, dokoła nich, odezwała się nieśmiało:

— Będziesz jeździć, Reniu?

— Tak.

— Ja jeszcze nie umiem. Nie miałam do tej pory towarzystwa, więc mama nie pozwalała. Ale, jeżelibyś ty zechciała, to ja...

Pierwszym odruchem Reny było powiedzieć »chętnie«, lecz nie rozumiała, dlaczego coś ją powstrzymywało.

— O tem jeszcze pomówimy! — rzuciła dwuznacznie.

Tak była rozegzaltowana radośnie, że potrafiła prawie stłumić w sobie bolesne uczucie wyzbycia się dobrowolnego praw własności. Nie starała się nawet o to. Powietrze upajało ją. Była półprzytomna.

Tuliła się piersią do drzew. Całowała ich

rozrośnięte pnie. Postanowiła nocą wykraść się i ucałować swój błękitny świerk. Zanadto stał na oczach ludzkich. Nie chciała robić z siebie widowiska. Gdy zjawiała się w sali jadalnej, strojna po miastowemu, miała w fałdach swych taft i kreponów zapachy przerozkoszne dzikich białych chryzantemów, śniołek, purpurowych gloksynii, mięty i jasieńców, które po łąkach rosły. Nie brała prawie udziału w rozmowie, jaka się przy stole toczyła.

Napróżno ciotka Okęcka roztaczała przed nią cały takt, który kazał jej udręczonemu przez nią Brzeziewiczowi demonstracyjnie unikać przy stole jakiejkolwiek wzmianki o »chorobach« i »chorych«. Łaskawie pozostawiała mu chwilę odpoczynku, zwracając się natomiast do Reny i starając się wciągnąć ją do rozmowy.

Rena jednak nie odpowiadała prawie, śledząc tylko półsennemi oczyma zieleń klombów, jaka przez otwarte okno, a przysłonięte od much siatką się rysowała.

— Pójdę, pójdę aż ku wsi! — myślała — zobaczę mój krzyż, zobaczę chatę Dominika, Kozaków, Hieronima, Łucki...

Oczy jej czasem spotykały wzrok Wendego.

Niczem ją ten wzrok nie raził. Przeciwnie, doskonale był zharmonizowany ze stanem jej

duszy. Była w nim łagodna świeżość wsi i jej melancholia. Odwzajemniała mu się uśmiechem.

Przyjął go naturalnie, jakby mu rzuciła kwiat z wielkiego snopa, który zebrała pod promieniami pogodnego słońca.

Przez obszar stołu zaczynała się formować pomiędzy nimi jakaś jakby linia, po której wybiegały ku sobie ich łagodne i spokojne spojrzenia.

Gdy na drugi dzień popołudniu zajechały konie przed ganek, a Brzeziewicz, ubrany w długi płaszcz, rozpoczął swoje pożegnania, dziwnie bezkresna ulga przejęła serce Reny.

Pomyślała, że jest w tej chwili znów papanią siebie samej, swego ciała, swej woli, swych czynów.

* * *

Co zaszło dalej, Rena pewnie nię pamięta.

Tak się ten okres jej życia przesunął dziwnie. Tak bardzo szybko. Z jakich drobiazgów, z jakich chwil. przesiąkłych rozkoszną atmosferą miłosną, złożyły się te momenty, Rena rozróżnić dziś nie jest w stanie.

Co więcej, obecnie, gdy przypomni sobie szczegóły swego stosunku do Wendego, a do całego tła, w jakiem się obracała, nie wie,

co było jej pasyą do przyrody, a co do człowieka.

Biegła ku Wendemu, nie zdając sobie najzupełniej sprawy, jakiego to rodzaju będzie zakończenie ich stosunku.

Tak doskonała harmonła, jaką Wende jej z sobą przynosił, była jej drogą i stawała się konieczną. Młodniała i pięknlała w swych bluzkach haftowanych i paskach jaskrawych, które z lubością wdziewała na siebie, czując, iż suknie jej strojne, inkrustowane koronką, wnoszą fałszywą nutę w tę krainę blasku i woni.

O zachodzie kołysała się w fotelu swej matki.

Ciotka Okęcka cierpiała na reumatyzm i zamykała się w sypialni. Rena patrzyła na purpurę słońca, zapadającego nad stajniami, i uśmiech miała we wnętrzu swej istoty.

Wiedziała, że za chwilę na linijce lub na koniu, od pól zjawi się Wende, zakurzony, pełen ziemi i pyłu dojrzewających zbóż, a ona go powita rozkosznie, czyniąc zadość radości, jaka przejmie jej istotę.

Wende miał szczęście trafić wprost do niej w dobrą chwilę. Powiedział jej raz, gdy mimowoli wyrwała się jej na usta skarga, iż Zaleszyńce nie są jej własnością:

— Dlaczego? dochody nie należą do pani, ale reszta...

— Rzeczywiście — myślała — on ma racyę. Co mogłabym więcej uczynić dla tej ziemi, dla tych drzew, dla tych kwiatów, dla tej całości, jak to, co czynię? Kochać, pieścić wzrokiem, gestem, pocałunkiem, myślą. A że dochody...

Wzruszyła ramionami.

Nie dbała o pieniądze, jak zwykle ci, którzy są syci zawsze.

I odtąd utonęła w bezbrzeżnej radości.

Przesadzała nawet ten stan błogości, jaki ją ogarniał. Przesadzała zarazem i swą wdzięczność dla Wendego. Rwała się ku niemu całą istotą.

Wieczorami schodzili się najwięcej radzi i błądzili wśród stajen, obór i zabudowań dworskich.

Słuchała tego, co rozporządzał, aprobowała i brała w tym żywiołowym podkładzie czynny udział.

Chwilami miała jakieś złudzenie, gdy szli tak dwoje, lub stali koło płotu na dzierżawnym folwarku, patrząc, jak pastuchy wypędzali przed nich krowy, odesłane tu »dla poprawienia się«.

Jakie to było właściwie złudzenie, opisać dokładnie nie mogła, ale było wdzięczne i miłe.

Wracali potem powoli, czy konno, czy w małym dziwacznym wózeczku, rozmawia-

jąc o sprawach gospodarskich, błądząc wzrokiem po łanach, które zapowiadały się cudnie, dzięki energicznym zabiegom Wendego.

Czasem rzucał jej lejce, zeskakiwał z wózka, rwał pszenicę, kruszył ją i uśmiechał się radośnie.

— Niedługo dośpieje! — mówił wesoło.

Białe, równe zęby połyskiwały. Rena odpowiadała mu podobnym uśmiechem.

Ani na chwilę nie analizowała teraz stanu swych nerwów.

Zapomniała o nich. Żyła nerwami całej otaczającej jej przyrody. Było to zwykłe zjawisko u istot chorych długo nerwowo, że przy każdej zmianie środowiska czują się zbawione.

— Jestem zbawiona!—myślała Rena i uśmiechem szczerym, młodym, łagodnym, płaciła za uśmiech szczery, młody, łagodny, który się do niej zwracał.

XVI.

A to było w ich stosunku charakterystyczne, iż nigdy, mimo żywiołowego pędu, jaki mieli ku sobie, nie rozdrobnili swego stanu na drobne koncesyjki.

Gdy myślała o nim, uśmiechało się w niej wszystko, śmiało się tak, jak śmiechem dyszy muzyka Boity w ogrodowym kwartecie Fausta.

Nie było w tem ekstazy uniesień i sentymentalizmu. Nie było także pasyi i podniecenia, każącego zaciskać zęby. Przeciwnie. Było jakieś jakby spokojne oczekiwanie. Jakaś pewność, że stanie się coś, co przyjść musi.

I to uczucie zaczynało powoli brać górę, przeważać nad innemi.

Uśmiech jej, z jakim witała Wendego, nabrał jakiejś czarownej morbidezzy i był pełnią kobiecej doskonałości. Miała w sobie urok kwiatu, rozwiniętego powoli w blasku dobroczynnych promieni słonecznych.

Wende zaprzestał jeździć do Jarmoliniec, bezwiednie zaniechał swych dawnych miłostek.

Całe dnie spędzał w pracy, mając przy boku Renę, wieczory albo we dworze, albo razem z nią w parku lub na dziedzińcu.

Rena czuła pewną nieprzychylną sztywność wnętrza i uciekała od niego pod gwiezdne niebo i do swoich drzew.

Szum oczeretów stawowych kołysał ją.

Wynaleźli nazwę dla wnuka Karmazyna. Okęcka chciała nazwać go Karmazyńciem, za tem instancyonowała Jaga. Lecz Rena, widząc, jak to drobne zwierzę drżało całe, wstrząsając swą różową przejrzystą skórą, jak bez przyczyny biło kopytkami w przegrodę i błyskało wzrokiem czarnych i płomiennych ślepiów, zaproponowała:

— Nazwijmy go: Szaleństwo!

Okęcka wzruszyła ramionami.

Lecz Jaga zachwycona klaskała w ręce.

— Tak, ciekawe będzie, ciekawe, mamuniu! nigdzie się tak żaden koń nie nazywa!

Dziewczyna dlatego godziła się na tę nazwę, która była katastrofą stajni, że czytała aprobatę we wzroku Wendego.

Usunięta na bok przez Renę, zadowalała się swą zatartą trochę rolą. Co więcej, mając śliczny charakter, pośredniczyła pomiędzy

matką i Reną. Czuła bowiem, że Okęcka niechętnie się odnosi do swego gościa.

Głównym zarzutem, jaki Okęcka czyniła swej siostrzenicy, był brak dzieci.

— Chyba, że sama nie chcesz! — mówiła, poprawiając okularów.

— A nie chcę! — odrzuciła Rena, w gruncie rzeczy dotknięta w dość bolesną stronę swej istoty.

— To grzech.

— Ech!...

Lecz nigdy, rzeczywiście, tak w Renie nie nurtowało to cudowne pragnienie macierzyństwa, które, gdy była drobną dziewczynką, kazało jej rzucać się w ekstazie na kolana przed maluchnym Jezuskiem na rękach łagodnej i miłej Madonny Amiconiego, wiszącej w pokoju matki.

— A nie chcę! — powtarzała, wachlując się wielkim liściem zerwanego pod płotem piekarni łopucha, który służył jej przez dzień cały za jasny i dziwaczny kapelusz.

Lecz przeczyło w niej coś krzykiem buntu i pragnienia.

Bez jej woli, bez jej wiedzy, w tej chwili cała myślowo zakrążyła dokoła Wendego.

I zarazem skurcz jakiś radosny ją przejął i dreszcz oczekiwania.

— A ze mną co? a ze mną co? — szarpało się w niej wielkie bezbrzeżne zdumienie.

Unosiła ją pędem rozrodcza potęga jej sił, które skoncentrować się musiały w nowej i najdoskonalszej formie.

W dziecku.

XVII.

— Telegram o konie!

Przyjeżdża.

Brzeziewicz przyjeżdża.

Siedzą wszyscy przy podwieczorku. Na stole stosy wonnych owoców.

Piramidy malin. Ich woń soczysta, rozkoszna, przesyca powietrze.

Tu i ówdzie w kryształowych kielichach żółte narcyzy. Przez uchylone story migocą promienie słońca i odbijają się w rżniętych gwiazdach kryształowej, staroświeckiej cukierniczki.

— Kiedy wysłano telegram? — zapytuje Okęcka. — Panie Czesławie, proszę zobaczyć.

Wende sięga po telegram.

Równocześnie oczy jego spotykają wzrok Reny.

Co jest w tych spojrzeniach, oni sami nie wiedzą.

Czują jedno, że się porozumieli. Wende odczytuje telegram. Okazuje się, że wysłano go o jeden dzień ze stacyi zapóźno.

Okęcka się jednak nie denerwuje.

— Czy zdążą konie do wieczornego pociągu?

— Zdążą! — odpowiedział Wende.

Nikt już więcej nie mówi o Brzeziewiczu. Tematem rozmowy jest wiadomość, że jeden z gumiennych, wioząc do miasta wieprze, zgubił jednego, co, wobec zamkniętej klatki, wydaje się rzeczą podejrzaną.

Okęcka z miną grandezzy, elegancka, w aureoli swych włosów siwych i z gestami jakiejś mniszki z Bruges, decyduje, iż fakt to jest bardzo przykry i niemiły.

Jaga, mimowoli przesiąkła »nowoczesnemi ideami«, broni Bazyla, obleśnego, chytrego człowieka, który stoi właśnie przed gankiem z miną pokorną, trzymając zmiętoszony kapelusz w ręku.

— Trzeba sprawdzić zamknięcie klatki — wyrokuje Okęcka.

— Klatki są z powrotem odesłane do Drohowyża — mówi Wende — pojadę!

Nie umawiali się. Nie spojrzeli nawet na siebie, jakby to uczynili zwykli kochankowie. Ale on wiedział, że, gdy zajedzie jego wózeczek przed drzwi oficyny, w której mieszka,

wykwitnie z poza klombów berberysu smukła postać Reny — i że pojadą razem.

* * *

Pojechali.

Jak zawsze, nie mówili ze sobą o miłości i żadnych »romansowych« ani »zmysłowych« atmosfer dokoła nich nie było.

O Brzeziewiczu nie wspomniało żadne z nich, zajmując się głównie żniwami, które się już rozpoczęły i zapowiadały się prześlicznie. W łanach złotych purpurą i szafirem migały spódnice i zapaski niektórych kobiet. Inne, odziane w jasne perkaliki, tonęły w żółtej fali. Rytmiczne ich ruchy miały dostojność jakichś misteryi.

Zdaleka zdawało się, że zginają się, aby miłośnie garnąć ku sobie pęki zboża i tulić je do piersi.

Czasem połyskał sierp, podniesiony ku górze, czasem przeleciała jakaś piosnka, nuta przeciągła, półcygańska, urwana i umilkła. Świerszcze ćwierkały głośno i wesoło. Tu i ówdzie witano przejeżdżających ukłonem.

— Pomagaj Bóg!—rzucała Rena radośnie.

Nie przyszło jej nawet na myśl przytulić się do ramienia Wendego. Zdawało się jej, że jest już otulona wszechmocnem gorącem ramieniem całej przyrody. I on miał w tem

część swoją. Uśmiechała się do niego, do zachodzącego słońca, do zboża, do w dali czerniejących drzew. Przepojona była dumną, czystą rozkoszą.

Nawet ci ludzie, zanurzeni w życie i pszenicy, ci ludzie o wrogich zawsze wyrazach, mieli w sobie łagodny wdzięk i życzliwość bratnich istot.

Łączył ich harmonijny akord doskonałości pełnego życia i wydobywał z nich dostojne zadowolenie i jakąś miłość ogólną i wszystko ogarniającą.

. . . .

— Jak miło! — wyszeptała Rena — jak miło!

Dojechali do Drohowyży.

Ludzie wszyscy byli w polu.

Wende przywiązał konia do płotu i sam zaczął obchodzić zabudowania. Ale nigdzie nie mógł znaleźć kogokolwiek.

— Wszyscy przy żniwach — roześmiał się do Reny, która także wysiadła z wózka i stała na środku dziedzińca, jasna i śliczna w swej białej bluzce i spódnicy pikowej, ściśnięta w pasie wełnianą, czerwoną taśmą. Duży kapelusz »Panama« tworzył dokoła jej głowy jasną aureolę.

Z daleka, lecz Wendemu migał uśmiech jej ust.

Wyciągnął ku niej mimowoli rękę.

Zaczęła iść ku niemu, a raczej biedz posłusznie.

Gdy dopadła do tej wyciągniętej ręki, pierś jej podnosiła się szybko.

Nie była wszakże zmęczona. Ogarniało ją tylko dziwne wzruszenie.

Ujęli się za ręce równoczesnym gestem. Nie tracąc ani na chwilę pogodnego uśmiechu, weszli do wnętrza pustego domu, a raczej większej chaty, służącej za pomieszczenie gumiennemu i dzierżawnej klucznicy.

Nie było i tu nikogo. W izbie, gdzie mieszkała klucznica, był półmrok. Okiennica małego okienka była trochę przywarta.

Pod powałę ku spoczynkowi dążyły roje much. Izba pusta była i przesiąkła zapachem chlebnego kwasu i mleka. Czysto umieciona, ledwie gdzieniegdzie jakiś sprzęt tulił się do ściany.

Koło pieca przysiadło kilkoro drobnych kacząt na resztkach słomy.

Nad tapczanem biegła girlanda róż bibułkowych, świeżych i połyskujących.

Posłanie pokryte było barwnym kilimkiem, w zielone, szafirowe i amarantowe kraty. Na tle tego kilimka bielało coś, jakby węzełek bielizny.

Gdy Wende z Reną weszli do izby, to leżało chwilę nieruchome, nagle zesunęło się

z kilimka i pędem ku drzwiom uciekać zaczęło. Zaplaskały bose nogi po ubitej ziemi, we drzwiach zajaśniały konopne włosy.

— A to co takiego?

— To Wasylek, synek klucznicy.

— Czemuż tak ucieka?

— Boi się.

— Czego?

Wende się roześmiał.

— Wszyscy go ciągle biją.

— Za co?

— Bo... to...

Urwał, wreszcie po chwili dodał:

— Bo nieślubny. A nawet gorzej.

— Jakto gorzej?

Mąż klucznicy od pięciu lat w Ameryce. Dziecko ma trzeci rok...

— A!...

Stali na środku izby blizko siebie, wbici jakby wzrokiem w swe oczy.

. . . .

O białe belkowanie sufitu obił się dziwny, tryumfalny krzyk Reny.

Krzyk drżący i bezbrzeżny, jakby ostatni wyraz hymnu wdzięczności i potęgi twórczej.

. . . .

Na progu chaty spotkali skurczone, drobne, załęknione, niepewne stworzenie. To Wasylko

przypadł do progu i z rączkami, przyciśniętemi do piersi, czekał swego losu.

Oni — szli spokojnie, nie trzymając się jednak już za ręce, jak poprzednio, gdy wchodzili.

Rena była tak piękna, jak jest piękna każda kobieta, która wreszcie przeszła kulminacyjny punkt swego istnienia. Na ustach jej nie było żaru, ani gorączki, tylko rozlewność słodka i tajemnicza.

Potknęła się o dziecko.

— Patrz... ono tutaj! — wyrzekła.

Wende chciał usunąć je z drogi.

— Nie! nie! zostaw pan, proszę.

Jakieś wzruszenie porwało ją ku temu dziecku miłości, które tuliło się i drżało u jej stóp.

I niespodziewanym, a z głębi jej pochodzącym ruchem przyklękła koło dziecka.

— Nie bój się!...

Ujęła je za rączkę.

— Nie bój się!

I pocałowała te drobne, biedne paluszki, sczerniałe i brzydkie.

Wende nie pojął tego odruchu.

— Jak można... — wyrzekł — całować takie coś, jak można.

Spojrzała na niego.

Chciała mu odpowiedzieć, że, gdy on widzi

tylko brud tych biednych rączek, ona w tej chwili korzy się przed dzieckiem.

Lecz to była jakaś myśl w niej, która nie mogła poprostu oblec się w zimne słowa. Wolała ją zostawić nieobleczoną w formę.

Czuła tylko, iż jego rola się skończyła.

Natomiast ona wchodzi w pełnię dramatu życiowego, w której ma wielkie, czynne i pełne potężnych wzruszeń wyznaczone miejsce.

XVIII.

W miarę jak zbliżali się do dworu, bajkowe wzruszenie Reny gasnąć zaczynało.

Słońce zaszło i po polach wiatr przeciągał.

— Wiatr zachodni! będzie jutro deszcz! — ozwał się Wende.

Była mu wdzięczna, iż zachowuje się tak prosto i, jakby można powiedzieć, uczciwie. Nie wyciąga struny, nie korzysta z przywilejów.

Gdy podjechali pod dwór i na ich spotkanie wybiegła Jaga, trochę strojniejsza, niż zwykle, Rena jakby się zmieszała.

— Czy podano kolacyę? — zapytała, aby cośkolwiek przemówić.

— Nie. Będziemy czekać na twojego męża!

— Ach! tak.

— Pewnie się zechcesz przebrać.

Rena spojrzała na Jagę.

Tak. Ta dziewczyna była wychowana

w tradycyach, iż należy, aby kobieta przedewszystkiem ciągle szła na podbój męża.

Nie oglądając się na Wendego, Rena poszła do oficynki.

Zostawszy sama, chciała analizować uczucie, jakie w niej dominuje. Czuła tylko wielki, bezbrzeżny spokój.

Nerwy jej jakby zastygły, wyczerpane. Niezdolna była o niczem myśleć.

Byłaby chętnie, z całej duszy zamknęła się w ciszy i samotności. Byłaby upadła na posłanie i zasnęła, aby nic nie czuć i odżywić w ten sposób organizm.

— Trzeba iść między ludzi, trzeba!...

Ubrała się trochę lepiej, czyniąc to dla zadośćuczynienia wymogom Okęckiej i jej pojmowaniu obowiązków życiowych.

Kładąc na siebie miękką, gazową, ciemną suknię, szafirowej, intensywnej barwy, robiła to z przymusem.

Wibracya przebiegła ją, wibracya nagła pozostała jeszcze widocznie z poprzedniego wrażenia.

Zaskoczyło ją to niemile.

— Nie chcę! — krzyknęła prawie głośno.

Przeraziła się, ale i pojęła.

Nie chciała wydostawać się z letniej fali spokoju, w jaką wyczerpana zapadła.

— Nie chcę!

Poszła szybko do dworu.

Ciotka ubierała się w swoim pokoju.

Zaczynała się »wystawa«. Służący miał swoją pomarańczową kamizelkę, a na kredensie leżały złożone rękawiczki.

Świeciły się srebra na stole jadalnym. Rena pomyślała, że i ona powinna z głębi wydostać także jakieś świecidło na przyjazd męża. I jakby schwytana siłą całą za ręce, zatrzymała się w połowie salonu.

— Dla męża... hm!...

Potarła czoło.

Usiadła na kanapie i przez rozpostarte zielone wachlarze palm patrzyła chwilę na widniejące przez okna drzewa i w oddali chaty. Zaczynało jej być nieznośnie. Coś się przekradało w jej sercu. Za wszelką cenę chciała utrzymać ten spokój i tę aprobatę swego czynu, którą miała tam, wśród pól i kłaniających się jej w pas łanów.

Lecz coś malało, drętwiało. Ta rozwiewność jej siły, piękność jej dreszczu nawet — wszystko...

Sięgnęła po książkę. Jakaś leżała sentymentalna, dziwna. Jedna z tych, które się zjawiają nie wiadomo skąd i giną.

Mają tytuły imion własnych kobiecych i mówią o kobietach nie pojętych i walczących z samą sobą i jeszcze z kim innym. Są to najczęściej bardzo moralne książki i wykazują błogie skutki flirtu bez »zakończenia«.

Rena otworzyła jedną z tych książek. Wzrok jej padł na kilka słów:

»...jakże spojrzę w oczy memu mężowi, jeśli imię jego, to imię, które noszę, zostanie przeze mnie zszargane w błocie hańby...«

Rena cisnęła książkę.

— Zwłaszcza jeśli nikt o tem nie wie — mruknęła prawie trywialnie.

Zamknęła oczy. Przechyliła głowę na poręcz kanapy i pozostała tak wsłuchana w odgłosy, dochodzące do niej z wnętrza domu.

. . . .

»Zwłaszcza, jeśli o tem nikt nie wie«.

Ironicznie za uchem Reny skrzeczy ta podchwycona jej własna myśl.

Siedzą znów wszyscy przy stole jadalnym, na tych samych miejscach, co przed pięciu tygodniami. Dominik obnosi półmisek, przysiadając dziwacznie przy każdej osobie.

Kwiaty, obecnie silnie pachnące lewkonie, delikatnie różowią się w kielichach.

Ciotka Okęcka, bardzo strojna i »bardzo dama«, w prawdziwym weneckim kołnierzu, z wielką grandezzą patrzy przez szkła na Brzeziewicza, który, mimo zmęczenia, udaje doskonały humor, wielkie ożywienie i swobodę.

Rena na swem dawnem miejscu, cokolwiek odsunięta od stołu, uśmiecha się banalnie.

Czuje, że ten jej uśmiech jest głupi, fałszywy, nie na miejscu.

Ale naprożno chciała coś wydobyć z siebie, aby na twarz położyć, jak maskę. Nic znaleźć nie mogła.

A bez maski także nie było sposobu.

Bo — już coś było do zakrycia.

Naprzeciw niej Wende...

I w jednej chwili, gdy tak siadali do stołu, gdy Wende, wszedłszy do sali, szybko pośpieszył celem przywitania Brzeziewicza, a ten mu w roztargniony sposób, jak komuś, kto jest »quantité negligeable«, oddał ten uścisk, Rena zrozumiała, czem jest właściwie jej czyn wobec całej sieci żelaznych praw, konwenansów i układów społecznych.

Jakże daleka była teraz chata milcząca i cicha, przepojona zapachem chleba i jakąś atmosferą rozpasanej, nie wykrzywionej, idącej prostą ścieżką miłości!

Jakże inny był ten Wende, któremu padła tam w ramiona i z którym stoczyła się z uśmiechem przywartym do ust, którego oczy, bielmem zaszłe, miała ciągle jeszcze przed sobą.

Układnie, grzecznie zdawał się wsłuchiwać w popis kultury, pozbieranej po »łebkach«, który Brzeziewicz, jak każdy powracający »z zagranicy«, niedbale na stół, jakby nabyte po straganach, na eksport urządzonych, cuda, wywłóczył.

— Ach tak!... Pinakoteka!... — mówiła ciotka Okęcka — tak, byłam tam z mężem...

Jaga uśmiechała się banalnie i wszyscy wogóle, Wende zwłaszcza.

Rena coraz więcej drętwiała.

Chwilami przychodziło jej na myśl porwać się od stołu i wielkim, donośnym głosem, zabijającym wszystkie gdakania, wykrzyczeć całą prawdę, całą prawdę słoneczną, istotną.

Tak myślała chwilę.

I nagle zdejmowało ją konwulsyjne szyderstwo, wyczuwając tę scenę, okulary męża, jego wpółotwarte karpie usta, ku niej zwrócone, grozę Okęckiej, dziewicze spłonienie Jagi, przylepienie się do ściany Dominika i zachowanie się Wendego.

Tak. To głównie.

Widziała jego pełną twarz przerażoną, oczy, szeroko rozwarte, oczy wystygłe, wbite w nią, latające później to tu, to tam, i wiedziała, że nie on był punktem oparcia dla niej w takiej chwili.

I co więcej, czuła, że ona jedna tylko byłaby w sytuacyi, rozpoczynałaby rzecz tragiczną, podczas gdy inni...

A co więcej, narzuciłaby się z tem, czego nikt nie pragnął, nie chciał, nie pożądał.

Ta drobnostka mogła doskonale pozostać w ukryciu. Życie płynęło dalej w srebrze,

krysztale, cichych ścianach dworu, zapachu pól i łąk i wspomnieniach o wyniosłej piękności Wenery Milońskiej na tle matowych fałd aksamitnej, trochę już zniszczonej muzealnej kotary.

Słowem, karykatura dyalogów o sztuce strumyczek o doskonale wykopanem łożysku życiowych kompromisów i bujna, nie powstrzymana niczem, czarowna siła przyrody.

. . . .

A co najwięcej wstrzymywało Renę od krzyku szczerości, to było przeświadczenie o bezcelowości tego czynu i głównie, że ona sama targnie się na coś w sobie, że zabije jakąś smugę jasności, która owijać ją zaczęła.

— Popełnię zbrodnię, skalam coś... nie wiem... — myślała, łamiąc pod stołem palce i wtłaczając brylanty pierścionków w ciało.

— Coś zniszczę bezpowrotnie...

XIX.

Jako mąż dobry, który pomiędzy wzięciem z kawiarni amerykańskiej ochrypłej dziewczyny, lub uraczeniem wiedeńskiej tinglówki umiarkowanie i odpowiednio potrafił pomyśleć o żonie, o domu, o przywiezieniu drobnych »upominków«, mających świadczyć, jako wszystko było w porządku i na każdym kroku...

Bo Brzeziewicz wiernym był mężem fizycznie w granicach państwa.

Wydostawszy się dalej, to, co działo się dokoła niego i co sam wywoływał, nie było mu winą i nie padało cieniem na jego życie.

Słowem — nie liczyło się.

Delikatnie, dyskretnie znalazł się w pokoju Reny, gdy po kolacyi udali się do oficyny.

Ona nie spojrzała nawet w stronę Wendego. Wolała go nie widzieć takim, jak przedstawiał się w tej chwili. Wiedziała, że nie

wyciągnie ręki, aby ją zatrzymać, że nie uczyni nic, czego się spodziewać winna.

Zdawało się jej, że ktoś przygiął jej kark do ziemi i ciemną ścieżką prowadzi do domku o festonach dzikiego wina i rozpłomienionych okienkach, przysłoniętych lekko bielą tiulową firanek.

Obok niej szedł mąż.

Tak być musiało.

Szybko wsunęła się pod kołdrę. Czuła, rozumiała, że Brzeziewicz przyjdzie.

Witała się tak ze swem ciałem, jakby po dalekiej nieobecności powróciło do niej. Delikatnie przesunęła rękami po szyi i piersiach. Jakże chętnie byłaby pogrążyła się w cieniu i ciszy.

Nie należała wszakże do siebie.

Oto — koło niej, na krześle usiadł mąż i, błyskając szkłem okularów, podaje jej »prezenty«.

— Przeważnie weneckie to, co przywiozłem z sobą. W domu zastaniesz dużo bibelotów. Co więcej. Zarządziłem, aby wysłano z Wenecyi większe paki. Pozwoliłem sobie na bukiet kwiatów, snop raczej, do jadalni. Założymy weń elektryczne światła. Nadzwyczaj lekkie, prawie opalowe i szmaragdowe tony szkła. Jadalnia była trochę smutna, zauważyłaś to kiedyś. A teraz... proszę cię!...

Otworzył pudełko, podawał Renie cacko

misterne, rodzaj wieszadełka na łańcuszku wytwornym, skrzące się blaskami szlachetnych kamieni.

— Najmodniejsze...

— Tak... bardzo piękne.

— I wachlarz.

Roztoczył niewielki, cudowny, koronkowy płatek, ujęty w pręciki z perłowej masy.

Tęcza zagrała. Śnieg koronki upadł na atłas kołdry.

Z pudełka Brzeziewicz wydobył różowe krople koralowych kolczyków, ozdobione brylantami dwoma, czystej, doskonałej wody. Jakiś flakonik wytwornie cyzelowany.

Udał skromność.

— To wszystko.

Rena podała mu rękę.

— Dziękuję.

Chciała cisnąć tem wszystkiem o ziemię, wyrwać się z tego pokoju i zbiedz tak bosa i pół naga w sad, zaszyć się w gąszcz, nie widzieć nic.

Tymczasem, machinalnie rozkładała skrzydełka wachlarza, odsuwała charakterystycznym ruchem od siebie pudełko z kolczykami, bawiła się łańcuszkiem biżuteryjki weneckiej.

— Tak... dziękuję... bardzo...

Brzeziewicz uśmiechał się wesoło. Podszedł

do okna i przymknął je lekko, zasunął szczelnie firankę.

— Tak! — wyrzekł, zdejmując okulary.

Zagasił świece w kandelabrze.

Rena czekała bez tchu i bez opozycyi.

Wiedziała, że milczeć winna i że tak stać się musi.

Mignęła przed nią izba bielona, kaczęta na odrobinie słomy, jakiś żal ścisnął jej duszę, poczuła się marną, podłą, żadną.

Pod oknami oficynki szli jacyś ludzie.

W ciemności słychać było kroki.

Zaczęli rozmawiać.

To Wende wydawał dyspozycye ogrodnikowi co do ilości »rąk«, potrzebnych w ogrodzie.

Słysząc ten głos, Renie zdawało się, że ktoś ją policzkuje, plwa jej w twarz.

Była jednak martwa, bierna zupełnie i witała męża tą samą lodowatą obojętnością, jaka ich zbliżenie zwykle cechowała.

. . . .

Uciekła z Zaleszyniec.

Uciekła na drugi dzień, wdzięczna mężowi za to, że wyrwał ją stamtąd, śpiesząc się do miasta.

Stało się nawet lepiej, niż przypuszczała. Bo rano Wende musiał na cały dzień wyjechać do miasteczka dla załatwienia wynajęcia

żniwiarki, która się opóźniała. Rena, jak szalona, uchwyciła się tych momentów, dających jej możność niewidzenia więcej kochanka.

Wbrew grzecznej opozycyi Okęckiej, Brzeziewicze wyjechali wieczorem.

Rena z gorączką w sercu. Rzuciła się tylko rozpaczliwie na szyję Tatyanie i w uścisku chłopki odczuła, że ta instynktem rozumiała wiele.

Lecz żegnać się z niczem więcej nie chciała. Miała dziwne uczucie, jakby ona coś z tych Zaleszyniec zabierała ze sobą i to nierozerwalnie, a w dodatku coś najsilniejszego i najbardziej zrosłego z duszą ukochań jej największych.

Wskoczyła do powozu szybko i zamknęła oczy, gdy czwórka ruszyła z miejsca.

Unosiła ze sobą jakieś ziszczone pragnienie.

To, co pozostało, wydawało się jej martwe i bez interesu.

. . . .

Gdy w kilka miesięcy później Rena poczuła się matką, przez chwilę doznała olśnienia, jakby jakiejś rozpaczy, potem łagodnego wypłynięcia na jasne, spokojne przestworze.

— Dziecko! — pomyślała — dziecko jego!

Ani przez chwilę nie przyszło jej przez

umysł nic innego. Pojęcia jej o istocie i fakcie macierzyństwa zaczerpnięte były od Tatyany. Poza tem nigdy z nikim nie mówiła w tej kwestyi.

Całą myślą zwróciła się teraz ku temu człowiekowi, którego zaniedbała nawet pamięcią i pozostawiła w oddali zupełnej.

Była mu wdzięczna teraz i rozegzaltowała się na punkcie tej wdzięczności.

Los posłużył, że spotkała go zupełnie niespodziewanie na ulicy.

Z wypiekami na twarzy, prosto, otwarcie powiedziała mu, jak jest. Nie uważała, że żachnął się przerażony i pobladł.

Lecz powoli, widząc, iż ona tę sprawę traktuję zupełnie normalnie, zrozumiał, iż Rena była na tyle przebiegła, iż na wzór innych »mężatek« zostawiła konieczną furteczkę...

Rozrzewnił się nawet. Pochwycił ją za rękę.

— Naprawdę! naprawdę? — bełkotał.

Przejeżdżała zamknięta dorożka. Chętnie do niej wsiedli. Zmrok zapadał.

Powóz powoli okrążał stawy zamarłe, cuchnące i ciche. Tylko rozczochrane sylwetki wierzb tu i ówdzie rzucały cienie na szyby.

W powozie Rena i Wende pławili się w zobopólnej nadziei i wdzięczności.

Postanowili widywać się od czasu do czasu.

Renie zdawało się, że to jest jej obowiązkiem, że teraz z Wendem wiążą ją jakieś wielkie, nierozerwalne obowiązki.

On brał tę sprawę mniej obowiązkowo, ale pewna rycerskość nakazywała mu także pożądać tych widywań się.

I spotkali się jeszcze kilkakrotnie, lecz za każdym razem płomień ich wdzięczności gasł, sztuczność zaczynała występować nad miarę, aż wreszcie, gdy Brzeziewicz, który bardzo seryo i poważnie traktował swą rolę przyszłego ojca, zakazał Renie samotnych po mieście wycieczek ze względu na jej stan i osłabienie nerwowe, spotkania owe ustały zupełnie.

Weszły znów w życie po roku, gdy Adzio był już żyjącem, istniejącem czemś gdy ten płomienny krzyk Reny, krzyk, który tryumfalnie odbił się o ściany folwarcznej izby, przybrał na się formę doskonałą i żywą.

Wtedy Rena zjawiła się znów przed Wendem, lecz surowa, zimna, dziwna, czująca jakby wieczyste szyderstwo w sercu, kłująca dawnego kochanka spojrzeniem, słowem i szkieletem wspomnienia. Prezentowała mu martwo, a zarazem jakby złośliwie syna, popadła w głęboką przepaść swej neurastenii, rozżalona, nie mogąca sobie zdać sprawy z tego, co sama względem Wendego czuła.

Zreasumowawszy jednak tę różnorodność

uczuć, doszła do przekonania, że jest jej »obojętny«.

Lecz — był jej własnością.

Własnością jej i dziecka.

To jedno w siebie wpoiła i od tego odstąpić nie chciała.

XX.

A teraz będzie musiała.

Tak.

Wende się ożeni z Jagą i jej prawa i prawa Adzia giną, jakby utkane z puchu łąkowego.

Rena z ciężkiem westchnieniem oderwała się baryerki, dzielącej ją od przepastnego stoku góry. Machinalnie spojrzała na wysadzony dyamentem stary zegarek, przypięty do piersi pod żakietem. Godzina była późna. Należało wracać do domu, objąć swe obowiązki, wydzielone jej przez los i konieczność.

Jak automat, zakręciła się i zaczęła iść ku czerniejącemu w oddali powozowi, koło którego widniała sylwetka woźnicy, drepcącego niecierpliwie na miejscu.

Mimowoli przyśpieszyła kroku. To było nałogowe poddanie się zwykłemu trybowi życia, który po nią swe długie, lepkie macki wyciągał.

Idąc, przypomniała sobie, że miała kupić dla Adzia flaneli białej na bluzki, a dla męża ręczniki do gabinetu konsultacyjnego.

— »Widzisz, matko i żono... zapomniałaś« — śmiał się w niej, w samej głębi jakiś potworny głosik — »widzisz, matko i żono«.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

— »Należy sobie utworzyć osobne życie, należy się odseparować od tego, co było. Uważać za rzecz przeszłą. Solidnie oprzeć się na podstawie świeżej, jakkolwiek złożonej z poprzednich już dokonanych faktów, i uczynić ów skok energiczny, który mnie zbawi. Bez tego jestem zgubiona«.

Rena tak postanowiła.

Jakby pochwyciła jakąś zbuntowaną istotę za gardło i cisnęła ją ku ziemi strasznym, nadludzkim wysiłkiem.

Mgłę rozciągała pomiędzy nią a sobą.

— Tam leż i milcz.

Zwróciła się chorobliwie do dziecka, do domu.

Zaczęła rozrzewniać się i dostrzegać rzeczy, koło których przechodziła dawniej z pyszną obojętnością. Przedewszystkiem całą swą istotę i uwagę pchnęła w stronę męża.

Pragnęła, aby robił na niej wrażenie wszechwładności zupełnej.

— On jeden... — myślała.

W tej egzaltacyi pokornej siebie i dziecko złożyła mu pod stopy. Brzeziewicz przyjemnie zdziwił się, czując dokoła siebie przemianę. Zaczęło istnieć w domu to ich troje, podczas gdy dawniej on z synem stali jakoś osobno, a na odrębnem, jakby trochę wrogiem i wyniosłem stanowisku trzymała się Rena.

Zewnętrznością starała się okupić teraz brak prawdziwości w swem usposobieniu. Zajęła się gorliwie stanem bielizny, sprowadziła od Christofla całe pudło srebra w stylu Ludwika XVI, a tapicerzy zakładali nowe story o delikatnych, niezrównanych deseniach.

Brzeziewicz musiał asystować przy wyborze bony dla Adzia, bony, nad którą Rena dnie całe debatowała, marszcząc brwi i przybierając pozę spokojnej zupełnie wewnętrznie istoty.

Mówiła jednak łagodnie, delikatnie i jakby z załęknieniem. Gdy odpowiadał jej: Jak chcesz! — protestowała szybko:

— Nie, nie... ja się zastosuję! zresztą proszę cię! bierz kierunek Adzia w swoje ręce.

Mówiła to błagalnym tonem, nie patrząc mu w oczy. Zdawało się, iż prosi go o jakąś łaskę.

Brzeziewicz wzruszał ramionami.

— Ależ, Reno, to samo się rozumie. Gdy dojdzie do lat odpowiednich. Teraz ci go jeszcze zostawiam.

— Nie! nie!... weź go zaraz! oddaję ci!

Siedzieli w saloniku Reny, jak dwoje ludzi, odbywających »czarną kawę« poobiednią. W wązkich lustrach powtarzały się ich postacie długie, rasowe, dobre w liniach, odziane starannie.

Rena ustawiła na środku salonu stół i marzyła o wprowadzeniu owej klasycznej »domowej« lampy, przy której mogliby istnieć całe wieczory we troje. Co najwyżej bona, lub Nataliszon...

Czuć było w tem rozpaczne usiłowania. Lecz Brzeziewicz nie miał o nich pojęcia.

Przyglądając się z pod okularów cieniuchnemu papierosowi o złotej gilzie, powtarzał uparcie:

— Gdy przyjdzie czas, Reno!

Lecz Rena nerwowo mięła taśmy teki, w której składała szkice piórkowych rysunków, za którymi przepadała.

— Czas nadszedł, ręczę ci.

— Adzio jeszcze maleńki.

— Właśnie. Czas teraz najlepszy do wyplenienia.

— Czego?

— Jego wrodzonych popędów.

Brzeziewicz zapalił papierosa.

— Jeszcze nie miały czasu się zaznaczyć, Reno.

Lecz ona gorączkowała się.

— Przeciwnie. Jest dumny, arbitralny.

— Phi! nie znajduję, aby to były wady.

— Wielkie, wielkie. Ja nie chcę w nim pychy.

— Dlaczego? Tylko pyszny potrafi dojść do czegoś... ja jestem pyszny.

— A... ty!

Chciała rzucić: — Tobie wolno! — ale powstrzymała się.

— Przytem... należy z niego wyrwać to najgłówniejsze...

— Co?

Wahała się.

— Co, Reno? Tylko uprzedzam cię, że, jeśli przypuszczasz, iż to jest najgłówniejsze w jego charakterze, zakus twój, aby go wyrwać, jest bardzo śmiały. Możesz bowiem zniszczyć podstawę i uczynić z Adzia manekina bez szkieletu.

Oczy jej zabłysły.

— Wolę... niech tak będzie.

— Ależ dlaczego?

— Bo ja nie chcę, aby Adzio miał w sobie...

Znów urwała.

Widocznie było, iż chce powiedzieć coś

ogromnego, ważnego, a tylko jeden wyraz się jej tłoczy na usta, i lęka się, że w tem jednem krótkiem słowie nie zawrze całej potęgi, która ją w tej chwili przejmuje.

— Co? — nacierał Brzeziewicz.

— Wieś! — wyrzuciła wreszcie Rena zdławionym głosem.

Brzeziewicz był bardzo subtelny w odczuwaniu pewnych sytuacyi. Nie pojmował dna kwestyi, ale czuł, że Rena wielką wagę przywiązuje do tej chwili.

— Wieś? — powtórzył z namysłem — a gdyby, co szkodzi?

Ona zaczęła niespokojnie z oczami uciekać.

— Nie chcę... nie chcę! Uczyń go lekarzem, adwokatem, kimkolwiek... Nie chcę wsi, nie chcę...

Brzeziewicza ujęło jej skłanianie się w stronę jego fachu. Mimowoli przysunął swoje krzesło ku niej i wziął ją za rękę.

— No... no... spokojnie. Przedewszystkiem trzeba z Adzia zrobić człowieka, a potem dopiero nadamy mu kierunek.

Choć chętnie byłaby po dawnemu wyrwała mu rękę, aby nie czuć jego kojących dłoni, siłą woli powstrzymała się.

— W Adziu jest już teraz człowiek... człowiek wsi... i tego zniszczyć należy.

— Nie. Bo to się może zemścić.

— Zemści się, jeżeli nie uczynisz tego od-

razu. Nie chcę w nim wad i złego, które znam nadto dobrze.

— Och! och! jak się unosisz.

— Tak! Nie chcę, aby był lekkomyślny, pracowity próżniak, arbitralny, utracyusz, fałszywy, rozpustnik.

Tchu jej zabrakło. Twarz jej oblała się ciemną czerwienią. Spostrzegła się, iż te wszystkie wady i błędy ciska na głowę Wendego, że nie człowieka »wsiowego« przeciwstawia teraz na oczy męża, lecz ojca Adzia, a swego kochanka.

I jakby rozpalone żelazne pchnięcie, odczuła w oddali widok chaty folwarcznej, tło kilimka jarmolińskiego w kraty szafirowe, amarantowe, szmaragdowe... i ten krzyk... ten jej krzyk...

Brzeziewicz uśmiechnął się dobrotliwie.

— No... no... nie przesadzaj. I my, i oni mamy swe wady i zalety. Damy Adziowi same zalety. Postaramy się o to. Coś będzie z mamusi, coś z tatusia...

Rena kurczowo zacisnęła palce dokoła ręki Brzeziewicza. Uczyniła to bezwiednie na myśl jego słów.

On zrozumiał uścisk ten inaczej. Pochylił się ku niej jeszcze uprzejmiej.

W swej rubinowej, aksamitnej szacie, z aureolą włosów gęstych i przeszytych z delikatnym białoszarym wzorem koronek u szyi,

miała pozór tej słynnej i cudnej Madonny Tiepola, rozebranej z szat długich i poważnych, a przeodzianej w bogate stroje dogaressy, rozkochanej w barwie i linii. Ta sama wyniosłość spojrzenia z pod ciężko spadających powiek, ten sam szlachetny kształt nosa i wykrój ust jakby kamienny i lekko uśmiechnięty.

Daleka mu była od dziewcząt, zalegających szampańskie pawilony, dokąd uczęszczał zagranicą chętnie, a zwłaszcza w Wiedniu stale.

Z wypukłymi biustami, z silnie ściśniętym stanem, krzykliwe i na urząd zmysłowe, szły za nim powolne, wiedząc, że ten pan, odziany dostatnio, o wyglądzie solidnym, który nie liczył się z ilością flaszek szampana, krzywdy im nie zrobi.

Tak w ten sposób, nie inny — zdala od domu normował Brzeziewicz swe stosunki rozkosznej konieczności

Zdawało mu się, że jest w zupełnym porządku, nie narzucając się żonie, która zbliżenia żadnego nie pragnęła i sama lodową zaporę pomiędzy nim zachowaniem się swojem wzniosła.

Lecz — oto — zupełnie niespodziewanie piękność jej rozwija się przed nim wabiąco. I ten solidny pan, tajny gość wiedeńskich szampańskich pawilonów, uczuwa jakby w głębi

sumienia wyrzut, iż postąpił źle, nie nalegając i przyjmując to »status quo«, z góry nakreślone.

— I piękna, i pełna taktu... — myśli, wpatrując się w wązki nosek pantofelka, migający pomiędzy futrem czarnem i połyskliwem, bramującem dół sukni.

Leciutki, dwuznaczny uśmieszek przesunął mu się nawet po ustach.

— Muszą się coś zmysły nie żartem budzić... skoro ona...

Rękę Reny ciepło miękko ogarnęło. Zmęczona i szukając jakiegoś asylum, ręki tej ciągle nie usuwała. Milczeli teraz długą chwilę. W tej tajni Brzeziewicza, gdzie puszyła się jego duma i miłość własna, chichotał cichy głosik.

Dzwonek, oznajmiający pacyenta, przerwał to sam na sam.

Brzeziewicz chwileczkę wahał się, wreszcie pochylił się i złożył na ręce Reny przeciągły, długi pocałunek. Ocknęła się i spojrzała nań zdziwiona.

On uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Do widzenia!

Wyszedł z pokoju, poprawiając okularów i stawiając pewno nogi.

Solidny pan czuł, że ta kobieta więcej przedstawia interesu, niż owe Mitki, Finy...

— Muszę jej wynagrodzić, porozumieć się

z nią — myślał, rozdając ukłony zbierającym się w salonie i poczekalni roztrzęsionym nerwowcom — stało się to głupio, niewiadomo dlaczego cofnęliśmy się od siebie.

Uśmiechnął się rad.

Zatarł ręce, zasiadł do biurka, zadzwonił.

— Wprowadź! — rzekł krótko do służącego, zjawiającego się na progu.

. . . .

W saloniku w dalszym ciągu siedziała nieruchomo Rena. Usiłowała teraz czynić jak najmniej ruchów i zachowywać spokój. Koncentrowała na to cały wysiłek moralny i fizyczny.

Odczuła doskonale atmosferę zmysłową, jaka się dokoła niej i męża wytworzyła.

Była pod tym względem wydoskonaloną kobietą...

— Trzeba więc będzie... — zastanowiła się.

Uderzyła z jakąś rozpaczliwą wesołością w ręce...

— Ha! no!... kto wie? może w tem będzie moje zbawienie. A wreszcie gdyby nawet... to stać się musi. Wytworzy się coś w skutek zbliżenia się i powoli...

Wieczorem, zdecydowana, w białych wełnach, delikatna i smukła, z falą włosów na ramionach weszła do pokoju dziecka.

Adzio spał już w łóżeczku. Pochylony nad

nim stał Brzeziewicz. Zwykłym ruchem, delikatnie otulał dziecko błękitną kołderką. Renę przeniknął dreszcz. Zdawało się jej, że wychwytuje dokoła całą podłość i kłamstwo, na jakie jest zdolna. Chciała wmówić w siebie, że, ulegając za chwilę mężowi, czyni zadość instynktowi, a więc uczyni dobrze, ale wyło w niej wszystko: kłamstwo! kłamstwo! kłamstwo!

Brzeziewicz wyprostował się z pretensyonalną zalotnością. Zdawał się być zbrojny w tej chwili nie tylko w swe zewnętrzne powaby, ale i w całą swoją nagromadzoną przez życie wiedzę, pracę, pewien rys dostojności charakteru, dzielność nabytą i dziedziczną, słowem, całą piękność »męskości« podbijnej. Mimowoli i Rena wydobyła z siebie na jaw kłamliwe dodatnie strony swej istoty.

Zaczęła się pomiędzy tym dwojgiem zupełnie niespodziewanie scena wzajemnego uwodzenia, jaka czasem nagle w małżeństwie, zagubionem przez czas jakiś w pustce światowej, powstaje.

Szczególnie w Renie jeszcze zwykła kobieca strona ciągłego poświęcania się wzięła górę i przedostała się na wierzch.

— Dla dziecka... to uczynię... — myślała, bijąc prądem ciepłym z flanelowych fałd ku uśmiechniętemu mężowi — dla dziecka, aby związać nas troje węzłami najsilniejszymi,

jakie tylko być mogą. Należy tak. Poza dom. To wrogie i do tego więcej dopuszczać nie należy. Poświęcę się!

W ten sposób — jakby ofiara — z płaszczem swych puszystych włosów, w fałdach bieli otulających i ujawniających rozkoszne kształty, spoglądała na męża narkotycznie i silnie, czując jednak wybornie nierzetelność swego postępowania.

Ponad nią migotała błękitna vielleuse'a.

— Poświęcam się! — głuszyła w sobie zbytek sumienia. Co więcej starała się upiększać swą szpetotę, ciągnęła ku sobie całun ofiarny, bo lękała się własnej przenikliwości.

II.

Od dnia tego zdawało się, że życie Brzeziewiczów weszło w tryb doskonały, normalny.

Główną sprężynę, jakby puls tego życia ujęła ręka Reny.

Wszystko szło jakby łożyskiem jakiemś, które ona własnemi dłońmi wśród skalistych, krytych cierniami łomów, wygrzebywała.

Umiała temu »pozornemu światu« nadać kształt tak doskonały, że aż dziwił ją samą, iż mogła w kłamstwie być tak prawdziwą.

— Niedługo — myślała — a nie rozróżnię już, co robię dla względów.

Wprędce jednak, widząc, że, gdy mówi o wielości »względów« swego postępowania, staje jakby na skraju silnie zarosłego lasu, pełnego niepokojącego szumu i odgłosów, odsunęła »względy«, a pozostawiła jeden wzgląd.

Wzgląd na dziecko.

I równocześnie jakaś dziwna surowość,

chorobliwe wymaganie, wypełniło jej dążenia. Przeceniała swe poświęcenie i dlatego chciała, aby rezultat odpowiadał usiłowaniom.

Zajęła się jego »wychowaniem«, z całą przesadą cechującej ją egzaltacyi.

Prąd przeogromniania doniosłości formowania z anioła prymitywnego — człowieka dopomagał jej. Obłożyła się książkami odpowiedniemi i broszurami. Chaos miała z nich w głowie i w sercu. Co chwila potykała się o słowo »indywidualizm« i tu czuła, że jej przedsiębrane kierownictwo znajduje silną zaporę, którą zniszczyć będzie musiała.

Rozumiała bowiem dwulicowość metod, jakie jej podsuwano. Wiedziała, że, niszcząc popełni zbrodnię; pozostawiając, co i jak jest, pójdzie przeciw samej sobie. Śledząc coraz bardziej Adzia, zdawało się jej, że coraz więcej odkrywa w nim Wendego.

I to, co mogło być dziecinną drobnostką, w oczach jej rosło jako zbrodnia, jako namiętność lub nałóg nie do przepuszczenia, który natychmiast doszczętnie wyplenić należało.

Powstały więc stąd z synem ciągłe kolizye i nieporozumienia. Dziecko swawolnie odkrywało swe wady, nie czując, że rosną one składem rzeczy do godności podstawy występków.

I karane dotkliwie, nad miarę surowo,

z jakąś pasyą, której się lękało więcej, niż kary samej, zaczynało rozumieć niesprawiedliwość i zatracało swoje cudowne przebywanie w naturze, swobodzie i pięknie. Rena prowadziła podwójną buchalteryę.

Dziecko bowiem oddała kornie w ręce mężowi i trzymała się tego postanowienia. To była jedna ścieżka.

Zgadzała się na »hodowlę«, zakreśloną przez Brzeziewicza, i nawet ściśle przestrzegała jej. Lecz to, co czyniła na swoją rękę, to wyrywanie i tępienie cech dziedzicznych w Adziu, z tem kryć się musiała wobec męża.

Adzio sprytem niezniszczonego moralnego węchu odczuł, że pewne rzeczy matka karze surowo, gdy są sami, lecz toleruje, milcząc, wobec ojca.

Drobny umysł pracować i równać zaczął.

Z tych nierówności wyrastał fałszywy ton stosunku dziecka do rodziców.

Stosunek ten nie miał dostojnego kierunku prawego i czystego; była tam nuta, wychwytana przeczuloną wrażliwością dziecka.

Co więcej, Adzio błękitem swych oczu łagodnych i pokornych chłonął w siebie jakąś mściwość, która spływała na niego z pobladłej w chwili karcenia twarzy matki. Skurczony bardziej winnie, niż winny był w istocie, milknął teraz, nie szukając obrony u Brzeziewicza.

Jakaś wielka przyczyna gniotła go. Zdawało mu się, że jest na lodowatem pustem polu i że próżno krzyczeć po dawnemu, bo nikt jego krzyku nie posłyszy. Natomiast tylko z góry, jak strumień, patrzący i buchający parą, płynął głos matki, migotały jej oczy, fosforycznie w niego wpatrzone.

Giął się do posłuszeństwa, lecz równocześnie, nie wiedząc, co czyni, rozbierał postępowanie matki. Jego pycha, ambicya, jego pewna dziecinna instynktowna zmysłowość, lenistwo, a zarazem junakierya w kierunku zwłaszcza rycerskości zewnętrznej, zaczynały przylegać, jakby czując, że ma do rozporządzenia środki obłudy, chytrości, ukrywania, o czem dawniej nie wiedział.

Rena to w lot chwytała i, wyczuwając siebie, jako główną, a może jedyną przyczynę tej przemiany w charakterze dziecka, napadała podwójnie silnie, mając teraz do czynienia już z całym różańcem »wad«, spajanych przedewszystkiem cementem chytrości.

— Jak tamten — myślała, wrogo śledząc Adzia i przypominając sobie mijanie się moralne Wendego przed jej mężem i ten wzrok jego zalękniony i obleśny tam, na sali balowej, gdy stał tak obok Jagi, kryjąc się chytrze z tem, co go z tą dziewczyną łączyło.

— Jak tamten!...

Najwięcej Rena uchwyciła się drobiazgów wewnętrznych, łączących Adzia z Wendem. I tak ta pasya do koni, ta cecha charakterystyczna obywatelczuków, pasya, we krwi tkwiąca silnie i niepokonanie, to zrośnięcie konia z człowiekiem, rozhukanie stepowe i pełne świeżej tężyzny, głównie wybijało się na plan pierwszy w charakterze Adzia.

Wszystko mu było koniem, tak dobrze Nataliszon, jak krzesło, wszystko mu było żłobem, stajnią, siodłem, uzdą, batem.

Brzeziewicz z upodobaniem śledził ten gust »obywatelski«, dominujący w dziecku.

Mól gabinetowy rad był z tej cechy i dumny był nią prawie. Zdziwiony, zaoponował silnie przeciw postanowieniom Reny.

— Niech się bawi, jak dawniej — zawyrokował — owszem, rad będę, gdy z Adka wyrośnie prawdziwy sportowiec...

— Niech, ale nie koniarz.

— Ach! proszę cię. To śliczna strona! Jestem nawet dumny, że Adek ma ją tak silnie wrodzoną...

Po twarzy Reny przesunął się płomień, usta zadrgały niedobrym uśmiechem.

— Nie masz z czego być dumny! — rzuciła przez zęby.

— O pozwól!... — z całą kurtoazyą odparł Brzeziewicz — to dziedziczne po tobie, po

twoich... Sama jesteś sportsmenka w najlepszym gatunku.

— Byłam, nie jestem...

— Tak złożyły się losy. Pasya twoja odżyje w Adku.

— Nie chcę.

— No! no!... kto wie. Może ożeni się z jakąś panienką ze wsi. Osiądzie. I będzie mógł zadowolić swe wrodzone instynkta. Tymczasem — pozwól mu wsiąść na konia... proszę cię! dziś wyjątkowo!...

— Czyń z nim, co ci się podoba.

Rena powstała z fotelu i przeszła do swego pokoju. Tam słuchała radosnych, choć trochę słumionych okrzyków dziecka:

— Hep! hep! ho! ho! wista! wio! prrr!!...

I głos matowy Brzeziewicza, komenderujący ruchami konia, wspaniałej, olbrzymiej zabawki, sprowadzonej z Wiednia, mechanicznie w ruch wprawianej, osiodłanej z najzupełniejszą precyzyą i doskonałością wierzchowców.

— Słuchać nie mogę... — szeptała do siebie Rena.

Ten wieczór wigilijny nadzwyczaj rodzinnie spędzony, był dla niej wyjątkowo bolesną torturą. Nigdy jeszcze z tak wielkiem staraniem i gorączkową pieczołowitością nie zajmowała się przygotowaniem gwiazdkowej uroczystości.

Wydobyła z głębi pamięci i serca wszystkie tradycyjne nastroje i rozpięła je dokoła, starając się być radosną, łagodną i pełną ciepła.

Domownicy, dostatnio obdarzeni, prezentowali wesołe twarze. Ona sama usiłowała cieszyć się nie tylko radosnym nastrojem ogólnym, lecz zarazem i tem, co ją spotykało. Bogate podarki od męża i od Adzia, piękna markiza, nasypana suto brylantami, o trzech delikatnych opałach, i koronkowa, inkrustowana srebrną lamą roba, spoczywająca w płaskiem pudle z japońskiej laki, na którem złote ibisy wśród trzcin lot swój porywały lekko i wdzięcznie, cenne były i dowodziły, jak bardzo szczerze i chętnie zajmował się wywołaniem w niej radości Brzeziewicz.

Ona nawzajem obdarzyła go garniturem pereł, a dziecku zniosła całe stosy elementarzy o literach jaskrawych, bijących ostro wzrok, o całych szeregach zwierząt, kwiatów przedmiotów codziennych, oszpeconych doskonałością, z jaką sztuka chciała poprawić naturę.

— Będę go uczyć! - postanowiła — i gdy pochyliła się z opłatkiem ku dziecku, strojna w swej srebrnoszarej krepie, bramowanej delikatnym galonem, z głębin jej aż zawyło wzruszenie błagalne, jakby chęć wyżebrania

przebaczenia u tych rączek różowych, niezgrabnie dzielących się z nią bielą opłatka

Wśród bukietów światła i migocących kryształów niepewnych, na źdźbłach słomy talerzyk z opłatkami pozostał całą wigilię, ciągnąc ku sobie wzrok Reny. Lecz łkało w niej dziwne uczucie. Oto, gdy siadali do stołu, służący podał im listy, przyniesione z poczty późno, ze względu na nawał pracy listonoszów.

— Życzenia, opłatki... — uśmiechnął się przyjaźnie Brzeziewicz.

Kilka pacyentek, związanych z nim nicią nerwów, jacyś dalecy krewni — oto dla niego. Wyjmował delikatnie opłatki i składał je na talerzyku.

— Razem z innymi.

Adzio w zachwycie śledził ruchy ojca.

— A potem zrobię ci, Adziu, z opłatków ptaszka.

— Nie... wózeczek... — zaszczebiotało dziecko i natychmiast skuliło głowę pomiędzy ramiona, patrząc w stronę matki.

Lecz ona nie słyszała jego szczebiotu. Tępo wpatrzona w otwarty list, jedyny, jaki dostała, silnie zmieniła się na twarzy.

Nikt tego nie zauważył, gdyż rubinowej barwy barszcz »z uszkami« skoncentrował uwagę wszystkich.

Ale Rena w wyciągniętej przed siebie ręce

kurczowo trzymała ciągle list, z którego na obrus wysunął się kawałek dość grubego żółtawego opłatka.

Na ćwiartce papieru pismem wprawnem dobrze wychowanej kobiety widać było:

— »Od nas wszystkich — dla was wszystkich«.

I podpis zewnętrznie zdecydowany:

Jaga.

— Przy stole siedzą teraz! — myśli Rena — tak jak my tutaj. Lecz srebrny puch śniegu mają za oknem i chochoły róż i sterty srebrne krzaków berberysu.. Tchnie tam tą rozkoszną tajemniczością wiejskich wigilii, wonią choinki z własnego lasu, siana z własnych łąk.

Brzeziewicz pochyla się ku żonie.

— Od kogo? czy wolno wiedzieć.

— Z Żaleszyniec.

Rozradowany Brzeziewicz wykonywa głową seryę zadowolonych ruchów.

— A... bardzo, bardzo uprzejmie, połóż opłatek razem ze wszystkimi.

Machinalnie Rena wyciąga rękę i składa na innych opłatkach opłatek zaleszyniecki.

— I oczy błękitne Wendego — ciągną dalej jej myśli, nastrojone na ton bardziej uczuciowy — przez szerokość stołu spotykają się z oczami Jagi... Wiadomo — narzeczeni. Coś w tych oczach tak, jak bywało wtedy... ku mnie... I ten pokój cichy, sztychy ukochane,

sofa w kącie, cała przytulność i pamiątkowy czar... Tam ja powinnam być i dziecko moje... i niechby tamten człowiek ku nam...

Widzi, jak po śnieżnej bieli obrusa rączka Adzia skrada się ku talerzykowi z opłatkami. Nie umie sobie tego ruchu wytłómaczyć.

— Czego on właściwie chce. Dlaczego ciągnie w tę stronę ukradkiem.

Dziecko szybkim, a delikatnym ruchem bierze opłatek zaleszyniecki i pociąga go ku sobie. Poczem zaczyna tajemnie łamać go i jeść ukradkiem.

W Renie zamiera dech.

Takie to instynktowne jakieś i tajemnicze.

— »Od nas wszystkich — dla was wszystkich« — pisała Jaga.

A więc i od Wendego dla Adzia.

Od ojca dla dziecka.

I oto dziecko bezwiednie łączy się w tej chwili pełnym serdecznego wdzięku świątecznym obrządkiem z tym ojcem dalekim i utajonym, który je porzuca, tworząc nowe gniazdo...

Jak burza, cisną się do gardła Reny łkania. Całą potęgą woli tłumi je.

Z błyszczącemi oczyma odwraca się do męża i uśmiecha się wytwornie.

On płaci jej także uśmiechem »mężowskim«.

Dawno już nie było takiej rodzinnej atmosfery w ich domu.

Wdzięczny jest jej i winszuje sobie w duszy tego zespolenia się zupełnego, przed którem się nie cofnął i którego pragnienie w Renie dość subtelnie wyczuł.

I wigilia przepływa raczej, nie przechodzi, jakby na skrzydłach niewidzialnych, uśmieszkami zwabionych aniołów.

III.

Gdy Rena weszła do sypialni i tam usiłowała odciąć się choć na chwilę od wesołych krzyków dziecka i matowego radosnego głosu męża, nie mogła tego dokonać. Przez obite aksamitnymi wałkami drzwi, przez zapuszczone białe sukienne portyery przedostawały się dokładnie, wrzynając się poprostu w jej duszę i serce.

Powoli wysunęła się do małego pokoiku, łączącego apartament z kredensem i kuchnią.

— Może tu będę sama na chwilę!...

Lecz za wejściem jej z kufrów, ustawionych pod ścianami w cieniu szaf, powstała jakaś postać kobieca.

— Całuję rączki.

Na stole stała świeca w lichtarzu. Opodal leżały jakieś zawiniątka, stał koszyk.

Rena poznała w witającej ją dziewczynie Maryannę Płaszcz, matkę Nataliszona, która

przyjechała do miasta na wigilię i miała małą niańkę Adzia zabrać z sobą na parę dni do domu.

Rena nie lubiła Maryanny Płaszcz za jej »wyprawny pysk«, jak mówiono o matce Natalki w garderobie. Przytem było jeszcze coś w tej kobiecie, w jej trzymaniu się naprzód, jak zwykły chodzić gejsze japońskie, w jej trywialnem zaprzepaszczeniu tego, co Francuzi nazywają »resistence«, a co jest jakby powstrzymywaniem tej całej najlepszej reszty człowieka, coś odtrącającego i nadającego jej piętno skończonej zuchwałości w dziedzinie uczuć i myśli.

— Całuję rączki.

— Jak się macie! — odparła Rena — jedliście już wilię?

— Właśnie nakrywają w kuchni. Ja tu trochę przysiondłam i oddycham, bo to wielmożna pani wie, że kolej człowieka stłucze do ostatniego bebecha.

Powstała już zupełnie, odziana głupio, źle, z pewną pretensyą, w stanik wyfiszbinowany, błękitny, naszywany czarnemi aksamitkami, w spódnicę wełnianą, szarą, dłuższą z przodu niż z tyłu, i w pasek ze złotego galonu z czarną stalową klamrą.

Żołnierska jej postawa, indycza skóra na szyi, odsłoniętej głęboko, włosy lśniące i od-

stręczające nad czołem impertynenckiem i upartem, znane dobrze były Renie.

Przyglądała się jednak zawsze tej kobiecie z ciekawości ze względu na głośny romans, którego była bohaterką.

— Kochał się w niej... kochał — myślała patrząc, jak Płaszczówna przygładzała naślinionymi ukradkiem palcami włosy nad skroniami.

Przyglądała się jej wydłużonemu owalowi, w którym odnajdowała dużo podobieństwa do twarzy Bartolomea di Venezia.

Ta sama szpetota w połączeniu z pięknem, zaaprobowana przez siebie i drugich, a nawet pasowana na jakiś powab ciągnący.

— Dziwne... dziwne... – myślała Rena. Przypomniała sobie dokładnie kochanka Maryanny Płaszcz, a ojca Natalki.

Był to rosły, dobrze zbudowany obywatel. Obecnie żonaty, ojciec dzieci, wsławił się procesem z matką Natalki o alimenta.

Rzecz nieznana dla Reny, podlegającej prawom Cesarstwa z urodzenia, czyniły z tych dwojga procesujących się jawnie i otwarcie postaci mityczne.

Obecnie kochanek Maryanny Płaszcz drażnił dziwnie wspomnienie Reny. Dziwnie i inaczej. Oto wyłoniło się pomiędzy nim a Wendem pewne fizyczne podobieństwo.

Wende stanowczo był więcej affiné, więcej

wysubtelniony i bardziej wdzięczny, lecz obaj mieli wspólny typ zrosłych z ziemią ludzi. Ogólna sylwetka, sposób ujęcia swej postaci był jeden.

Wende miał pewną rycerskość i szyk »d'un gentilhomme campagnard«.

Ów Józio, jak go Płaszczówna nazywała brutalnie i zuchwale, był o stopień niżej cały w swem ujęciu.

Lecz — był.

Rena oparła się o ścianę i nie odchodziła. Patrzyła na Maryannę Płaszczównę napozór spokojnie i uprzejmie.

— Kiedy jedziecie? — spytała.

— Jutro do dnia.

— Dlaczego tak wcześnie? Zostańcie przez święta. Pójdziecie do teatru na Betleem...

Lecz Maryanna Płaszcz pokręciła głową.

— Nijak nie mogę, proszę wielmożnej pani. Nijak nie mogę.

— Czemu?

— Bo muszę Natalkę ojcu sprezentować w drugi dzień świąt Bożych na sumie świętej.

— Na sumie?

— A no. Józio przyjedzie razem ze swoją wielmożną panią i dzieckami. Ja się zawsze ustawiam koło kropielnicy na samym widoku i Natalkę mam przed sobą. Tak jesteśmy, że Józiowie muszom się o nas otrzeć. Ani chybi. Jakby nie, to już jabym tak robiła, żeby mu-

sieli. I tak Józio swoją córkę w te święto obaczy...

— A czy mu to sprawia przyjemność?

Płaszczówna zaczęła się śmiać, ale jakoś dziwnie. Jakby koń w oddali rżał.

— Ja się ta nie pytam. Ale czemuby mu nie było miło dziecko swoje rodzone widzieć? a że rodzona, to jest nawet przez sąd przyznane...

— Właśnie dlatego, żeście się procesowali.

Maryanna Płaszcz spojrzała zdziwiona.

— To i co? W prawowaniu gniewu niema. Sąd świetny krzywdę moją przyznał, a Józio święcie płaci. Ja ta do niego nie mam gniewu ani odziubinki, a on do mnie chyba też...

— No... przecież to skandal, kompromitacya.

— Jaka? Co też wielmożna pani! Znaczy, że kawaler, jak się patrzy, a dziewuszka fest, jak laleczka. Jakem ją przed sąd przytaskała i postawiła na stole, to aż się wszyscy dziwili. Cóż to za szkandał? Abo mu to co zaszkodziło? O, jaką fajn pannę dostał z Glinkowic. Już wiedziała, że dziecka będą udane, jedno w drugie!

Roześmiała się znów i dodała:

— A jakże!

Rena milczała chwilę. Wyobrażała sobie salę sądową i tę kobietę o twarzy i śmiechu podobnym do rżenia konia »taskającą« swe

dziecko miłości na stół, jako »corpus delicti«, i brutalnie domagającą się zapłaty, która równie brutalnie odmówiona jej była.

Epizod (boć nie epilog jeszcze miłosnych ekstaz i uniesień).

Rena z jakąś nienawiścią patrzyła teraz na Maryannę. Nie umiała sobie właściwie wytłómaczyć dlaczego.

Lecz zarazem przykuwała ją jakaś ciekawość. Coś moralnie niezdrowego łechtało jej duszę i kazało patrzeć, słuchać i nie odchodzić z kręgu, w którym ukazywała się jej »kochanka Józia«.

— Nie, proszę wielmożnej pani, nie. Józio wcale się na nas nie krzywi, kiedy nas zobaczy. Ja uczę dziecko, ażeby szanowało ojca, bo przecież tak Pan Bóg przykazał. I ojciec musi widzieć też swoje dziecko. Czy nie tak, proszę wielmożnej pani?

Renie przyszło na myśl, że i ona prowadziła Adzia po ustronnych kątach, aby go »Wende zobaczył«. Wzdrygnęło się w niej wszystko. Czuła, iż jakaś wspólność wiąże ją z tą brzydką kobietą, dla której moral insanity było wyznaniem wiary.

— Tak... — ciągnęła dalej Płaszczówna — Tak. Gdy Natalka do domu przyjeżdża, ja zaraz wyciągam z pudełka po cukierkach listy Józiowe i każę jej wieczorami głośno

czytać. Niech wie, jakiego to miała ojca i jak jej matkę kochał.

— Józio do was pisał?

— No... a co wielmożna pani myśli? I jak ślicznie. Pisał mi i od aniołów, i od królewien, i od śliczności!

Zaczęła się śmiać. Rżała cała, a twarz jej świecąca coraz więcej błyszczała od potu i tłuszczu w obramowaniu czarnych, rzadkich niesympatycznych włosów.

— »Śliczności, pisał, i zawsze listy kończył: »rączęta twoje całuję...«

Rena mimowoli patrzyła na wielkie, ohydne ręce Płaszczówny. Wierzyć jej się nie chciało, a przecież wierzyć musiała.

— »Potem pisze mi raz« — ciągnął monotonny głos Płaszczówny — »nie bój się Maryi, jakby co — dziecko albo co z tej naszej miłości — to się go nie zaprę i wezmę za swoje«.

Tryumfująco się roześmiała.

— A... o!... proszę wielmożnej pani. Ten list był najważniejszy. Mój adwokat jak go zobaczył, to aż podskoczył. I mówi: Oto to — doskonale, żeście schowali — tem my jego do muru przybijemy! — No... i widzi wielmożna pani. Pan Jezus czuwał nade mną, sierotą, i dał mi taki dokument w rękę.

— Wyście te listy pokazywali w sądzie?

— A jakże! Wszystkie. Była wielka ucie-

cha. Panowie sędzie się śmiali, bo to, proszę wielmożnej pani, Józio nieraz i niejedno... takie... tam świństewko napisał. Ot... wiadomo. Jak między takim dwojgiem, co to już nic nie mają dla siebie skrytego.. Bardzo się panowie sędzie śmiali.

— I teraz Natalka to czyta?

— No... może nie rozumie, bo to głuptak. A jak rozumie, to już się nie zgorszy...

— Co?

Renę głównie teraz zajmował jeden punkt tej sprawy.

— Wyście przysięgali?

Płaszczówna aż się wyprostowała.

— No... pewnie. Ta to na tem się gruntuje wszystko, i kobiecie dają wiarę w prawie, jak przysięgnie...

Rena powtórzyła:

— I wyście przysięgali?

Płaszczówna jakby się zmieszała pod badawczem spojrzeniem Reny.

— Mówię, że przysięgłam.

— Na to, że Natalka jest dziecko Józiowe.

— A na to.

— A on... zaprzeczał.

— A no, mówił, że niby nic wie...

— A wy wiedzieliście?

Płaszczówna się żachnęła:

— A bo się to nie czuje! — odparła sen-

tencyonalnie — przecież każda kobieta wie, czyje rodzi dziecko. Wielmożna pani nie wie, czyj jest Adziu?

Chwileczka, minutka, zawieszenie głosu Płaszczówny, a w Renie zamarło prawie serce.

— A no, przecie wielmożnego pana doktora. Tak i ja przecie wiem, jak i co. I nawet, chociażby i byli inni, to mam przeczucie i na to przeczucie mi dają wiarę i przysięgę. Co? nie?

Renie zaczęło być duszno i straszno i w tej atmosferze, w której czuła coś pokrewnego ze sobą.

— Bądźcie zdrowi! — wyrzekła nagle — idźcie do kuchni zjeść kolacyę.

— Całuję rączki wielmożnej pani! całuję rączki!

. . . .

Rena szybko wyszła do swej sypialni. Była zdenerwowana i wzburzona. Chwilkę zatrzymała się w pół cieniu. Pragnęła przyjść do równowagi. Z przysłoniętych jedwabną zasłonką drzwi, prowadzących do pokoju Adzia, dochodził jakiś głosik delikatny i cichy.

Rena zbliżyła się do drzwi i podniosła zasłonę.

. . . .

To, co ujrzała odrazu, pochwyciło jej serce i duszę dziwnym, przeczystym sentymentem. Adzio, niezależnie od wielkiej choinki, roztaczającej swoje przepychy w salonie, zapragnął mieć swoją, małą, ubraną odpadkami strojów tamtej »starszej«.

I małe to drzewko przystroił sam, postawił na środku swego pokoju na ziemi, a teraz, zapaliwszy świeczki, cieszył się niemi, klęcząc w ekstazie, oblany blaskiem, przecudny i jakby wniebowzięty.

W swej bieluchnej wełnianej sukience, z masą włosów, srebrzących się i złocących dokoła delikatnej twarzyczki, miał w sobie tyle piękna, tyle czystości i spokoju, że zdawał się być duchem przejasnym, zesłanym z górnych sfer dla adorowania symbolu rozpłomienionej wiary, w tę mistyczną tajemnic pełną, gwiaździstą noc.

Rena przywarła się cała do szyby i bez tchu chłonęła w siebie ten niewinny wdzięk i uczuciowość dziwną, owiewającą klęczące dziecko. Adzio cichutko śpiewał kolendę, a właściwie tylko dwa pierwsze wiersze, bo dalej nie umiał. I, jak świergot ptaszka, tak słychać było:

»W żłobie leży,
Któż pobieży...«

I znów powracało:

Któż pobieży...

. . . .

Rena tonęła cała w rozkosznem uczuciu, przepełniającem jej serce. Wstrętne, odtrącające widma, nawleczone na nią przez Płaszczównę, ginęły. — Natomiast z głębin jej wyrastały jakieś kwiaty myśli o cudownych, uspokajających ją barwach.

— Czyż winą, zbrodnią i występkiem było moje cudzołóstwo, jeżeli następstwem jego jest powołanie do życia tej czystej, czarującej, cudownej istoty, jaką jest mój syn? Czyż zbrodnią to jest? i kto mi to za zbrodnię liczyć będzie?...

Ktoś był w tej chwili koło niej.

Obejrzała się. Stał Brzeziewicz.

— Czemu się przypatrujesz?

Lecz ona zasunęła zasłonę. Zdawało się jej, że ona jedna ma tylko prawo patrzeć na to dziecko w tej godzinie.

— Herbatę podali do mego gabinetu? Czy przyjdziesz?

— Tak!

Ujęła go pod rękę dość przytulnie, jakby mu chciała wynagrodzić to, iż nie może mu pozwolić na odczuwanie tego rozkosznego wrażenia, jakiego ona doznała przed chwilą.

— Chodźmy!

Weszli do gabinetu. Zajęli zwykłe miejsca. On przed biurkiem, ona na fotelu pacyentów. Pomiędzy nimi stał mały gerydonik, a na nim przyrząd do herbaty. Rena uprzejmie zaczęła zajmować się przyrządzaniem herbaty. Atmosfera zgody i ciepła zapanowała dokoła nich.

Brzeziewicz, patrząc na żonę, podziwiał jej urodę i gracyę jej gestów. Myślał, iż istoty, od których kupował swe rozkosze w Wiedniu lub Krakowie, nie były tyle warte, co ta wytworna i rasowa kobieta. Brzeziewicz bowiem zdradzał swą żonę, ale poza granicami miasta, w którem byli. Skoro znalazł się w innej miejscowości, odwiedzał tajemnie szampańskie pawilony, uważając, że najzupełniej nie przekracza w tem miary i nie łamie złożonej przysięgi.

Oczy jego spotkały oczy Reny.

Ta w głębi nich taiła okrutne przyznanie się.

— Zawiniłam względem ciebie...

Usta jej dumnie i boleśnie milczały.

On w oczach jej, przysłoniętych długiemi rzęsami Madonny, czytał raczej wyrzut.

— Ona cierpliwie, a dumnie czekała na mój powrót...

Przez jej serce przesunął się wyrzut.

— On cierpliwie i delikatnie czekał na moją łaskę...

Oboje czuli dla siebie wzajemnie wielki szacunek, a równocześnie pogardę dla siebie samych.

Uśmiechnęli się do siebie łagodnie i miło, jakby sentyment ich dawny nie doznał nigdy żadnej porażki.

Równocześnie jednak, szczególniej u niej, wzmogła się nadzwyczajnie czujność, jakby przed niebezpieczeństwem ujawnienia się tajemnic, które dławiła w głębi swej duszy.

— Żeby tylko się nie dowiedział... — drgało w niej kurczowo — żeby tylko...

Zaczęło to być teraz rysem głównym jej myśli.

Do niego zastosować się postanowiła, koncentrując swe siły i zasób obłudy tragicznej. Maska jej zlodowaciała spodem. Na wierzch wywołała sztuczną, interesującą, ciepłą prostotę istoty, pełnej pobłażliwości i szczerych uczuć.

— Masz jakich interesujących pacyentów? — rzuciła mu, jak haczyk z przynętą, mierząc go dawną, a tak nienawistną jej miarą.

Lecz on ruchem pełnym gracyi zaprzeczył.

— Nie mówmy dziś o pacyentach i chorobie, proszę cię! raczej o rzeczach smaku. Są bowiem także na świecie.

— Są! — potwierdziła, unikając jego wzroku.

— Kobietą jest, zainteresuję ją jej własną pięknością — postanawiał — i tem pozyskam ją najpewniej.

— Czy wiesz, do kogo jesteś tak bardzo rodzajem swej piękności blizka?

Zdziwiła się. Dawno nie mówił jej o jej piękności.

— Do kogo? — spytała.

— Twarz twoja jest kopią Madonny Batysta Tiepolo...

— Nie znam jej, nie widziałam.

— I ja nie widziałem oryginału. Jest w posiadaniu pana Thrausche w Rydze. Ale kopia jej doskonała wpadła mi w oczy we Florencyi... oderwać się od niej nie mogłem. Mało w niej Madonny, ale za to kobieta cała i zupełna. Majestat i wdzięk. Osądź sama.

Powstał i wyszedł do drugiego pokoju.

Była to jego sypialnia, oświecona teraz bladą, czerwonawą lampą. Przez otwarte drzwi widać było meble przeważnie Biedermajerowskie, o jasno-rudych, połyskliwych płaszczyznach. Jakiś trochę zimny spokój panował tam niepodzielnie.

Rena powiodła wzrokiem za nim. Podczas gdy ona w Zaleszyńcach padała w objęcia Wendego, on upajał się pięknością Madon,

których wyraz przypominał mu jej twarz i jej piękność.

Wiedziała, że był z urodzenia estetą i garnął się do sztuki, wprawdzie nie oryginalnie, lecz zapożyczając się u tych, którzy już wiedzieli, lecz nie przypuszczała, ażeby umiał połączyć chęć wrażeń, pochodzących z dzieł sztuki, razem z chęcią zaledwie kiełkującą odświeżeń się u źródła przyrody.

— A może poczuł słabość pierwszych i zwraca się ku sile drugich? — myślała.

— W każdym razie jest i on interesujący, należy tylko wżyć się w jego duszę... Uczynię to... powinnam... muszę...

Brzeziewicz powrócił z teką. Odłożył ją na bok. Przypomniał sobie, że gdzieś na okładce zapisał we Florencyi nazwisko tej, którą spotkał na ulicy i u której był dwukrotnie.

— Oto... ty! — podał jej nędzną reprodukcyę Tiepolowej Madonny, tak mało będącej »Tiepolową«, a tak posiadającą wybitną, nie dającą się zapomnieć indywidualną cechę.

Rena pochyliła się nad podanym jej drukiem i rzeczywiście przyznać musiała, że ten z XVII-go wieku Wenecyanin jakby wyczuł jej nie tylko formę zewnętrzną, lecz ten wyraz sennej dumy w postaci kobiety o ciężkich powiekach o nieokreślonem, tajemniczem spojrzeniu.

Głowa trochę uniesiona, usta pełne, zaciśnięte mimo to jakąś wzgardą, jakby wyrazy jakiegoś głębokiego cierpienia, wyniosłość szlachetną i wielką wstrzymywała na trochę obrzmiałych wargach.

Jedynie tylko należało tu wogóle zastosować słowo: wyniosłość do całego wyrazu, jakim była przepojona linia tego zwrotu głowy i to spojrzenie, biegnące w dół na coś, u stóp pełzającego i nizkiego.

Nie było w tem nic Boskiego, nic z Maryi tej, jaką wyśnił Bernardino Luini, słodką, zadumaną i dobrotliwą.

Tiepolo raczej uosobił w swej Madonnie wszystkie monny, jakie od wieków snuły się, wzgardliwe i milczące. Nie rozmodliło się jego serce, tworząc, lecz z lękiem przed wyniosłym majestatem na tronie z chmur, osadził tę syntezę istoty kobiecej, zaciętej i sądzącej, znającej przepych swego zaklętego losu.

— Jestżem taką? — pyta prawie trwożnie Rena.

— Tak. Jesteś nawet piękniejsza. Owal twej twarzy jest doskonalszy.

— Nie chodzi mi o piękność, lecz pytam, czy jestem taką?

— Nie rozumiem ciebie, Reno!

Zamknęła wolno tekę i oddała mu ją.

— Przejrzyj dalej. Mam ciekawego Götticha z Lipska. Miedziorytnik z XVI wieku.

Ona zmęczonym gestem odmówiła.

Nie była w stanie uczynić mu tej przyjemności i pozwolić, aby się popisał wreszcie swą erudycyjką, pochwytaną i zakutą w ubogie, przygodne zbiory, skupowane po przedsionkach muzeów monachijskich lub medyolańskich.

— Jutro!... — wyszeptała cichym głosem.

Skłonił się grzecznie, schował Madonnę Tiepola w głąb teki i wyszedł.

— Jestżem taką? — pytała się już teraz sama siebie Rena. — Pyszną, wyniosłą, patrzącą na ludzi, szacującą życie, jako to marne i złe, które, ile razy się go dotkniemy, obdarza nas zawodem, trwa za długo, lub za krótko... On mnie nie odczuł, nie wiedział, o co właściwie go pytam. Ale było to naturalne. Ja jedna wiem tylko, że nie mam prawa być tą wyniosłą, bo wyniosłość moja nie jest szlachetną i należną... Jakiem prawem wznoszę czoło — ja?... jakiem prawem?...

Ogarnęło ją znów zwątpienie w prawość postępku swego. Wizya anielska dziecka znikła. Pozostał potwór dokonanego i wyklętego ustawami ludzkiemi czynu.

— Raczej czoło zakryć — myślała.

Lecz, gdy Brzeziewicz wrócił i zajął swe miejsce naprzeciw niej na fotelu, mimowolnie

podniosła głowę i przybrała przepyszny zwrot głowy siedzącej na obłokach Madonny.

— Uderzające podobieństwo! — mówił Brzeziewicz, poprawiając okulary — uderzające...

IV.

— Wende! jakieś znane nazwisko. Wende!
Rena szybko podniosła głowę, patrząc pytająco na męża. Stał na środku salonu, gotując się do wyjścia. Miał w ręku list jednego ze swoich kolegów.

— Wzywają mnie na konsylium do pani Wende. Nie pamiętam, skąd znam to nazwisko.

Rena wydoskonaliła się w kłamstwie. Teraz poprostu odbywała jakby ćwiczenia obłudy i zaczynała już igrać z niebezpieczeństwem możności zaniku swej woli.

— Wende? — powtórzyła — nie pamiętam, nie przypominam sobie...

Mrużyła oczy i wyciągnęła szyję, jak aktorka, która usiłuje sobie gwałtem coś przypomnieć.

Wzrok jej padł na postać Adzia, przylepionego do szyby i wpatrzonego w biel ulicy.

Obok niego, jak szyldwach, tkwiła Natalka w swym białym kołnierzyku i purpurowej krawatce.

— Wende? Wende? — powtarzała Rena.

A jak zgrzyt, przebiegło jej po mózgu, śpiewając jakąś nutę kantyczkową.

— Ojciec tego dziecka... ojciec tego dziecka...

Ze świeżym, sympatycznym uśmiechem zwróciła się do męża:

— Nie... stanowczo nie mogę sobie przypomnieć.

— Mniejsza!

Pożegnali się czule, całując się naprawdę.

Malec z krzykiem porwał się od okna i zawisł ojcu na szyi. W otoczeniu ciepłej domowej atmosfery wytworzył się doskonały nastrój rodzinny.

— Czekamy z obiadem!... — przypomniała uprzejmie Rena.

— Przyjdę! Przyjdę!...

Odprowadziła męża do przedpokoju. Mały dreptał koło niej. Nieledwie wyszli na schody. Musiał upominać: »Zimno, wracajcie, jeszcze mi się zaziębicie!«

Zeszedł rzeźki i rad. Od pewnego czasu nie poznawał swego home, a zwłaszcza nie poznawał Reny. Nie tylko była wytworną w swej bierności, ale ujęła jakby w cugle swe moralne obowiązki domowe. Szła równo, a co więcej, śladu na niej nie było przymusu.

Z początku nawet trudno mu było włożyć się do tego rodzaju życia. Już miał swój

świat, chorób i nieśmiałego podkradania się w dziedzinę sztuki. Lecz zdziwienie ustąpiło chętnej wdzięczności.

Brzeziewicz winszował sobie, iż wreszcie rodzina jego weszła na »prawdziwą drogę«.

Chora, do której go wezwano, leżała w apartamencie nieobecnej swej siostry cioteczne j — »półkrwi« z rodu, a mającej wstęp pełny z powodu wielkiego majątku. Przyjezdną krewnę pomieszczono wygodnie i zwołano konsilium.

Chora była siwą, starszą kobietą o zżółkłej, zwiędłej twarzy. Oczy tylko szafirowe, łagodne patrzyły z pod splisowanych boleśnie powiek w właściwy sposób.

Ważność i pewna pycha »profesorów« wypełniła szaro i miękko zasłane pokoje. W złocistych ramach zwieszały się holenderskie czernidła, a jakiś Van Cuyp zajmował honorowe miejsce.

U okien ciążyły koronkowe zasłony.

Chora siedziała na fotelu, cicha, odziana w angielskie wełny, zapięta szczelnie, jakby do konnej jazdy. Widocznie przeszła przez wiele rąk lekarskich i traktowała powagi obojętnie.

Wzrok jej głównie ciążył ku dębowej szkatułce z papierami, stojącej tuż pod jej sofą. Odpowiadała uprzejmie, jak osoba dobrze wychowana, lecz czuć było w jej głosie znużenie i zupełny brak wiary.

Brzeziewicz, siedząc naprzeciw niej i już snując dyagnozę, ujęty był jej wzrokiem i przejrzystością tych źrenic, które kilkakrotnie spoczęły na nim przelotnie. Coś w nim poruszyło się pod wpływem tego wzroku, coś w głębi serdecznej.

Jakieś uczucie świeże, jakby powiew na wiosnę od świeżo wzruszonej ziemi.

Ogarnęło go uczucie, jakby to wrażenie nie było mu obce już oddawna, jakby tylko cichutko dźwięczała w nim jakaś struna bardzo mu miła i bardzo mu blizka.

— Ja tę kobietę stanowczo już w życiu widziałem...

Dziwnie mu było. Ot — jakby ją kochał, jakby ją tulił w swych ramionach... Koledzy jego zadawali jej dalej pytania elegancko, dystyngowanie, omijając, ślizgając się koniecznie około funkcyi życiowych.

— Czy byłaby to moja jakaś dawna, zapomniana kochanka? — sondował swe wspomnienia miłosne.

— Niepodobna przecież. Taką kobietę byłbym zapamiętał...

Znów spotkał się ze wzrokiem pani Wendowej.

— Jeżeli tak było, to musiało to być w samej wiośnie mego życia, bo to, co budzi we mnie wzrok tej pani, to uczucie bardzo świeże i sympatyczne.

Po skończeniu konsilium pani Wendowa, paląc papierosa, prosta, śmigła, prawie młodzieńcza swą postacią, podeszła ku Brzeziewiczowi.

— Z Oleszyniec ukłony wiozę dla pana, dla żony i dla Adzia.

— Z Oleszyniec?

— Tak. Od Tosi Okęckiej, od Jagusi. Jesteśmy przecież sąsiedzi i skuzynowani. Z mamą żony pana byłyśmy rówieśniczki. Razem wchodziłyśmy w świat.

Uśmiechnęła się wdzięcznie.

Sznur zębów białych rozjaśnił zwiędły ton jej cery.

— Należy mnie trochę choć postawić na nogi, doktorze. Ślub mego syna za miesiąc.

— Syn pani się żeni? — zapytał Brzeziewicz, aby podtrzymać rozmowę.

— Jakże? z Jagusią Okęcką. Czy Rena nie powiadomiła pana.

— A... tak, tak. Jestem tak roztargniony, tyle zajęć...

— Wiem, wiem. Dlatego właśnie wezwałam pana, bo słyszałam, jak wielkiem cieszysz się ludzkiem zaufaniem. Jednemu panu ufać będę, bo przyznam się, że, co do tamtych panów...

Błękitne jej oczy i cała twarz przybrały wyraz nieokreślonej ironii. Chwilę patrzyła na strojne i imponujące postacie lekarzy, zabierających się do odejścia.

Brzeziewicz kurtuazyjnie zaprotestował.

— Sza... doktorze! My dwoje porozumiemy się doskonale. Reszta zbyteczna.

— Nie, nie znałem jej. Nie tylko nie była moją kochanką, ale nie przeszła mi przez życie — myślał Brzeziewicz, wracając do domu.

Potarł czoło i pokręcił głową.

— A jednak jej oczy...

. . . .

U szyi uwiesił mu się Adzio z krzykiem radosnym.

— Tatunieczek!

Brzeziewicz pogrążył się cały w radosnem zbliżeniu do dziecka. Porwał je i uniósł w powietrzu.

— W górę Adzia... w górę...

Usiedli do stołu. Jadali teraz razem. Służba dziwiła się i podśmiechiwała.

— Coś u państwa, jak u ludzi, siadają do stołu razem!...

Obiady zaczynały przybierać postać uroczystości familijnych. Menu było staranne.

Zdawała się zbliżać chwila, w której Rena wejdzie do kuchni. O Jezus!... łyżka do kosztowania. Słowem, dowiedzenie na wzór niemieckich kobiet bez skazy, że dobro męża ma oto na względzie.

Tymczasem Rena zasiadła do obiadu w su-

kni kroju empire, mieniącej, szafirowej barwy, przybranej spalonem złotem.

W każdej fałdce, w każdej zmianie tonu ujawniała się troskliwość gustu i odczucia harmonii. Linia od karku, przez środek pleców na tren sukni sprowadzona, była prześlicznie obmyślona, wytrzymana odpowiednio. Brzeziewicz, którego smak wykształcił się szybko na eleganckiej linii kobiet zachodu, z prawdziwem zadowoleniem obrzucił wzrokiem strojną figurę żony.

— Jesteś dziś nie tylko piękna, ale harmonijnie piękna... — wyrzekł z galanteryą.

Skłoniła wdzięcznie głowę.

Płonęła cała gorączką nerwową, całe rano strawiła, męcząc Adzia »lekcyą« i starając się w nim rozbudzić Brzeziewicza molowatość naukową. Lecz to nazwisko! Nieszczęsne krótkie nazwisko dźwięczało tu, jak dzwon, rozkołysany nagle wśród sztucznie wywołanej ciszy.

Wende, Wende...

Wiedziała, czuła, że padnie lada chwila i z naprężonymi nerwami oczekiwała na nie, siedząc w swej mieniącej się sukni, jakby owiana górskim szafirem, wśród którego przebłyska smuga srebrna nie stopionych śniegów.

I — padło.

— Mam dla ciebie uściski. Od cioci Okęckiej, Jagi... słowem, z Zaleszyniec...

Zmartwiałemi usty spytała, jakby nie słysząc.

— Od kogo?

— Od Okęckich. Ta pani Wende, matka narzeczonego Jagi. Panna za mąż idzie.

Usta Reny (nie ona) pytają:

— Kiedy ślub?

— Za miesiąc.

Z serca Reny, z tajników zbrodniczych i zamkniętych, jak silne, straszne wrota, wypełza krwawo powolny rumieniec. Pełznie wzdłuż krzyża do karku. Siatką rozpaloną ku czaszce, potem pod czaszkę i z pod włosów na czoło, na twarz się opuszcza.

Lecz fali tej krwawej nie widać, Rena jest martwa, blada tak, jak musiała być kobieta o której myślał Tiepolo, pieszcząc wyobraźnią czar piękna, skoncentrowany w twarzy swej Madonny.

Blada jest Rena, a chłosta krwi siecze ją bez litości.

— Nadzwyczaj miła osoba ta przyszła belle mère'a panny Okęckiej — mówi Brzeziewicz, zajadając, engourmand, kokilkę — miła i dystyngowana. Tak jak zresztą wszystkie panie z waszych stron.

Nowy uśmiech na bladych wargach Reny. Lecz niknie, bo oto Brzeziewicz mówi:

— A co dziwnego, że ja gdzieś już jej twarz widziałem...

Reny wzrok biegnie do Adzia, który w tej chwili wydaje się jej więcej, niż kiedykolwiek, miniaturą Wendego.

— Tak. Widziałem — powtarza Brzeziewicz.

— Co jest tej pani? — stara się interesować Rena, aby wprowadzić męża na teren zwykłych mu myśli.

— Nic i wszystko.

— A... więc.

— Gdy kwiat przekwitł, co począć! Ale jej się zdaje... a więc należy radzić.

— Czy znów... nihilina?

Szczerze roześmiał się Brzeziewicz.

— Naturalnie. Teraz jednak sfabrykuję anti jakąś... Będzie działać cudownie.

Zaczęli mówić po francusku. W Renie drżało wszystko gorączkowem tętnem. Chciała wybadać, gdzie odbędzie się ślub Jagi. Lękała się sformułować to pytanie. Obiad przeszedł w niezwykłem ożywieniu. Gdy rozległ się dzwonek pierwszego pacyenta, Brzeziewicz przeciągnął się leniwie.

— Ach! nie chce mi się iść tam!...

Poszedł jednak.

Rena porwała się od stołu i pobiegła do swego pokoju. Chciała odziać się i wybiedz na ulicę. Nie była w stanie.

To, co znów w sobie stłumiła, sztucznie rozpadło się, jak nagle w ciągu jednej nocy

strzelający płomienny krzew fantastyczny i gorejący.

— Ślub! ślub... — szepnęła.

Upadła twarzą na poduszki i leżała tak nieruchomo, nie mogąc znaleźć w swej istocie nic, coby stanęło wpoprzek tym faktom, które szły całą falą, niepowstrzymane w swym biegu.

V.

Od tej chwili, Rena żyła przyśpieszonem, pulsującem istnieniem.

Szpiegowała wyraz twarzy męża, gdy wracał od Wendowej, i czekała, czy nic od niego nie posłyszy. Ale on milczał, pomimo że na punkcie innych pacyentów był on dość, a nawet zanadto otwarty. Nie rozumiejąc łączności pożycia, jeśli Rena nie będzie brała udziału w jego sprawach lekarskich, ośmielał się i wynurzał coraz więcej.

Zachęcała go, czekając czy z ust jego nie padnie to nazwisko, które pędziło jej fale krwi do mózgu i szukać wzrokiem dziecka kazało. Wreszcie jednego dnia Brzeziewicz wieczorem, czując się bardzo znużonym, po konsultacyi przyszedł do pokoju Adzia i tam, na wpół leżąc na sofce, przypatrywał się chłopcu, jak z pewną kozacką zaciętością borykał się około tego, co kiedyś, w nieda-

16*

wnej przeszłości, nosiło z chlubą miano — konia.

Rena stała przy łóżeczku i układała fałdy świeżo założonych nad niem firanek. Czyniła to z wielkiem poczuciem linii. Muślin w rękach jej nabierał życia i posłusznie spływał harmonią fałd.

Rena była uczesana wieczorowo, gdyż iść mieli na bal. Ta strojność głowy, trochę potrącająca o wiek XVIII, i krój ubrania na wzór tancerek Clodiona, czyniły kontrast trochę wabny i dziwnie skromny.

Brzeziewicz powoli z dziecka przeniósł wzrok na żonę. Śledził gładkie ruchy jej smukłej ręki po przejrzystej tkaninie.

Delikatna wiotkość muślinu przywiodła mu jakieś myśli, jakby zastygłe.

— A!... poznałem dziś młodego Wendego — wyrzekł nagle — a raczej odnowiłem znajomość. Sympatyczny chłopak, przystojny, i zdaje mi się, że panna Okęcka robi dobrą partyę. Ty znasz Wendego. Przypomniał mi, że bawił w Zaleszyńcach wtedy, gdy i ty bawiłaś u ciotki. A nawet znaliście się jeszcze dawniej za życia twej matki. Pamiętasz?

Przez myśl Reny, przez jej myśl przebiegło tysiąc pragnień, aby w tej chwili napadła na ten zaciszny pokój jakaś katastrofa, która uwolniłaby ją od odpowiedzi.

— Pamiętasz? — powtarzał Brzeziewicz.

— Pamiętam! — rzuciła wreszcie przez zęby. — Skurcz chwytał jej szczęki.

— I — jakież jest twoje zdanie o tym młodym człowieku?

Rena oddychała ciężko. Wzrok jej mimowoli szedł w kierunku dziecka.

— Nie wiem. Nie znam go prawie — zaparła się.

Lecz patrzyła na dziecko.

Patrzyła.

. . . .

Sama nie wiedziała dlaczego, lecz postanowiła zobaczyć Wendego za wszelką cenę.

— Muszę... muszę! — powtarzała sobie zacięta, drżąca.

— Co mu powiem? Czego będę chciała od tego człowieka? Nie wiem, nie wiem.

Ale czuła, że »to się tak stać nie może«,

Ona musi go widzieć. Stanąć przed nim. przesunąć się...

To kobiece — zepsuć — zagrało wśród tragiczności rzeczywistej. I dlatego, gdy Brzeziewicz, ujęty wielką grzecznością Wendowej, zaproponował Renie wspólne złożenie wizyty, o co się Wendowa dopominała, Rena natychmiast przystała.

— Pójdę!

I w tej samej chwili migawkowo przesunęła się jej myśl:

— Jak się ubrać, ażeby być tą najpiękniejszą?

Gdy potem stanęła do obrachunku z własnem sumieniem, ogarnęło ją zdziwienie, połączone ze wstydem. Kokieterya drobiazgowa, strojna, podczas gdy szło tu o coś, graniczącego z rozpaczliwem zatonięciem w bagnie kłamstw i obłudy na życie całe.

I nie ona tylko, ale i to dziecko, ale i cały jej krąg rodzinny.

A tu — drżącemi rękami przymierza na ślicznie ondułowane włosy wspaniały tok z rubinowego aksamitu, z ogromną egretą z jasnoróżowych rajerów.

Jak »lalka«, jest piękna w tej chwili, lalka z modnej wystawy, z pocztówki, wabnej twarzyczką aktorki francuskiej.

— Co jest we mnie? czem jest wogóle kobieta? skoro to możliwe łączyć w sobie krwawy ból beznadziejnej sytuacyi i sięgać po upiększenie się... czem jestem ja w tej chwili...

Przypięła przecież tok i w ręcznem lusterku oglądała kunsztownie zafryzowane włosy.

Wytarła lekko brylanty w uszach i narzuciła długi lutrowy płaszcz na prześliczną wizytową tualetę, z miękkiego, ciemnego aksamitu.

— Jesteś »en beauté« — rzucił jej jakby

pod nogi mąż, nogi, obute w wązkie, lśniące buciki ze skóry koloru sukni.

Uśmiechnęła się tak, jak ta, która nie ma nic więcej do czynienia w życiu, jak być piękną i piękność tę pielęgnować starannie.

Przechodząc przez salon, zerwała z żardinierki pęk anemonów białych, lotnych, podobnych do motyli.

I teraz poczuła, że opada ją lęk, niepokój, że, gdyby zatrzymała się na krawędzi, zobaczyłaby siebie bez godności, człowiekiem, nie trzymającym się »na wodzy«, kimś, kto nie zaczął nawet swego wykształcenia duchowego.

I, czując to, szła na oślep, twardo, uparcie, brnąc, jakby w burzany, wiedząc, że chce walczyć z niemożliwem, a przecież stając do walki z rozkrzyczaną, niepewną i oślepłą duszą.

VI.

Wendowa oczekiwała ich widocznie.

Ubrana, jak zawsze, w swe angielskie wełny, z wysoką bielą kołnierzyka pod żółtą bladością twarzy, powitała Renę z tą serdeczną obojętnością, której tajemnicę mają »damy ze wsi«, tak wylane w swych sympatyach, a przecież zamknięte, niedostępne w krągu swych uczuć.

Cała zdawkowa masa zainteresowania posypała się, jak kosz trocin.

Wspomnienia matki Reny, Zaleszyniec wystąpiły na plan pierwszy.

Dawniej Rena uczułaby dotkliwie ten pewien ton dyskretnego współczucia tych, którzy jeszcze posiadają, dla tych, którzy już nic nie mają.

Lecz obecnie, jak uderzenie młotem, padało co chwila w rozmowie słowo »Czesio«, i oto, jak rozpalone iskry, miotały się dokoła Reny. Gdy Wendowa, cała przejęta rolą

wdzięcznej pacyentki, zwróciła się do Brzeziewicza z zapytaniem o Adzia, w Renie zachichotało nagle piekielnie:

— Babcia... babcia...

Siedziała, uśmiechnięta, szablonowo, z rękami utopionemi w olbrzymiej, delikatnej mufce, która okrywała jej kolana.

Wendowa bacznie patrzyła na nią, taksując jej urodę, wzrost i ręce.

Nigdzie bowiem, jak w tych stronach Polski, nie oceniają, nie ważą tak piękności kobiecej skrupulatnie, jak na tych Podolach, Wołyniach, Ukrainach. Rzecby można, że pierwsza kobieta, która się pojawiła na tych bezkresnych równiach o szmaragdowej, trochę nadpalonej barwie, lub powstała z piany szumujących bratków, fijołków, anemonów, hyacentów, storczyków, przetykanych srebrem polotnem traw stepowych, była tak piękna, jak antyk jakiś z muzeum Biamo w Genui lub ta niezapomniana Magdalena Tycyanowska, rozsiewająca swą delikatną gracyę w galeryi Pitti florenckiej.

I dziś każdą wyrosłą z tych ziem kobietę niemal miarą jakąś estetycznych przykazań oceniają i wyprowadzają jej prawo do życia. Mała głowa, wysoki wzrost, spadzistość ramion, smukłość szyi, złotawa barwa skóry, gąszcz włosów i przedewszystkiem wyraz oczów,

określonych trochę podniesionemi, dziwnemi liniami brwi.

Zarys więc od bioder doskonały, wdzięczny i rozkosz czarujących stóp książęcych, leniwych i delikatnych, o chodzie lekkim, ledwo dosłyszalnym, jakby muśnięcie skrzydeł.

I każda z tych kobiet, wypieszczona pięknością, bada drugą, jakby, czytając jej paszport, dozwalający zasiąść w jednym kręgu.

Rena była tą pięknością, a jednak tu i ówdzie bezczynne życie miejskich klatek nałożyło swe warstwy miękkiego tłuszczu i zacierało zwłaszcza spadek ramion, ponad które winna się wznosić drobna, mała kształtna głowa.

W jednej chwili uczuła to Rena. Ogarnął ją gniew i zadominował nad dramatycznością sytuacyi. Zaczęła zazdrościć Wendowej tej suchości skóry, odznaczającej dokładnie szkielet.

Słowo »Czesio« biło w ten jej gniew rozpalonym młotem. Mimo to uśmiechała się.

— Cztery lata...—oznaczała uprzejmie wiek Adzia na zapytanie Wendowej.

— Ach! to jeszcze bobo... — odwzajemnia jej uśmiechem pani Wende.

Drzwi otworzyły się.

— A to moje bobo!... dodaje dowcipnie i w świetle złotawem, filtrowanem przez de-

likatną koronkę firanek zjawia się sam Wende bardzo uprzejmy, śpieszący naprzeciw gości, jakby z wielką radością i serdecznem zadowoleniem.

Ręka Reny przez chwilę spoczywa w dłoni Wendego. Oczy ich zbiegają się i rozbiegają. Rena cała drży wewnętrznie, czuje, że purpura płomienna wypełzła znów zdradziecko na jej czoło. Odwraca głowę i prawie chroni się od Wendowej, jakby błagając o jakąś opiekę, ratunek. Rzucona jest bowiem na rozfalowaną przestrzeń i czuje się bezsilna. Lecz Wendowa wciąga do rozmowy syna.

Ten siada naprzeciw Reny i odpowiada matce prawie wesoło, uprzejmie. Słysząc ten głos swobodny, Rena doznaje ściśnienia serca, i ogarnia ją podziw.

Wende podśmiechuje się nawet, jakiś dowcip Brzeziewicza podoba mu się widocznie. Rena przeforsowuje swe zmieszanie i rzuca także jakieś słowo. Wytwarza się przyjemna, prawie ciepła atmosfera.

— Prawie familijna... — szydzi to »coś« w głębi Reny.

Rena zapomina nawet o tem, że przyszła z zamiarem »być piękną«. Nie dba o to, jak siedzi i jaka jest jej linia. Natomiast bezwiednie konstatuje, że Wende w swem ciemnem,

skromnem ubraniu miejskiem przedstawia się niezmiernie korzystnie.

Jakaś pewność siebie bije od niego. Na palcu ma pierścionek staroświecki z dużym szafirem. Pierścionek ten Rena zna doskonale. Widziała go nieraz u zmarłego ojca Jagi.

Brak subtelności nie kazał Wendemu zdjąć na tę chwilę zaręczynowego pierścionka. Lecz Rena całą galopującą fantazyą widzi jakieś wyzwanie, jakieś zadrwienie z jej praw i... jej dziecka!...

Wpiła teraz swe oczy w twarz Wendego.

Przedziela ich stół, założony albumami, bombonierkami, flakonami, w których giną tuberozy. Ponad bielą śmiertelnych kwiatów pała wzrok Reny. Czuje, że usta jej drgają kurczowo, że jeszcze chwila, a nerwy, które tak zmaltretowała w czasach ostatnich, odmówią jej posłuszeństwa.

Z całą siłą woli chwyta się pretekstu oddalenia się od stołu.

Właśnie Wendowa zaczyna mówić z Brzeziewiczem o stanie swego zdrowia. Rena powoli podnosi się i zmierza ku małej półrotundce oszklonej w kącie salonu. Kilka palm, olbrzymi figus zazieleniają to wnętrze.

Czuje, że za nią iść musi Wende przez dyskrecyę, należną doktorowi i chorym.

Gdy zanurza się w zieleń, on już jest

poza nią. Odwraca się bez tchu, blada, z przygryzioną wargą.

Na dole, pod niemi gra ktoś jakieś kapryśne rondo, sypiące perłami ciekawych nut. Na tle tej muzyki młodej i wesołej brzmi nizki, chrapliwy półszept Reny.

— Zabraniam się żenić!

Wende pozostaje przed nią z ustami na wpół otwartemi, zwrócony profilem do matki, zajętej całej konsultacyą Brzeziewicza.

Chce coś powiedzieć, czuje, że musi — nie wie. Ma minę głupią i dramatyczną. Oboje przeżywają w tym momencie jedną z najbardziej skomplikowanych chwil swego życia, a nie umieją jej przeżyć w odpowiednim nastroju. Wzajemnie szpecą sobie wspomnienie tego przejścia.

To jedno tylko czują, że to jest chwila, przedewszystkiem, niezapomniana.

Powoli przecież Wende zaokrąglił usta prawie uprzejmie i zapytał:

— Pani mówi?

Ona pochyliła się ku kwiatom.

Czyniła to bezwiednie, tak bardzo już wrosła w nią chińszczyzna życiowa.

— Zabraniam się żenić! — powtórzyła gładząc liście fikusa.

On bełkotał:

— Jakże to? jakże... za pozwoleniem...

Jednym skokiem była na wyżynie.

Gnębiła go z rozkoszą. Wiedziała, że ten zakaz nie ma podstawy, nie ma żadnej racyi bytu, że to nie może być spełnione. Ale czuła, w jakiej rozpaczliwej otchłani zanurzyła go w tej chwili. Kobieco tryumfowała, kobieco.

Chwilową zemstą za ciągłość cierpienia.

Wbiła w niego oczy całą siłą. Odczuwała, że płyną z jej oczów gorące prądy nienawiści i mocy. Chciała coś w tej istocie odgrzebać, co wstrząsnęłoby nim całym. Lotnie, jasno ściągnąwszy cugle swemu rozszaleniu, przebiegła chwile przedślubne. Natknęła się na konieczność spowiedzi. Sama praktykowała dziwnie, dorywczo, fantastycznie. Czasem z gorącą jakąś wiarą dewotki »po łebkach«, to znów cofając się w ateizm komiczny i niewyraźny. Lecz wiedziała, że tak zwana chińszczyzna życia upiększyła przedślubne chwile spowiedzią z całego »żywota«. To być musiało, ku znudzeniu panów młodych, niechętnie wciskających się w tajemnicze zakamarki konfesyonałów.

— Ja nie pozwalam! — mówiła dalej, a ręka jej drżąc przesuwała się po gładkiej zieleni liścia — ja nie pozwalam.

Obejrzał się trwożliwie.

— Proszę... na Boga!...

Uczuła, że i jej nie wystarczy siły. Rondo kapryśne chichotało pod jej stopami. Ode-

rwała się szybko od kwiatów i, szumiąc delikatnie, odeszła.

Właśnie Wendowa z wytwornym uśmiechem zwracała się ku niej.

— Mąż twój, Reno, jest zachwycający... nigdy nie miałam do żadnego lekarza tyle zaufania...

Zbielałemi usty Rena odparła:

— Wszystkie pacyentki to mówią.

VII.

I Rena opadła nagle, jak kwiat podcięty. Zacięła się w jakiemś milczeniu zatrutem i nieprzeniknionem. Nie mogła znaleźć nawet udanego uśmiechu, tak wielką nienawiścią przepojone było jej serce. I co najwięcej zjadało jej duszę, to było właśnie to przeświadczenie, że jest bezsilna, że, pomimo wszystko, Wende ożeni się bezwarunkowo.

Chwilami jakaś jasna smuga dobrotliwego usunięcia się, godnego jakiegoś stanięcia na boku — przesuwała się przed nią, jako możliwy punkt wyjścia z tej strasznej sytuacyi, lecz kłębiło się w niej od zadraśniętej krwawo miłości własnej.

Ponieważ kobieta musi zawsze swój stan psychiczny ułożyć tak, jak fałdy sukni, Rena przybrała tymczasowo pozę spokojnej ofiary i za taką podawała się najchętniej. Mówiła cicho, leżała przeważnie, a dziecko swe śledziła przygasłym, smutnym wzrokiem. Nie

była to przecież sztuczność, to było naturalne i wynikało w rzeczywistości z układających się tak, a nie inaczej faktów.

Miała jakby cień nawet zadowolenia, bo wiedziała i czuła teraz, w jakim szarpiącym niepokoju żyje Wende. I to, co się nazywa najpiękniejszą chwilą w życiu, to jest owo narzeczeństwo, zatrute było najdokładniej.

Brzeziewicz bardzo starannie zajął się stanem jej depresyi.

Pojawiła się więc Peptokola w dobrych dawkach, Brom leticina. Co więcej zaproponował kąpiele elektryczne, które Rena gasnącym głosem odrzuciła. Sam podawał jej lekarstwa. Brała je z wysiłkiem.

Rzeczywiście zaczynała zapadać w jakąś anemię czynów, przedtem jej nieznaną. Pielęgnowano ją starannie.

— Gdyby umrzeć!...

Brzeziewicz zmusił ją do przejażdżki rankami. Wyrywał się pacyentom i około południa przewoził żonę po ośnieżonych alejach parku. Pomiędzy nimi, jak ptaszek w gniazdku, w białej czapeczce, widniała główka Adzia.

Rena całą siłą pragnęła, aby tak ich zobaczył Wende. Ale nigdy go nie spotkali, pomimo że był w mieście i złożył bilety u nich, w czasie ich nieobecności.

Pewnego dnia, powróciwszy z przejażdżki, Rena zastała Natalkę niezmiernie ożywioną.

Dziewczyna opowiadała, że była tu panna Jaga, czekała, aż wreszcie, nie mogąc się doczekać, napisała »coś tam« na biureczku w pokoiku pani. Z miny jednak panny Płaszczanki widać było, że pismo Jagi przeczytała.

W uszach Reny zatętniało od nabiegu krwi.

Jaga pisała tylko kilka słów ołówkiem.

»Droga Renusiu!

»Jestem od wczoraj, przyjechałyśmy z mamą — ślub przyśpieszony ze względu na wyjazd wiosenny matki pana Czesława do Nervi. Co więcej, ślub odbędzie się tutaj, tylko w rodzinnem kółku. Sądzę, że zechcecie Ty i Twój mąż być wtedy z nami. Stoimy tam, gdzie zawsze, tylko na pierwszem piętrze. Mamy mnóstwo sprawunków. Zajdź do nas — proszę Cię«.

Renie papier ten jakby przyrósł do ręki. Czytała i czytała drobne, a zdecydowane pismo dobrze wychowanej panny. A więc dzieje się to mimo wszystko. Idzie swoim trybem.

Wiedziała, że jej protest bije w próżnię, a przecież, gdy tak stanęła wobec faktów postanowionych i mających się niezawodnie dokonać, pulsowała cała aż ze wzruszenia.

Pociemniało jej w oczach. Dowlokła się z trudem do sypialni i padła w futrze na łóżko. Tak zastała ją służba.

Rozebrano ją i obłożono termoforami. Od dawna atak tego rodzaju nie pojawiał się.

Gdy Brzeziewicz zjawił się na obiad, zastał żonę leżącą w ciemności i rzeczywiście chorą.

Nie znając moralnych przyczyn tego wstrząsu nerwowego, wyrzucał sobie, iż spacer trwał za długo.

Rena przytrzymywała ręce męża przy swej twarzy. Tuliła się do nich ponownie w tej rozterce, w jakiej się szarpała w tej chwili. Zdały się jej jakąś obroną przed całą wichurą, szalejącą dokoła jej duszy.

Szczebiot dziecka, dolatujący przez drzwi, wyciskał jej gorące łzy. Te łzy zwilżyły ręce Brzeziewicza. Pochylił się nad nią zwykłym swym gestem »dobrego doktora«.

— No... no... uspokój się! to nerwowe!

Blady uśmiech nieopisanej pogardy wykwitł na jej ustach Madonny.

Nerwowe!

W głąb sięgnąć, w głąb — zapytać nerwów »dlaczego?...«

Zapadła w nieruchomość kamienną.

— Ja wiem, ja jedna wiem dlaczego? — wyło w niej boleśnie.

. . . .

Następnego dnia mąż przyszedł i usiadł przy jej łóżku.

— Mam dla ciebie tysiące pocałunków, ukłonów.

Wiedziała już, że to od Jagi.

— A!...

— Panna Jaga od siebie i matki. Ślub przyśpieszony i to z mej porady. Nie chcę, aby Wendową zastał w kraju marzec. Zresztą poco długo męczyć narzeczonych. A ci muszą się rzetelnie kochać. Mają wszystkie dane na to.

Zacięła usta i milczała.

— Widziałem ich razem. Są dobrani. Jest nawet w nich pewne podobieństwo. Ale to lepiej. Ta jakaś junakierya, tylko spotęguje się w ich dzieciach.

Uśmiechnął się.

— To będą okazy wystawowe — dodał.

Rena usiadła na łóżku.

— Czy mogłabym wstać, przejść się trochę?

Ucieszył się.

— Ależ naturalnie. Na nerwy jedynie spacer, ruch, świeże powietrze. Kazać założyć?

— Nie. Pójdę piechotą.

— Doskonale.

Rena chciała iść — gdzie? nie wiedziała. Chciała tylko zostać sama, nie widzieć nic z tego, co jest jej życiem, co stanowi jej świat. Dłużej bowiem znieść nie była w stanie.

W jakiś czas wyszła na ulicę. Dwie plamy czerwieniały równo na jej policzkach.

Te kilka dni zaostrzyły linię owalu jej twarzy. Zdaleka, pomimo ciemnych plam, świeciła upiorną bladością.

Chciała iść na zwykły swój zamkowy spacer. Lecz czuła, że siły ją opuszczają.

Wlokła się wzdłuż domów. Śnieg padał leciuchno, a w jej oczach te białe płatki przybierały barwę rozpalonych iskier.

— Na nerwy jedynie ruch, powietrze... — powtarzała sobie obłędnie — a potem co? co? cóż poradzić. Są dobrani tamtych dwoje, dobrani... dzieci ich...

Uparcie, jakby przykuta na łańcuchu, myśl jej drgała ciągle myślą jej dziecka.

— A moje... a nasze?...

Potknęła się idąc o jakiś stragan. Rzuciła się w tył. Spojrzała. Chmurnie i nieprzychylnie patrzyła na nią jakaś straganiarka, kupcząca świętościami pod murami kościoła.

Cofnęła się.

— Przepraszam! — wyrzekła pokornie.

Nie wiedziała nawet, jak i kiedy skurczone jej ramiona zwróciły się w stronę drzwi kościelnych.

Nie wiedziała, co właściwie pragnęło spoczynku, czy drżące od wzruszenia jej ciało, czy duch jej, od wieków spowity kołysanką religijnego uspokojenia, pełzał teraz pod ka-

mienne łuki i w tę woń kadzidła delikatną i rzeczywiście ukojenia pełną.

Rena była kobietą w każdym calu i oto, gdy już była zanadto bezbronna, szła do kościoła, wlokąc ze sobą nędzę swą i roztargane uczucia. Zaszyła się w jakąś ławkę i patrzyła na srebro olbrzymiego krucyfiksu i świeczników, migocące w oddali.

— Chcę myśleć, tulić się...

Lecz nic. Nic nie była w stanie.

— I co? i co? Za kilka dni może, tu — on i ona staną po błogosławieństwo. I dostaną je, dostaną. Ślicznie, elegancko, dadzą im ślub. A ona co? co?

Mignęło jej, że była u niej służąca, która się odgrażała, że swemu byłemu narzeczonemu »ślub zaaresztuje«.

— Zaaresztować ślub! — myślała — a więc to można. To się jakoś zrobi...

Przypomniała sobie jednak odpowiedź kucharki:

— Głupia. Wyrzucą cię.. Nic nie poradzisz...

Jak błędna, Rena wodziła wzrokiem po stropach kościelnych. Dystyngowana, strojna w swych futrach, z boa gronostajowem koło twarzy, miała pozór rasowej damy, żyjącej w dostatku i zgodzie z Bogiem i społeczeństwem. Tymczasem, ona w nędzy swojej aż spadała ku mętom i postanowieniom dziewek służebnych.

— Wyrzucą... — mówiła kucharka.

I nagle przed rozbolałą wyobraźnią Reny stanął obraz: ona: protestująca w kościele podczas ślubu Jagi. I rzeczywiście biorą ją za ramiona i wyrzucają ją razem z dzieckiem. A dalej organy grają, ksiądz w złocistej kapie pochyla się uprzejmie nad nowożeńcami, podczas gdy ona u zamkniętych drzwi, jak prosta awanturnica, słyszy głos kucharki:

— Głupia... wyrzucą...

. . . .

Wstrząsnęła się.

Właściwie czyż teraz nie dzieje się to samo? Z tą tylko różnicą, że ona zaprotestowała jedynie przed nim.

Lecz właściwie »wyrzucono« ten protest za nawias.

On wyrzucił. Ale w tej sprawie on jest główno działającym i od niego wszystko zawisło.

Pomimo jej »zabraniam się żenić«, ślub odbędzie się, i ci dobrani ani na chwilę nie zboczyli z obranej ścieżki, wytyczonej pomarańczowymi kwiatami i wysypanej cukierkami.

Idą, trzymając się pod rękę, a na końcu ścieżki czeka na nich ołtarz, taki, jak ten, który Rena ma w tej chwili przed sobą, cały srebrny i błyskotliwy — powierzchowny...

Przez kościół, od linii budek konfesyonałów przechodzi ksiądz. Przeciętny, zwyczajny ksiądz. Zziębnięty jest i tuli się w płaszcz. Rena śledzi jego czarną sylwetkę. Sama nie wie dlaczego, ale wstaje z miejsca i zaczyna iść w kierunku księdza.

Ta ciemna postać, której kroków nie słychać, ciągnie ją za sobą. Czuje, że popełnia nietakt, ale równocześnie wypełnia jakby przepisaną sobie rolę.

Przy wejściu do zakrystyi, ksiądz, czując za sobą kogoś nerwowo śpieszącego się, odwraca się.

— Pani do mnie?

— Tak!

— Proszę!

Gestem prawie pokornym wskazuje jej drzwi nizkie, stare, obłożone kamieniem.

Rena, idzie jak automat, jak heroiny Bourgeta, »zasięga rady swego kierownika«.

Gdy znajduje się na środku zakrystyi lśniącej, wywoskowanej, hygienicznie czystej, czuje się blizką omdlenia. Ksiądz porządnie, dokumentnie zdejmował płaszcz i wieszał go przy drzwiach. Rena patrzyła na biel jego komży i intensywną barwę fioletowej stuły. Czuła, że to jasne światło, bijące z olbrzymich okien zakrystyi, kładzie jej jakby kaganiec na usta.

— Za nadto mnie widać... nie powiem mu nic.

Ksiądz zbliżył się.

— Pani zapewne chce zamówić mszę?

— Tak, właśnie.

Ksiądz rozłożył wielką księgę. Zabrał się do zapisywania.

— Na intencyę?

Milczała.

Ksiądz w tem wahaniu wyczuł jakąś tajemnicę, jakąś niepewność.

— Może do Przemienienia Pańskiego? — podsunął uprzejmie.

— Dobrze.

Położyła na brzegu stołu barwny papierek.

— Jutro o dziewiątej... czy zgoda?...

- Dobrze.

Przybierała także mimowoli ten sam głos uprzejmy, cichy, zgodny.

Ksiądz skłonił się, jakby na znak, że wszystko skończone.

Rena skłoniła się również, lecz nie odchodziła.

Zdawało się jej, że to, co uczyniła, to jest to stanięcie w świetle dziennem z tajemnicą swoją oko w oko z kimś, kto mógł i powinien był coś dla niej uczynić, było z jej strony wysiłkiem, który nie powinien pozostać bez

jakiegoś skutku. I w jednej chwili — postanowiła:

— Przepraszam... chciałam zapytać...

Ksiądz nadzwyczaj grzecznie odparł:

— Proszę! proszę!...

Uciekła z oczami, bo wzrok księdza, zimny, obojętny, odbierał jej odwagę.

— Jest tego rodzaju sytuacya... — zaczęła pewnym siebie głosem. — Dwoje ludzi zbłądziło.

Ksiądz chrząknął i przechylił głowę na lewe ramię.

— Co dalej?

— Rezultatem — dziecko. Obecnie mężczyzna chce się żenić. Wszak prawda... nie może.

Ksiądz odparł łagodnie:

— Sumienie mu powinno zabronić.

— Oh!... Sądzę, że raczej jakaś moc, jakieś prawo.

Czekała na odpowiedź księdza. Ten milczał...

Natarła więc.

— Czy kobieta nie ma prawa zażądać odmówienia ślubu?

— Prawnie, o ile ma jakiś dokument, stwierdzający, że oblubieniec przyrzekł jej małżeństwo, może żądać odszkodowania...

Rena, z wypiekami na twarzy, przysunęła się bliżej.

— Nie, nie. Proszę mnie zrozumieć. Tu nie chodzi o proces. To są rzeczy niemożebne. Znajoma moja nie mogłaby. Ale przecież Kościół, Kościół powinien...

— ?...

— Skoro jest w rocie przysięgi ślubnej: »czy nie przysięgałeś komu wiary małżeńskiej?«, więc...

— Nie rozumiem.

— Więc jeśli jest dziecko...

— Przepraszam. Nie było sakramentu małżeństwa...

— Ale jest sakrament macierzyństwa.

Po twarzy księdza bladej i jednobarwnej przesunęły się nagle płomienie.

— To był występek... i tego Kościół otaczać swą opieką nie może.

— Niemniej był czyn, był fakt. Dziecko żyje i ojciec jego...

Ksiądz wyciągnął pojednawczo rękę.

— Za pozwoleniem. Można jednak wpłynąć, aby ten człowiek zaślubił matkę dziecka.

Rena wstrząsnęła się cała.

— To niepodobne.

— Dlaczego?

— Jedno z nich nie jest wolne.

— Właśnie mówi mi pani, iż ów mężczyzna ma przystąpić do sakramentu małżeństwa.

— To ona nie jest wolna...

— Ach!

Rena uczuła, jak z pod opuszczonych powiek wzrok księdza jakby mimowoli obiegł całą jej postać. Wyprostowała się, bo ogarnął ją paniczny lęk.

Oto dobrowolnie ktoś trzeci znalazł się w tej tajemnicy ich dwojga.

— Chodzi tu... o moją służącą! — wyrzekła twardym głosem.

Ksiądz zrobił gest dyskretnej obojętności.

— Więc co ma czynić ta kobieta?

Ksiądz podniósł głowę. Brwi ściągnięte znamionowały jakąś surowość, nagle w nim rozkwitłą. Uczuł jakby pogardę do tej cudzołożnej żony, w dodatku kłamiącej przed nim, sługą Bożym.

Rena ponowiła swe pytanie.

— Co ma robić ta kobieta?

— Pokutować! — odparł ksiądz, waląc tem słowem, jak młotem, w taflę jej życia.

Rena oparła się o stół, na którym stały świeżo wyczyszczone rzędy srebrnych ampułek.

Całe snopy zimowego słońca biły w naczyńka, wywołując w nich migotanie promienne gwiazd.

— Tak... — wyrzekła wreszcie z gory-

czą — ona ma pokutować, dalej, ciągle... a on?

— To sprawa jego sumienia.

— Ależ on się żeni, będzie żył szczęśliwy, spokojny, będzie miał dzieci... własne dzieci... Jakaż więc jest sprawiedliwość?

Drżała cała.

Czuła, że lata całe goryczy dławią ją i biją skamieniałą falą na zewnątrz.

Lecz ksiądz spokojnym gestem nakazał jej milczenie.

— Nie roztrząsajmy tego, co jest jego udziałem. I jego szczęście będzie niezupełne...

— Jego? Ależ on teraz jest już szczęśliwy.

— Tem gorzej pokutować będzie.

Szyderczy śmiech przesunął się po jej wargach i skonał nagle, powtórzony echem zakrystyjnych odgłosów.

— Chodzi o to głównie — podjęła — ażeby w czasie przedślubnej spowiedzi, gdy ten człowiek wyzna całą prawdę, spowiednik zabronił mu żenić się i...

— Za pozwoleniem! — przerwał ksiądz — To jest niemożliwe. Wobec występnej sytuacyi jedyny punkt wyjścia dla niego jest właśnie przystąpienie do sakramentu małżeństwa. Należy przerwać grzeszny związek, w którym ten człowiek tonie. Rozpusta, łącząca tych dwoje ludzi, ściągnie tylko...

Rena teraz z kolei przerwała wyniośle:

— Żadna rozpusta ich nie łączy. Oddawna przestali być dla siebie kochankami.

Ksiądz ze zdziwieniem spojrzał na nią.

— A więc?

— ?...

— O co właściwie tej kobiecie chodzi?

Pytanie to padło w próżnię.

Rena nie odpowiedziała.

Jakże miała sformułować to, co było jej chęcią kobiecą: położenia swych stalowych gryfów na dawno im obojętnej istocie?

Czuła, że to, w słowa ubrane i rzucone w tę ciszę nabożną, zabrzmi fałszywie i nie będzie pojęte.

Taka cienkość uczucia może tylko brzęczeć najsubtelniejszą struną w samej głębi duszy.

A ksiądz ten nie znał psychologii kobiecej.

On tylko wiedział z kobiet to, co one mu same mówiły o sobie, a raczej, co chciały powiedzieć.

I w jednej chwili Rena zebrała dokoła siebie rozsypane wdzięczne fałdy swej długiej miękkiej sukni.

— Zatem jutro o dziesiątej? — wyrzekła zimnym uprzejmym głosem »mondaine'y«, wskazując wzrokiem na leżący barwny papierek.

— Tak jest, przed Matką Boską dobrej rady...

Skłonili się sobie wzajemnie, i wysokie obcasiki Reny zastukały delikatnie o lustrzaną podłogę zakrystyi.

VIII.

Wyszedłszy z kościoła, Rena szła, jak automat, mając ciągle w uszach tępy, obojętny głos księdza:

— Więc o co tej kobiecie chodzi?...

Rzeczywiście. To narzucanie się wraz z dzieckiem poniżało ją do roli jakiejś Maryanny Płaszczówny, jakiejś istoty bez godności i poczucia własnej istoty.

Jakby u krat jakich, któremi oddzielił się od niej, uczepiona, szarpała się i wyła w próżnię, a mimo niej orszak ślubny gotował się, niczem nie wstrząśnięty w raz powziętem postanowieniu.

I tu właśnie, gdzie myślała, że znajdzie podporę — to jest w kościele — spotkała się z nieubłaganą obojętnością na jej cierpienie, a nawet z pewną forsą oderwania mężczyzny od dawnej kochanki i sprowadzenia go na »prawą« drogę pobłogosławionego związku.

— Wobec niego, wobec nich jestem grze-

chem, błotem, występkiem. Uciec ode mnie za jakąbądź cenę. Ode mnie, od mego dziecka... Jak w średnich wiekach, my dwoje, ja i ono, nosimy na sobie tę piekielną literę. A, to Adultère (cudzołóstwa), któremi piętnowano cudzołożne żony i spłodzone ze związków takich dziecko. Do Kościoła... dla niego obecnie jestem tą »A« purpurową i wyklętą...

Porwało ją rozrzewnienie jakieś nagłe i zupełnie niespodziewane, tak jak to bywa u ludzi nerwowych.

Może dziwnie piękny dzień zimowy, rozpachniony jakby wiosną, słońce jakby przefiltrowane przez olbrzymi brylant, siejący tęczowe blaski, podziałały na nią w tym kierunku.

Być także może, iż to szarpanie się jej, gniewliwe i mściwe, wyczerpało ją.

Gdyby mogła, upadłaby na kolana wśród tłumu i zaczęła wołać wielkim głosem:

— Przebaczcie!...

Zdało się jej, że tę ciszę spokojną, panującą w kościele, wyniosła mimowolnie obecnie w głębi serca. Jakby się jakiś drapieżny ptak układał w niej do snu. Jakieś inne pole błękitnawe, delikatne, mgliste, rozpościerało się przed nią. Ta rola nowa, mniej wyczerpująca, przedstawiała się jej bardziej powabnie.

Egzaltowana, rzuciła się teraz z całym im-

petem w tę rozwianą dobroć, jaka się jej nasuwać przed oczy zaczęła.

— Przebaczę!... — postanowiła — czując jednak dobrze, iż nikt tam nie dbał właściwie o to przebaczenie, ani się o nie nie dobijał.

Jak z gałązką oliwną, weszła na wschody hotelu, w którym mieszkały panie Okęckie.

— Tak postąpię... — myślała.

W duszy jednak równolegle z owem uspokojeniem i dążnością do odzyskania godności cieszyło się w niej to, że dobrocią swoją i rezygnacyą przebija więcej Wendego, niż poprzednim gniewem i nienawiścią.

— Bylebym ich tylko zastała.

Byli wszyscy zgromadzeni w dużym salonie, który Okęcka z racyi niezwykle uroczystych chwil zajmowała.

Cały salon był na razie zarzucony tysiącem drobiazgów, stanowiących tak zwaną »wyprawę«. Wszystko to było poustawiane i poukładane grzecznie, niemniej przecież robiło wrażenie owego przedślubnego wirwaru, w którym z taką rozkoszą pławią się panny młode, a jeszcze rozkoszniej matki panien młodych.

Rena szybko, elegancko, prawie po komedyancku wtargnęła do pokoju.

Od progu zawołała z serdecznością niemal w głosie:

— Jak się miewacie?

Wzrok jej odrazu padł na Wendego, który przechodził właśnie przez pokój.

Z radością skonstatowała, że miał kinematograficzny ruch śmieszny, a jego zastraszona mina na jej widok i podniesiona w powietrzu ręka z pudełkiem zapałek, dodała jej bodźca do »galgenhumoru«, przepełniającego jej piersi.

Od okna, przy którem siedząc paliła papierosy, podniosła się Okęcka.

— Witam cię, Reno!

Jaga zaróżowiona podbiegła niezgrabnie, potykając się o krzesła, jak ktoś, przyzwyczajony do szerokich przestrzeni.

— Renusiu!

»Renusia« zauważyła natychmiast, że Jaga ma jakieś nieestetyczne wyrzuty naokoło brody. Rzuciła przelotne wejrzenie w lustro i powinszowała sobie, iż tak starannie się upudrowała, wychodząc z domu.

Miała cerę porcelanowej lalki. Usiadła z wielką swobodą, rozparła się szykownie, ujęła w ręce łańcuszek, obciążony masą breloków i wysunęła nogę, prześlicznie obutą. Natychmiast poczuła się na dominującem stanowisku.

Wende przysiadł niezdarnie na brzegu krzesła i miętosił ręce. Był niepewny i patrzył z ukosa.

Rena natychmiast zwróciła się ku niemu:

— Znaleźliśmy bilety pana, wracając kiedyś do domu. Bardzo, bardzo żałowaliśmy, że pan nas nie zastał w domu — mówiła z uśmiechem — a najwięcej żałował ktoś, kogo pan jeszcze nie zna, a kogo chciałam panu przedstawić!...

— ?...

— Ależ Adzio, pycha i duma mego męża.

Wende, zdawało się, iż jeszcze bardziej się skurczył.

— Pan nie zna Adzia? — zdziwiła się Jaga.

— Nie... to jest... — bełkotał Wende.

— Skądże pan znać może Adzia? Wszakże pan Czesław był u nas po raz pierwszy przed kilku dniami.

— Ach tak!...

I Jaga uczuła się w obowiązku zachwycania dzieckiem Brzeziewiczów.

— Jest mądry, śliczny, milutki...

— Słowem, cały ojciec! — uznała Rena.

Lecz struna była odrazu zanadto silnie napięta.

Rena czuła, iż długo nie będzie w stanie poprowadzić tego tonu. Zwróciła się do Okęckiej, która otaczała się w dalszym ciągu delikatną mgłą »cygaretek«.

Pogrążono się w odmęt sprawunków, stanowiących wyprawę.

Rena z wiełką gorliwością zaczęła dawać wskazówki, krytykować, wskazywać źródła.

Jaga ukradkiem wyciągała z pudełek jakieś strojne gałganki i prezentowała je.

Rena zauważyła, iż cera Jagi bardzo się zepsuła. Z perfidyą piękności bez zarzutu podniosła głośno ten niedostatek oblubienicy. Panna stanęła poczciwie w płomieniach.

Rena ubolewała i doradzała jakieś smarowidła, ofiarowała nawet wiedzę swego męża.

— Jednej damie pomogły elektryzacye...

Ciocia Okęcka krzyknęła:

— Co znowu! Wystarczy kwaśne mleko, migdały.

Jaga była, jak na torturach. Szczęściem zaobserwowała, że Wende nie patrzył na nią, ale siedział ze wzrokiem, utkwionym w deseń firanek.

Rozmowa stawała się coraz głupszą i banalniejszą. Wreszcie Rena nagle poczuła się do dna wyczerpaną.

Umilkła, pijąc szybko herbatę, którą nalała jej Jaga z wieczyście gorącego samowara, ustawionego na marmurze komody.

Wende nie odezwał się zupełnie, i zdawać się mogło, że życie w nim zupełnie zamarło.

— Pójdę... nie wytrzymam dłużej — myślała Rena.

Powstała.

Instynktem wiedzione te panie nie zatrzymywały gościa.

— Czy masz konie? — zapytała Okęcka.

— Nie, pojadę dorożką! — odparła Rena.

— Pan Czesław cię odprowadzi.

— Och! nie... to zbyteczne.

— Proszę cię, pozwól...

Wende rzucił się pośpiesznie do kapelusza.

— Będziemy u was jutro, pojutrze...

— Czekamy...

Pożegnały się bardzo serdecznie i demonstracyjnie.

Te uściski wymienione znów podnieciły Renę i wpędziły ją w rolę, którą ostatecznie przybrała.

Wyszedłszy na schody, czuła, że Wende drepcze obok niej, a właściwie poza nią.

Opuściła fałdy sukni, która wlokła się po schodach. Naturalnie przydeptał te fałdy.

Przeraził się tak, jakby pchnął ją sztyletem.

Dojrzała to w lustrze, zawieszonem na wązkiem przejściu schodów.

— Przepraszam! — wyjąkał.

Stanęła i zwróciła się ku niemu. W świetle niepewnem, bijącem z góry ze spuszczonych szyb, twarz jego majaczyła przed nią, jak duża maska japońska o oczach przestraszonych, domagających się litości.

Patrzyła na niego chwilę z pod przysłoniętych powiek.

Widziała, iż powierzchownie jest tylko tak bezsilny i zdany na jej łaskę, a przecież, iż to on uczyni, co zechce, mimo jej woli i rozkazu.

Duma w niej zagrała tem silniejsza, że w ostatnich czasach zdławiona.

— Pozwalam panu się żenić! — wyrzekła niespodzianie.

Coś wyjąkał i uchylił niezdarnie kapelusza.

— No... tak... pozwalam panu się żenić!..

Odeszła szybko, zebrawszy fałdy sukni.

Chciał iść za nią, lecz pozostał na miejscu, patrząc tylko z niepewną jakąś miną, jak, dzwoniąc brelokami, zmieszała się z tłumem obojętnych dla niego kobiet.

IX.

Przez szyby niewielkiego jadalnego pokoju biło wprost jakieś ostre, okrutne prawie światło dzienne. Niewielkie grono weselne otaczało stół, przy którym kończono to śniadanie pośpiesznie, z pewnem zażenowaniem nieprzyjemnem, towarzyszącem zwykle szpetnym obrzędom, wiążącym nierozerwalnie dwa osobniki, usposobione najczęściej rozpaczliwie lub podniecająco. Rena, zwyczajem swoim odsunięta trochę od stołu, z pod opuszczonych powiek tępo śledziła to, co się dokoła niej działo.

Od samego rana zdawało się jej, że ten dzień, który był w jej wyobraźni jakby oddalony, nie nadejdzie nigdy. Raz jeden przybrawszy ową pozę ironicznej wyższości, utrzymywała się na niej ze zręcznością akrobaty. Co więcej, czuła, że, przestając razem z narzeczonymi, znajduje w sobie siłę i energię do zachowania pozorów istoty, którą »nic

nie obchodzi«. Stała się więc nagle tą dobrą, miłą, poczciwą kuzynką, usłużną i kochaną.

Dopomagała paniom w załatwianiu wyprawowych sprawunków i gust swój pewny i wyrobiony oddała im na usługi.

Często potykała się o obecność Wendego, lecz zbywała ją żartami, poniewierając, jakby swem uczuciem wytworniejszem, któreby w tej chwili ocknąć się w niej mogło. Jakby przebiegła galopem tę przestrzeń swego życia, nie oglądając się poza siebie. Jedno tylko miała postanowienie prawie dzikie, które jej skurczem szczęki zaciskało.

Oto ukrycie Adka, ukrycie przed Wendem, tak aby nigdy już go nie zobaczył. Tak jak dawniej sama prowadziła dziecko do kolan »ojca«, tak obecnie to słowo »nigdy«, piekącemi głoskami wyryło się w jej sercu.

Gdy Wende pojawił się z wizytą u Brzeziewiczów razem z matką i narzeczoną, Rena pobiegła do pokoju dziecinnego i zamknęła drzwi na klucz. Mały spał przed obiadem, i Jaga domagać się natychmiast zaczęła, aby ją do Adzia wpuszczono. Rena z gorączkowymi wypiekami oświadczyła, że dziecko jest poza domem, na spacerze, a głos jej brzmiał fatalnie, ostro i oczy wbijały się mimowoli w twarz Wendego. I natychmiast, jakby zaprzeczenie, dał się słyszeć kapryśny płacz

Adzia, który się zbudził i wołał Nataliszona. Mimowoli zapanowało dziwne, przytłaczające milczenie. Wszyscy w tej chwili odczuli jakieś kłamstwo, coś bolesnego, ukrytego w przestrzeni. I nikt więcej nie domagał się ukazania się tego dziecka, które z poza fałd portyer przez ściany dawało znać o sobie, że jest, że istnieje i istnieć ma niezaprzeczone prawo.

I tylko Wende opuścił głowę, aby nie czuć w swych oczach promieni wzroku Reny.

Tak.

To była jedna chwila, w której Rena podniosła krzyk buntu. Jedyna Poza tem była ciągle uśmiechnięta i to słodko uśmiechnięta.

Tak doszła aż do dnia ślubu. Milcząc, ubrała się w kostyum angielski, arcydzieło kroju i barwy »bleue nattier«, bezpretensyonalny, podniesiony tylko delikatnym żabotem cudownej, trochę nadwiędłej koronki. Bardzo »correcte« bardzo wyniosła, zacięta i prawie wystygła, asystowała całemu obrzędowi ślubnemu, który odbywał się bez żadnego ciepła. Unikała podania ręki Wendemu, gdy po ślubie składano »młodej parze« życzenia. Uplanowała poprzednio, iż powie mu cicho »w mojem i dziecka imieniu«, lecz nagle, gdy już po tej śmiesznej ceremonii ślubnej znaleźli się w mieszkaniu, uczuła się jakąś wyższą ponad tę parę, stojącą obok siebie w swych

strojach i minach głupich, a bez żadnego tonu, że odsunęła się i tylko patrzyła prawie spokojnie, czując, że Wendego wzrok ten zimny, lodowaty miesza i każe mu ciągle spodziewać się, że może go coś spotkać jeszcze.

Przy stole zajęła Rena miejsce tak, że w ukośnym promieniu widziała ciągle »trois quart« twarzy Czesława na tle welonów Jagi. Był coraz więcej niepewny na tej wystawie, na tym szafocie uczty ślubnej, tak samo jak śmieszną była Jaga, której lekki, powiewny strój oblubienicy był zupełnie nie do twarzy. Wprawdzie całe towarzystwo nie miało bynajmniej owego nieprzyzwoicie rozrzewnionego nastroju, jaki cechuje »wesela« burżoazyi.

Wszyscy byli bardzo codzienni i bardzo obojętni. Lecz tym dwojgu, którzy poprostu nie mogli zdać sobie sprawy z tego, co się z nimi działo, właściwie zdawało się, iż są w jakiejś nieprzyjemnej sytuacyi wyjątkowej, i to nadawało im ten wyraz śmieszny i graniczący z głupotą. Obie matki, zajmujące miejsca obok nowożeńców, były zwyczajnie suche i ostre, z domieszką świątecznej słodyczy.

Inni goście — przeważnie »rodzina«, daleka, i to złożona z kobiet. Jakieś dwie czy trzy mężatki, dwie wdowy, panna o naiwnym uśmieszku i kilku z pańska wyglądających

rosłych, starszych mężczyzn. Przeważała ilość wdów, tak jak najczęściej na Podolu i Wołyniu, gdzie kobiety pozostają dłużej przy życiu, niż mężczyźni.

Koło Reny siedział jakiś pod-hrabia, a raczej pół-hrabia, jeden z tych, którzy mają kaplicę na Wawelu i są bardzo wskutek tego melancholijni i wyniośli. Prześlicznie ułożony, słynął jako beau parleur, delikatny urodą i obejściem, miał w repertoarze kilka ładnych »wyjść« i nie omieszkał nigdy zabłysnąć niemi przy zdarzonej okazyi.

Właśnie wydobył jeden »kawałek« swego repertoaru, rozszumienie się wiosny na Ukrainie, z wyliczeniem mnóstwa kwiatów, zalegających stepy.

Posypały się z bladych, lecz ślicznie wykrojonych ust fijołki, clematisy, wijące się po ziemi, liliowe gloksynie płomienne, campanulle delikatne, błękitne i śnieżne, dzikie chryzantemy, jaskry złociste, smółki, anemony, jasieńce, krokusy, przylaszczki niebieskie, irysy ciemne i mieszane. Wiosenne cuda stepów uprzejmie i elegancko w mowie wykwintnego hrabiego rozjaśniać się zdawały trochę ten stół, urzędowo ubrany, nicejską przywiędłością róż upinanych bukiecikami fijołków. Lecz czuć było i w tem sztukę, wiele razy wypróbowaną, zachwyt, podawany na zimno, aktora pewnego siebie, występującego z grzeczności,

dla pochylającej się ku niemu w takt twarzy obu matek, wdzięcznych za to ładne zabranie głosu, na co zresztą wszyscy z góry byli przygotowani. Słuchali go wszyscy z pewną atencyą i pobłażliwością. Kilku mężczyzn starało się doskonale pokryć nudę, która ich ogarniała.

Głównie jednak Brzeziewicz wsłuchiwał się w słowa hrabiego. Z całą kurtoazyą wydłużył swą angielską sylwetkę w stronę mówiącego.

Wzrok Reny prześlizgnął się po mężu obojętnie i utkwił w postaci jednej z pań, siedzącej obok Brzeziewicza. Był to typ »europejski« w całem słowa tego znaczeniu. Wiecznie podróżująca, znająca każdy kamień, każdy krzak róży po drodze z Nicei do Monte-Carlo, o kolorze włosów niezdecydowanym, rysach, które utrwalić się nie mogły, długiej cienkiej sylwetce Bourgetowskiej figurki patrzyła na hrabiego z banalnym uśmiechem kobiety, związanej z towarzystwem, w którem się znalazła dnem wychowania, urodzenia i rozwinięcia pojęć. Lecz czuć w niej było ptaka, przelotnego wypadkowo, spadłego do rodzinnego kraju, ot, tak w przejeździe.

Nazywała się Marya Wronowska. W kraju była »jaśnie«, już od Krakowa była »hrabiną«. Miała męża dyskretnego i siedzącego na wsi, na Podolu, a borykającego się ciężko

z żywiołami. Ona nabrała ładnej ogłady i łatwości w mowie i sposobie bycia. Była »dekoracyjna« i wyróżniała się wśród otoczenia. Ładnie dzwoniła brelokami i śmiechem, który wiedziała jak i kiedy rzucić w ciszę należy. Koło tej kobiety kręciła się atmosfera przygód miłosnych, lecz nikt o nich nie wiedział i wiedzieć nie pragnął.

Rena patrzyła na nią chwilkę i zaczęła zazdrościć jej tej swobody, tego osamotnienia, w jakiem wesoło pędziła czas, aż po brzegi delikatna i nie zdająca sprawy nikomu ze swych postępków i myśli.

— Gdybym i ja mogła tak uciec sama — myślala Rena — gdybym mogła...

Wzrok jej ślizgał się dalej po obrazie wzdłuż stołu. Zatrzymał się na jakiejś ręce o trochę krótkich, tępych palcach. Świeciła na niej szeroka obrączka i pierścionek staroświecki z szafirem. Rena poznała rękę Wendego. Nie podniosła oczów. »Wstrętne!« — myślała — »wstrętne! obrzydliwi, ohydni...«

Przejął ją wstręt fizyczny do Wendego i Jagi. Starała się utrzymać w tym nastroju. »Tak będzie najlepiej« postanowiła »i najsłuszniej...«

Hrabia skończył swoje opowiadanie i zarazem skończyło się śniadanie. Bez toastów, bez mów, i w tem przynajmniej utrzymał się pewien ton sympatyczny i piękny. Lecz chłód

wzrastał i to coś, cechujące wszystkie poranne, czy południowe biesiady, odbywające się w blasku sztucznego światła, przynoszącego jakby ze sobą atmosferę milszą i przytulniejszą.

Rena przeszła do salonu razem z paniami. Jaga w progu zatrzymała ją. Widoczne było, iż ta jedna jest szczęśliwa bez zastrzeżeń. Czerwona była, i oczy jej błyszczały. Ujęła Renę pod ramię. Dotknięcie rozpalonej ręki dziewczyny wstrząsnęło Renę. Nie znalazła dobrego słowa i nie siliła się na nie. Przeciwnie, jakaś trywialna chęć »dokuczenia« przesuwała się jej przez umysł.

— »Idź« — wyrzekła do panny młodej — »opamiętaj się. Nos ci się zaczerwienił...«

Rozanielona dziewica w bielach cofnęła się i znikła za portyerą. Rena ujrzała grupę panów, w której stał Wende. Już go nie odróżniała, tak bardzo ci wszyscy byli do siebie podobni wzrostem, ruchami, sposobem trochę niemodnego, a przecież wielkopańskiego ubrania.

Zadzwoniły breloki. Marya Wronowska przechodziła z filiżaneczką czarnej kawy w ręku. Rena doznała jakby pędu, aby zbliżyć się do tej »podróżującej«, ale cofnęła się. Dziś nie wymówiła prawie kilkudziesięciu słów. Tego się bała najwięcej. Odezwania się. Posłyszenia swego głosu. Uzewnętrzniania się. Pod warunkiem zamknięcia się w milczeniu,

mogła utrzymać się w tem usposobieniu, w jakiem była.

Zasunęła się w rotundkę oszkloną, w której zieleniały palmy. Usiadła na małem słomianem krzesełku. Wiosenne słońce biło przez szyby i padało ukośnymi promieniami na jej kolana. Śledziła przez chwilę prześliczny ton, jakie oświetlenie to wywołało na barwie jej sukni. I nagle przypomniała sobie, że niedawno tu, wśród tych palm – powiedziała do Czesława: »nie pozwalam się żenić...« Dziś jest na jego ślubie. Jakże głupią, śmieszną gra rolę. Jakże podrzędną, nie liczącą się!...

Ogarniać ją zaczęło rozpaczliwe jakieś wzruszenie, czego nie zaznała nawet od rana, nawet w kościele. Przyczyniało się do tego prawdopodobnie zmierzanie się jej poprzednie z całym tłumem działających, które ją oszałamiało i nie dozwalało zastanowić się nad tem, jaką ona gra w tej sprawie rolę. Obecnie odsunęła się i patrzy na nich z daleka. Ocenić może, co się dzieje z nimi i co się z nią dzieje.

I z przestrachem czuje ucisk w sercu, co więcej, palenie pod powiekami...

Szczęściem do rotundy wsuwają się dwie damy. Ich rozmowa mimowoli sprawia zamieszanie w natężeniu jej myśli.

Rena nie podnosi opuszczonych powiek, lecz po barwie brzegów zezkiem widzi, że to

jest Marya Wronowska i Eda Lignicka, druga daleka jej kuzynka. Krągła, obsypana piegami, rodząca co rok dzieci, żona dość hałaśliwego męża, obnoszącego butnie swoje gospodarskie zdolności, przesuwa się przez życie z westchnieniem i rezygnacyą. Mówi się o niej: »Ta poczciwa Eda« i nie bierze się wzoru z jej poczciwości, ani z jej sukien. Uchodzi, nie wiadomo z jakich przyczyn, za istotę grubo zmysłową, i każde dziecko bywa przyjęte w rodzinie z pobłażliwym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Sama Rena sądzi Edę trochę wzgardliwie i myśli, że mogłaby zaprzestać dowodzić mężowi tak krzycząco swej miłości. Przytem Renę razi nieestetyczna zmiana linii, którą wiedzie za sobą ten »genre« życia.

Słowem, Eda Lignicka nie zajmuje wybitnego miejsca w okręgu rodziny Reny. Marya Wronowska kończy właśnie jakąś rozmowę z Edą, rozmowę mało ożywioną i widocznie mającą na celu maryaż Jagi i osoby nowożeńców. Śmieje się przytem leciuchno, a po liściach palm śmiech ten przesuwa się, jak po harfie.

Rena mimowoli ulega czarowi.

Słucha.

— A ja ci mówię, że to do rzeczy nic nie ma! — odpowiada jej Eda matowym głosem.

— Ach! nie potrzebujesz mnie zapewniać... wiem o tem doskonale... Bo zamurowanie działa zabijająco! I dlatego raczej dziwna rzecz, że ty, która kochasz się w mężu, masz tyle dzieci!

Westchnienie. Milczenie. A potem głos zrezygnowany Edy:

— Moja droga, gdybym was nie wiem jak zapewniała, zawsze będziecie mnie posądzać fałszywie. Dla mnie to wszystko mogłoby nie istnieć. I gdyby to ode mnie zależało...

Wronowska jej przerwała;

— Nie usprawiedliwiaj się przedemną. Ja żartuję. Trochę jestem z tem obznajomiona. Będąc w Paryżu, ot tak przez ekscentryczność, zachodziłam na medycynę. Brano mnie za studentkę. Bawiło mnie to. Potem zajęło. Studenci dawali mi gałązki bzu, które rwali dla mnie na podwórzu szpitalnem, a profesorowie uśmiechali się leciuchno.

Później zajął mnie sam przedmiot. Wiem, że kobieta nic nie wie i jest czemś asystującem zupełnie biernie sprawom macierzyństwa. I... to jest mocno głupie i upokarzające, że my nie możemy wybrać sobie ojca dla dziecka.

Urwała, zadzwoniła brelokami, roześmiała się i wyszczebiotała dalej:

— »Et voila«, dlaczego nigdy nie byłabym niewierną memu mężowi. Musiałabym być

powolną dwustronnie, a gdybym została matką, nie wiedziałabym, kto jest ojcem mego dziecka. I to znajduję, byłoby »très malpropre« i w dodatku nadzwyczaj fatalne. Ja lubię »les situations nettes«. A tak całe życie mieć obok siebie jakąś istotę zagadkową — »ah! non — merci...«

Ściszone głosy tych pań, tak jak zwykle kobiet, które mówią o tematach cokolwiek drastycznych, dolatywały jednak uszów Reny z przerażającą dokładnością.

— I ja tak myślę... — apatycznie dorzuciła Eda. — To byłoby straszne. Możnaby oszaleć!

W tej chwili zabieliło się, zaszumiało w salonie. Weszła Jaga; uwaga tych pań odwróciła się od tematu niepewności macierzyństwa. Zaczęły mówić o innych sprawach, odnoszących się do młodego małżeństwa. Wreszcie powstały i wyszły z rotundy.

Pod palmami pozostała Rena nieruchoma, jakby zmartwiała, przerażona, z oczyma szeroko rozwartemi, wpatrzona w jakiś świat niepewny, który nagle brutalnie przed nią rozwarto.

X.

W narzuconym nagle szlafroku, uczesana jeszcze wykwintnie, Rena przy oknie oczekuje powrotu Adzia do domu. Gorączka ją trawi. Uszy jej płoną purpurą na tle jedwabistych włosów, ruchy niepewne, ręce drgają koło szyi, koło twarzy. Taką ją przywiózł do domu Brzeziewicz po śniadaniu weselnem Wendego. Przypisywał to podniecenie nerwowe zacieśnionemu zgromadzeniu kilkunastu osób.

— Zażyj bromu, prześpij się!...

— Tak! tak!... dziękuję... potrzeba zostać samą.

Wbiegła do siebie. Prosto zmierzyła do pokoju dziecka. Lecz nie zastała go w domu. Zjadł obiad sam, i zaprowadzono go do znajomych dzieci, gdzie była imieninowa zabawa. Rena chwilę postała w pustym pokoju, oddychając ciężko. Przesunęła kilkakrotnie rękami po przedmiotach, otaczających syna. Ciągle miała wyraz twarzy zbłąkany, ten sam, z ja-

kim wysunęła się z rotundy, tam, w pomieszkaniu Wendów, po wysłuchaniu rozmowy Maryi Wronowskiej i Edy Lignickiej.

Z tym samym wyrazem, napozór dość poprawnie, pożegnała się ze wszystkimi i uściskała Jagę. Sposób, w jaki podała rękę Wendemu, był dziwny, spłoszony, niepewny i jakby pełen ciężkiego wstydu. Gdy znalazła się z mężem w karecie, powieki jej zamknęły się w tej chwili, a ona cała skurczyła się i zamknęła w sobie — jakby dla jakiegoś obrachunku, zastanowienia się. Lecz natychmiast wyprostowała się, niby podcięta biczem, i oczy jej zaczęły niespokojną wędrówkę po ścianach karety. Jakkolwiek Brzeziewicz tonął cały w zadowoleniu, jakie ogarniało go zawsze wtedy, gdy spędził czas jakiś w otoczeniu »ziemian«, i dawał wyraz temu zadowoleniu dość egoistycznie, to przecież podniecenie żony wywarło na nim wrażenie.

— Co ci? — zapytał dość troskliwie.

— Nic, nic...

Uznał za stosowne rzucić:

— To nerwowe.

Porwała ją chęć pchnąć go z krzykiem, który dławił ją poprostu w gardle. Przygryzła ręce. Powstrzymała się.

Teraz w szlafroku, ledwo zarzuconym, rozpiętym na ciemnych jedwabiach halki i deli-

katnych batystach koszuli, w pokoju dziecinnym stoi nieruchomo, wodząc tylko oczami po drobiazgach, przywodzących na pamięć obecność Adzia.

— »Więc czyj?« — w głębi jej wyje jakiś głos — »powiedz ty... ty... czyj!«

I błaga sama litości.

— Spokoju tylko... — wmyśla się w siebie — spokoju... To być nie może. Tyle lat wierzenia obalone nagle, i to przez jakieś słowa, rzucone ze śmiechem przez gałęzie palm...

— »Więc czyj?« — zawyło znów w niej na samem dnie, tam, dokąd zachodzi człowiek tylko w wyjątkowych chwilach rozpasanej szczerości.

— Czyj? Wendego!... przecież...

Porwała się z miejsca. Wymówiła te słowa prawie głośno. Uciekła do okna. Przywarła czołem do szyby. Poza nią odzywały się delikatnie dzwonki pacyentów, schodzących się na poobiednią konsultacyę.

»Powiedziały...« — szło za nią — »powiedziały, że kobieta biernie poddawać się musi faktowi i asystować tylko tajemnicy, która w niej zachodzi... Tajemnicy, jeżeli tych dwóch...«

Skurczyła się cała.

— Jezus!... — krzyknęła.

Miała wrażenie, że wali się na nią cała

góra cuchnącego błota. Dopiero teraz zrozumiała podłość współczesnego pożycia z mężem i kochankiem.

Tragiczność ogarnęła ją straszna i niezwalczona, tragiczność, przeciw której iść nie mogła. Wampir wkradał się ku niej, pełzał i wyciągał swe szpony.

»Istota zagadkowa«.

Adzio? — Zagadkowa, tak... może kiedyś dla Brzeziewicza, gdyby się o wszystkiem dowiedział... ale dla niej? nie! — Dla niej on był pewien...

Do tej chwili!

I znów wybiegł na jej usta jakby skowyt.

— Jezus!...

Skręciło się w niej wszystko. Nie wiedziała nic, jak, co, dlaczego, na czem naukowo opierały się słowa Maryi Wronowskiej, lecz czuła, że tam była prawda. Gdy kobieta należała do męża i kochanka, nie można wiedzieć...

Rena jeszcze ponad przestrach i grozę odczuła straszne upokorzenie w tej części potęgi twórczej, jaka jej była przez naturę wyznaczona. Jakto? więc narzędziem była tylko? cudownie skonstruowanem narzędziem? Ona nic ze siebie, ze swej woli dać nie mogła, nie wolno jej było.

. . . .

A jednak to przeczucie, ten instynkt, który kazał jej w Adziu od pierwszej chwili widzieć syna Wendego. Czyż był niczem? niczem? To podobno jakiś cudowny głos, z nieznanych warstw ludzkiej istoty.

Lecz »przeczucia...« to dobre i podstawowe dla kobiet prostych, bez żadnej afinady. One się niemi kierują. Rena kierowała się »przeczuciami« Tatyany i od niej wychwytała swe urobienia życiowe w sprawach kwestyi, tak zwanych drażliwych. Dziś jakby kto rozbił w puch jakiś kryształowy dom, w którym mieszkała. Czepia się wszakże tych podruzgotanych skorup.

— Byle dziecko wróciło! — myśli — byle wróciło... to pierwsze wrażenie, jakiego doznam, będzie niezawodne, co?...

Po ziemi snują się cienie błękitnawe, które przechodzą w jakąś mleczną siność. Po ulicy czasem przesunie się dorożka, i turkot ginie w oddali. Naprzeciw w kamienicy jakiejś zapalają światła. Rena łamie ręce z taką forsą, że stawy trzeszczą, lecz ona nic nie słyszy, nic nie czuje.

— Tak, tak! jeden z dwóch typów przeważy, i pochwycę go na pierwsze spojrzenie. To mnie przekona i uspokoi!...

Przywołuje całą siłą na pamięć twarzyczkę Adzia, lecz myśli i wyobrażenia tańczą w niej tak piekielny taniec, że nie jest w sta-

nie przypomnieć sobie dokładnie rysów twarzy swego dziecka.

— Pójdę... spojrzę na fotografię — postanawia, lecz nie porusza się z miejsca.

— Nie, nie... żywego muszę widzieć! żywego!...

I gdy słyszy tupot drobniuchnych nóżek za sobą, wreszcie głosik Adzia, czuje, że jest tam to dziecko, ta zagadkowa istota, doznaje szalonego uczucia pragnienia, aby zapaść się pod ziemię, aby nie spojrzeć na twarz dziecka, aby nie stanąć wobec tej stanowczej chwili...

Dziecko pociąga ją za suknię.

— Mamusiu! można iść do tatunieczka?

Nabiera odwagi. Odwraca się, pochyla namiętnym gwałtownym ruchem ku dziecku i podnosi je ku górze. Mały, przerażony tem żelaznem ujęciem, którego się nie spodziewał, pragnie wydrzeć się z rąk matki.

— Cicho! cicho! — rozlega się syk Reny.

Wlecze dziecko do okna, w zamierające światło i patrzy, patrzy. Oczy jej rozszerzyły się. Blada jest widmowo i wstrętnie straszna. Dziecko przerażone zamilkło, głowę przechyliło w tył, usta rozwarło.

I chwila ta stanowcza, decydująca trwa długo, i ścierają się w niej jakby błyskawice, jakby wyczerpująca siła, dobywana z trzewiów ostatniej rozpaczy.

Rena chłonie w siebie błękit oczów Wendego, jego krągłą twarz.

— Tamtego, tamtego... — wiją się przez jej mózg rozpalone sztylety.

Lecz oto usta otwarte, te usta charakterystyczne Brzeziewicza, wązkie, ukazujące szereg drobnych zębów z pewnem wysunięciem dolnej szczęki, i potem to czoło wyniosłe zarośnięte nierówno, tak dobrze znane Renie.

. . . .

Nie wie...

Nie wie nic. Zapada w jaskrawe masy płomieni. Wiruje to wszystko dokoła niej, a w pośrodku twarzyczka Adzia i jego krótki, trochę zmęczony oddech.

Nic, nic rozróżnić nie można. Sfinks, zagadka. I już tak będzie, tak będzie zawsze... ciągle...

Z jękiem nieludzkim, z jękiem kogoś, kto zapada w przepaść, gdzie wie, że zdychać będzie w powolnych męczarniach, Rena rzuca dziecko na ziemię.

— Idź! idź stąd! — krzyczy chrapliwie.

XI.

Cicho, przysłaniając świecę wachlarzem prześwietlonych krwisto palców, sunie Rena do gabinetu męża.

Noc jakaś cicha z kręgiem nowiu żółtym i wrogim za szybami mieszkania. Wymarły odgłosy miasta, i tylko wnętrza dyszą oddechami śpiących. Renie, bezsennej tułaczce, zdaje się, że jej ledwo obute mesztami stopy idą po lesie, w którym grają płomienne, jej tylko wyczuwalne paprocie. Z każdego kąta czai się ludzki oddech i utajone życie.

Ona niesie swoją chorą nawskróś myśl pomimo, ścieżką bolesną i pragnie tylko ominąć tę ciszę, jak drzemiący wielki, krwawy staw, aby nie poruszyć w niej kręgów. Znów ma nadzieję, że to, do czego dąży, zniweczy ten strach, tę grozę, z którą żyje od ślubu Wendego.

Powzięła, postanowiła.

Marya Wronowska powoływała się na naukę, na tę wielką Naukę, która ma wiedzieć wszystko.

Rena przed nauką do tej chwili miała to uczucie, jakiego doznawała przed takim medyolańskim tumem. Z wierzchu patrzyła z podziwem na drobiazgi cudowne, z których potęga się piękna złożyła. Lecz do wnętrza wejść nie chciała. Czarno tam było pewnie i źle, pomimo tęczy witraży. Tak było z Nauką. Te zewnętrzne, wysypywane na ludzkość ornamenty były zajmujące i ciekawe, lecz głąb ciemna była i przerażała swem bezdnem.

I oto, gdy Rena chciała wydrzeć się z koła męczarni, które ją opasało, biła się o mury takiego gmachu, na którym ręce geniuszów wypisały ognistemi zgłoskami:

Odkryłem — dowiodłem!

Czem był wobec tych zgłosek, płonących nieugaszenie, cichy poszum przeczuć Tatyany, zrodzony z oryentalnych melodyi i melancholijnych stepowych wierzeń.

Czem?

. . . .

Tak jak porwała Adzia w ramiona i powlokła do światła, aby spojrzeć mu w twarz,

tak obecnie postanowiła stanąć twarzą w twarz owej potędze, owej mocarnej sile, Nauką nazwanej.

— »Może tam znajdę właśnie uspokojenie — myślała — może Marya Wronowska rzuciła słowa błahe, bezpodstawne, aby olśnić tę poczciwą Edę. Może była kilka minut w salach wykładowych i tego, co mówiono, nie rozumiała... Zresztą więcej była zajęta gałązkami bzu i uśmiechami profesorów, niż naukową treścią. Sama to mówiła...«

Lecz teraz już Rena doszła do tego przekonania, że sama przejrzeć musi prawdę. Tem bardziej, że prawdę tę miała pod ręką. Biblioteka medyczna męża zajmowała dwie duże szafy. Czasem czytała z nudów tytuły. Raz zaczęła przeglądać książkę ginekologiczną, lecz, zdjęta estetycznym wstrętem, odrzuciła ją szybko. Teraz idzie cicho, wśród nocnej ciemni po tę książkę, z której chce zaczerpnąć prawdę, która może jej powie...

Cicho, jak złodziej, otwiera drzwi szafy. Klucze tkwią w zamkach, bo Brzeziewicz, znając Renę do tej chwili, nie posądza, że przyjdzie jej ochota wertować książki medyczne. Dawniej lękał się, aby nie była ciekawa i nie nadszarpnęła sobie nerwów, wczytując się w objawy chorób, lecz z latami, wi-

dząc zupełną pod tym względem apatyę Reny, uspokoił się.

Dlatego klucze tkwią w zamkach.

Rena wywlokła z szafy dużą książkę, oprawną w płótno. Aby się upewnić, uklękła na dywanie i, postawiwszy obok świecę, rozłożyła księgę i pochyliła się z rozchylonemi ustami, z gorączką na twarzy. Włosy opadły jej pasmami i zasłoniły ją jakby w ujęciu jakichś złotawych odrzwi kaplicznych. Dyszała ciężko, czytając tekst. Usiłowała zrozumieć techniczne słowa, powracała kilkakrotnie do przeczytanego zdania.

Pot okrył jej czoło.

Wreszcie odwróciła kartkę.

Nagle zmartwiała. Brzeziewicza zbudził szmer poruszonej księgi. Sennym głosem zapytał z głębi sypialni:

— Kto tam?

Rena zbielałemi usty zmuchnęła świecę i pozostała nieruchoma. Brzeziewicz chwilkę jeszcze widocznie nadsłuchiwał, wreszcie sądząc, że się pomylił, odwrócił się na łóżku i zapadł w milczenie.

Rena klęczała wciąż nieruchoma, dławiąc się swędem zgaszonej świecy, z rękami, dotykającemi leżącej przed nią księgi. Wzdłuż jej ciała przepływały dziwne, fatalne dreszcze, jakby jakieś prądy dążyły do wierzchołka głowy i w ziemię dążyły, wprawiając w ruch

bolesny wszystkie jej nerwy. Niezależnie od tego fizycznego bólu, rozpacz jej rosła i potężniała potwornie.

. . . .

Bo, choć zaledwie kilkadziesiąt wierszy Rena wchłonęła z leżącej na ziemi księgi, to zrozumiała, odczuła doskonale, że Marya Wronowska wiedziała, co mówiła, i że »cette chose malpropre« w eleganckim pojęciu światowej kobietki stanie się dla niej, dla Reny, dla matki — tragedyą krwawą jej życia.

. . . .

Gdy słaby brzask zaczął szarzeć przez szyby, Rena podniosła się z ziemi i, dźwignąwszy księgę, jak automat, w swej długiej, białej szacie powlokła się do swej sypialni. Twarz miała jakby przysypaną popiołem, postarzałą i oczy okolone siną obwódką. Za każdym krokiem siekły ją rózgi rozszalałych nerwów, nad którymi zapanować nie mogła, gdyż przyczyna ich szaleństwa była zbyt sięgająca dna, zbyt wyrosła z duszy, z mózgu, z jej macierzyństwa, z jej godności, słowem z tej całej kobiecości człowieczej, którą w tej chwili poczuła się całą mocą i siłą, nigdy jej dawniej nieznaną.

Ukryła księgę i padła na łóżko, kryjąc twarz we włosy.

Nad nią wstawał tryumfalnie świt.

Nad nią.

Nad jej mistyczną, tajemniczą, ukrytą męką.

XII.

Gromem padły na nią słowa odczytanej księgi. Uczuła, że niema dla niej wyjścia. Teraz otwarcie zrozumiała, że jest ślepa, że jest tą, która nic nie wie o cudzie, jaki się w niej dokonał. Nauka brutalnie z całą mocą i siłą dowiodła swego. Ta jakaś apatyczna lekkomyślność, z jaką po uścisku Wendego przyjęła uścisk męża, przemieniała się w grozę, targającą jej nerwy.

I te wybuchły z całą siłą, mszcząc się za wszystkie bromy, za strumienie Charcotowskiego bromu, które całą falą od lat tylu wprowadzały je w odrętwienie. Mózgu Reny uczepiła się teraz jedna jedyna myśl:

Mieć pewność, kto jest ojcem jej dziecka! — Napróżno chwilami starała się niweczyć w sobie to pragnienie, które poprostu przechodziło szalonymi krokami w manię. Napróżno ciskała sobie z jakimś szkaradnym śmiechem:

— Przecież to wszystko jedno!...

Lecz nie. To nie było wszystko jedno. Jak zdjęta obłędem, chwilami przypadała do dziecka i wpijała się w nie wzrokiem, jakby starając się przeszyć całą jego istotę i na dnie wyszarpać tajemnicę jego pochodzenia. Trzęsła niem raz, wołając:

Ktoś ty?... ktoś ty?...

I odepchnęła je od siebie. Przestrach ją ogarnął i groza. Była to jedna chwila stanowcza. Postanowiła nie pozostawać nigdy sam na sam z Adziem. Sądziła, że w ten sposób łatwiej jej będzie ominąć wybuchy, które biły z jej wnętrza do jej piersi i mózgu, fizycznie ją podnosząc i zmuszając do rzucania się ku dziecku. Adzio sam instynktownie zaczynał uciekać przed matką, jakby przeczuwał, że pomiędzy nim i nią dzieje się coś groźnego, czego on pokonać nie jest w stanie i czego jest mimowolną przyczyną. Gdy spotkał ją na przejściu, kurczył się i często zasłaniał rączkami twarzyczkę. W te oczy bowiem, w tę twarz głównie wpijał się wzrok Reny, chciwy, groźny, badawczy.

Dziecko tego znieść nie mogło.

I nagle ta »nauka«, która Renie stanęła wrogiem i wydała wyrok potępieńczy i stanowczy, objawiła się jej, jako środek wydobycia z ciemni. Rena przyjęła już fakt niemożliwości odróżnienia pochodzenia dziecka

przed przyjściem na świat, w sytuacyi, w jakiej ją własna jej nieudolność życiowa postawiła.

Lecz pozostało jej, zbadanie już dziecka żyjącego. Jeśli powierzchownie Adzio nie był w stanie przedstawić stale typu czy to Wendego, czy Brzeziewicza, to przecież pozostawały cechy dziedziczności, czy to moralnej, czy fizycznej. To słowo »dziedziczność« tak często było nadużywane przez samego Brzeziewicza. Wszakże on, jako neurolog, najczęściej swoje dyagnozy opierał na tej właśnie dziedziczności...

Ile razy Rena słyszała: »dziedzicznie obciążony...«

Wszakże o sobie samej miała tę pewność postawioną już oddawna. Dziedzicznie obciążona...

Więc i Adzio musiał być także jakoś dziedzicznie obciążony.

I znów Rena powlokła się do szaf bibliotecznych i tam, jak złodziej, drżąc cała, rozpoczęła swe poszukiwania. Znalazła obfite pod tym względem źródła. Brzeziewicz czynił gruntowne studya w tym kierunku. Chaos ogarnął umysł Reny. Te »przykłady«, przytaczane setkami, sprawiały jej wrażenie labiryntu i zaciemniały umysł. Lecz z zaciśniętymi zębami czytała dalej.

Oczy jej zachodziły mgłą, szczęki drętwiały.

Kilkakrotnie dostawała nerwowego ataku i z całym wysiłkiem; prawie po omacku, składała książkę i, jak ślepa, pomieszczała ją na zwykłem miejscu w szafiie, by powlec się do sypialni i tam często paść już u progu bezprzytomna, zziębła, przeszyta nawskróś bolesnymi dreszczami.

Położona na łóżku, doznawała wrażenia, że unosi się w przestrzeni, i rozpaczliwie chwytała się rąk otaczających, jakby pragnąc przytrzymać się przy ziemi. Były to minuty tak strasznej, tak tragicznej agonii, że twarz jej, zalana łzami, zmieniona, sprawiała niewysłowiony ból doglądającej ją służbie.

Ponieważ ataki te zdarzały się do tej chwili w nieobecności Brzeziewicza, Rena po przyjściu do przytomności, zakazywała mówić o nich mężowi. Wogóle zrobiła się teraz dziwnie nieśmiała i skryta. Zdawaćby się mogło, że chciałaby zabierać jak najmniej miejsca, a przechodzić niepostrzeżona.

Cierpienie swoje brała, jak krzyż, sobie przeznaczony, i to krzyż, który nieść winna bez skargi, z zaciśniętemi usty. Tylko szło jej o to, aby nikt nie dostrzegł, że ona cierpi, a zwłaszcza jak cierpi. Zmiana jednak jej twarzy, a zwłaszcza dziwne milczenie, w które ciągle zapadała, uderzyły Brzeziewicza. Rena złożyła te objawy na niedomagania fizyczne. Tą przyczyną oddzieliła się także od jakich-

kolwiek bliższych objawów czułości względem męża. Sama myśl o tym fakcie, który teraz był dla niej przyczyną jej rozpaczliwego rozstroju, przejmowała ją grozą

Brzeziewicz dyskretnie usunął się, pojmując kapryśne usposobienie kobiet w tym kierunku. Dobroć jego i jakaś ojcowska łagodność przejmowały Renę głębokiem wzruszeniem; gdy mówił do niej cicho i dobrze, gładząc ją po rękach i głowie, łzy często zalewały jej oczy. On uśmiechał się dobrotliwie.

— No... no... weźmy bromu... Zresztą przyjdź dziś do gabinetu. Widać, że anemia powraca. Należy wzmocnić cały organizm i nerwy!!...

Dziękowała mu uprzejmie. Nie, nie chciała zajmować mu czasu. On jednak nalegał. Gdy przychodziło jej obnażyć teraz przed nim trochę ciała, w które wbijał igłę, fala krwi zalewała jej twarz. Nie umiała oprzeć się temu uczuciu. Prędko opuszczała batysty i koronki. On nie zauważył nawet tego i zawsze z uśmiechem całował miejsce, które miał okaleczyć, robiąc injekcyę. Potem nacierał eterem, poważny już i zajęty swoją czynnością. Ona przez ten czas szamotała się w chaosie wspomnień Wendego i męża. Ogarniało to ją, jak siatką, wytryśniętą nagle z dotknię-

cia na ramieniu lub nodze ust męża. I w głębi wył w niej plugawy, pogardliwy krzyk:

— A dziecko!... nie wiesz, czyje dziecko? ty — matka...

. . . .

Nocami leżała teraz z oczyma, utkwionemi w czerń, bo zaczęła światła nie znosić, nawet dyskretnego płomienia świecy.

W ciemności przemyśliwa, co przez te dnie Golgoty przebyła. Jakie ciernie z rąk jej, z mózgu, z serca wydzierały fakty, które sama dowolnie przed siebie wysnuwała. Coraz silniej starała się wydobyć z ciemnej zawiłości tę jakąś nitkę spójności dziedzicznej, wiążącą Adzia z jego rzeczywistym ojcem. Lecz były to próżne zupełnie usiłowania. Tak moralne, jak i fizyczne cechy, splątane, skłębione, uciekały z pod władz Reny. Chwilę całą siłą woli wcisnęła Adkowi zabawki, które dawniej wydzierała mu z rąk. Konie, wózki, cały sport stajenny, w którym odnajdowała przedtem łączność dziecka z Wendem. Lecz doznała zawodu.

Adzio zabawki poukładał dokoła i małym nożykiem zaczął rozpruwać ich ciała. Odcinał im nogi, otwierał brzuchy. Chwilę Rena, podpatrująca go, sądziła, iż są to zacięcia weterynaryjne, i przypominała sobie, że Wende bardzo chętnie miał do czynienia w tej ga-

łęzi. Lecz Brzeziewicz nadszedł i znów pogrążył ją w niepewności.

— Ot, ot... — wołał śmiejąc się — dziedziczność, wiwisekcya...

I dodał z dumą:

— A nawet smarkacz wcale zręcznie to robi.

Niemniej nie powiodła się Renie inna próba, którą przedsięwzięła. Ponieważ oddalono lokaja, który kradł, Brzeziewicz rzucił lekko:

— Prawdopodobnie miał to wrodzone...

Rena przypomniała sobie, iż kiedyś Wende opowiadał, że, będąc dzieckiem, miał manię kradzieży. Śmiano się wtedy z tych wspomnień dokoła podwieczorkowego stołu w Zaleszyńcach. Rena zaczęła teraz rozrzucać pieniądze drobne na drodze Adzia. Kilkakrotnie podpatrzyła, iż dziecko podnosi pieniądze i ma przytem charakterystyczny ruch oglądania się dokoła. Ogarnęła ją prawie radość. Coś pewnego zaczynało przeświecać. Przez cały dzień żyła w tej jakby pewności. Pławiła się w niej. Lecz oto z racyi oddalenia lokaja, Brzeziewicz ciągnął dalej to, co rzucił mimochodem.

— Miał wrodzone... A może nie. Wszakże i ja, gdy byłem dzieckiem, miałem przyzwyczajenie ukrywania znalezionych pieniędzy...

W Renie zamarł dech.

— Ukrywałeś?

— Tak. I wyobraź sobie, karano mnie za to. A czyniono źle. Miałem zawsze zamiar szczery oddać owe pieniądze!...

Rena szybko oddaliła się. Adzia nie ukarała, a on pieniędzy nie oddał. A więc cecha Wendego przeważyła.

Gdy weszła wieczorem do pokoju dziecka, gorąco porwała je w ramiona. Miała wrażenie, że odnajduje je z jakiejś przepaści. Lecz mały wyciągnął ku niej rączkę, na której błyszczały drobne małe srebrne monety.

— Adzio znalazł!... Na ziemi Adzio znalazł!...

Cichy, stłumiony jęk wydziera się z piersi Reny. Pochyla się automatycznie, chce wziąć pieniądze, nie jest w stanie.

Nie może znieść dłużej widoku tej drobnej rączki, wyciągniętej ku sobie ze świecidełkami srebrnemi we środku...

Odwraca się i prawie oślepła kieruje się do swego pokoju.

— Proszę wielmożnej pani! Adzio oddaje pieniążki!... — woła na nią Natalka.

XIII.

Od Jagi Rena dostaje list.

— Naturalnie!...—myśli — musiałam dostać... wypisać się pragnie... Ach! czego chce? czego oni chcą?... czego? czego...

Siedzi przy oknie swego saloniku.

— Ileż to już czasu? ileż?...

Nie wie. Umysł jej dziwnie spochmurniał. Tak ciężko jej pozestawiać nawet najdrobniejsze codzienne fakty. I, co dziwne, to właśnie jest jej najcięższe, co się dokoła niej dzieje. Dziś, wczoraj — to najprostsze kłębi się w jej mózgu, wiruje — ginie, niepodobne do wydobycia. Prędzej tamto dawne, choćby ślub Jagi. Widzi się dokładnie w orszaku weselnym poza plecami Wendego. Organy huczą nieprzyjemnie. Kochanek jej bierze ślub! Ech... co kochanek! to drobnostka! jedna chwila niewyraźnej ekstazy w chacie na folwarku, ale to coś więcej. Możebne, iż

ojciec Adzia... Tu znów Rena już machinalnym gestem zaciska pięści.

— Możebne...

Więc zaraz. Ileż to miesięcy jest w niej to »możebne«. Jesień nadchodzi, ta niewidzialna, skradająca się jesień. Prawie to samo, co wtedy w parku, gdy prowadziła Adka do kolan Wendego, mówiąc mu ironicznie, lecz z taką pewnością niezwalczoną:

— Przyprowadziłam dziecko...

Nie dodawała: »twoje« dziecko... Po co? To było wiadome między nim i nią, że pocałunek ich miłosny zrodzić musiał życie. Tak sobie ułożyli. To jest właściwie ona. Bo, o ile sobie teraz uświadamia, on w kwestyi dziecka nie zabierał nigdy głosu. Powiedziała mu raz w powozie, okrążającym melancholijnie cuchnące i tajemnicze stawy:

— Będę matką!...

Odpowiedział na to:

— A!...

To było wszystko. Cokolwiek jakby niespokojnie spojrzał na nią i zaraz powrócił do równowagi. Potem nie wznawiał nigdy kwestyi macierzyństwa Reny. Gdy pierwszy raz zobaczył dziecko, uśmiechnął się prawie głupawo. Pocałował jego rączkę i powiedział w formie pochwały:

— Bardzo ładny...

Rena wówczas aż zadrgała cała z ironii.

Obecnie znajduje, że zachowanie Wendego było zupełnie naturalne.

— Głos krwi... — myśli — jakże mógł pewnie i niezbicie okazać się w pędzie do dziecka. Jak?... Przecież ta zagadkowa postać nie mogła szarpnąć go ku sobie. Sfinks... sfinks... Przypomina sobie, że ten »sfinks« siedział roześmiany w bielach i puchach w konsze ślicznego wózka i tłustemi łapkami chwytał padające do wózka jesienne liście, które wiatr łagodnie otrząsał z drzew parku.

— A przecież dziecko to wlokło już wówczas, jak i teraz, piekło za sobą...

Piekło!

. . . .

— Więc ileż to miesięcy, od kiedy odczułam, że jestem bez ratunku u bram tego piekła, skazana... zaraz..

Rena listem Jagi ociera pot z czoła.

Nie wie sama, co czyni. Jest wycieńczona. Za lada chwilą i przyczyną oblewa ją żar i pot opływa. Niespokojne ruchy całego ciała pomnażają uczucie gorąca, przebiegające jej ciało.

— Maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień... Pięć miesięcy... Długie miesiące i znów jakby jeden rozciągły dzień tortur...

Drzwi się otwierają. Wchodzi cicho Natalka, wyrośnięta, jeszcze bardziej nosząca

piętno fałszu na swej śniadej twarzyczce. Niesie na tacy szklankę, w której na dnie jaśnieje jakaś ciecz.

— Proszę wielmożnej pani — białka...

Rena rzuca się niespokojnie.

— Zostaw mnie...

— Proszę wielmożnej pani wypić... już dwie godziny upłynęło. Ja muszę pilnować. Wielmożny pan, jak wróci, będzie się na mnie gniewał. Ja muszę... co dwie godziny...

— Idź stąd!

— Proszę wielmożnej pani!...

W głosie dziewczyny niema ratującego przywiązania. Jest tylko obowiązek.

— Idź stąd!

— Bo ja muszę...

Urywa. W oczach Reny grają nieznane dawniej, nie widywane blaski. Coś jakby nalatywało od zewnątrz, uderzało sztyletami w źrenice i odbijało się zygzakiem piorunowym znów w drogę powrotną. Twarz Reny mieni się równocześnie, zwłaszcza wyraz jej ust. Jest jakby jakaś zasadzka w tych kącikach, coś tam drapieżnego czai się w tych dawnych cudnych wykrojach Madonny. I drga wszystko, usta, skrzydła nosa, migocą zęby. Ręka drżąc, pociera owal twarzy. Powieki biją, jak skrzydła ptaka, spłoszonego śmiertelnie.

Natalka stawia tackę obok Reny na sto-

liku i cofa się do drzwi. Widocznie chce jeszcze coś powiedzieć, mocą przyzwyczajenia.

— My... idziemy.

Rena ponuro patrzy na dziewczynę...

— Czy... długo możemy spacerować...

Rena już nie zadaje sobie trudu. Nie odpowiada. Potrząsa głową jakby zaprzeczała. Natalka szybko wychodzi.

Rena przytula się do fotelu. Wie, że nie przyprowadzą jej syna, aby pożegnał się z nią, wychodząc na spacer. Sama przykróciła wszystkie zetknięcia się z dzieckiem, i zresztą domownicy czynią to coraz bardziej, widząc, jak stan nerwowy Reny podnieca się nienaturalnie w zbliżeniu się do dziecka. Przytem Adzio ma jakiś lęk prawie zwierzęcy przed tą drgającą twarzą matki, przed jej spoconemi rękami i tą głową nienaturalnie ruchomą, jakby serce jakiegoś dzwonu, bijącego na trwogę. Ucieka szybko, ujrzawszy Renę z daleka, a ją chwyta jakaś dzika chęć biegnąć za tem dzieckiem spłoszonem i krzyczeć niezrozumiałe słowa, które kłębią się pod jej czaszką, pod jej sercem, pchają się, tłoczą do gardła całą lawiną spienioną i zalewają jej usta. Chwyta się wtedy sprzętów, portyer, podtrzymuje tę »siebie«, panując jeszcze nad sobą resztkami woli. Czasem opada wtedy z sił, i służba znajduje ją le-

żącą na dywanach, przytomną na pozór, ale jakby ściągniętą muskułami, z głową tylko ciągle drgającą na trwogę i z oddechem tak ciężkim, że świst i chrap jego rozlega się po ciszy mieszkania z jakąś tragiczną mocą prawie agonii.

Brzeziewicz, zajęty obecnie tak zwanymi »wyjazdami« chorych do wód i kąpieli, rozrywany na konsylia, porady do pacyentów, przejeżdżających z Wołynia, Ukrainy, Podola, nie miał czasu obserwować fizycznego stanu Reny. Służba, jak zawsze, tępa i obojętna, nie uznawała za stosowne zawiadomić go o tych niepokojących, nerwowych objawach i śledziła je tylko z małpią i podłą złośliwością. Pierwsza Natalka, obsypywana przez Renę od dziecka dobrodziejstwami, z wielką uciechą donosiła w kuchni o tem, co się dzieje z »Wielmożną Panią«.

— Ja wam powiem — zadecydowała z chichotem — »ona ma źle w głowie«.

— To z próżniactwa i z tego, że jej za dobrze — dołożyła kucharka.

Utarło się w kuchni to: »źle w głowie u pani«. Rena zaczęła wyczuwać jakąś siatkę dokoła siebie, siatkę chłoszczącej obserwacyi. Lecz słabła tak fizycznie, iż nie była w stanie reagować i silnej woli nie miała na tyle, aby grać tę najtragiczniejszą może farsę w życiu ludzkiem, bo udawanie,

iż nic jej nie jest, iż to, co się z nią dzieje, jest zwykła, normalna wytyczna życia. Przestała się prawie odżywiać, poprzestając z początku na płynach, połykanych jakby ukradkiem, a to głównie dlatego, aby nie siadać do stołu naprzeciw syna i wlepiającej w nią oczy Natalki. Wiedziała, że mąż nie zjawi się na oznaczoną godzinę, zajęty na mieście, i tak powoli oduczyła swój organizm od przyjmowania jakichkolwiek stałych pokarmów.

Gdy wreszcie Brzeziewicz dostrzegł, iż Rena bardzo chudnie i »marnieje«, jak mówią, w oczach, poinformował się łaskawie co do jej apetytu. Odpowiedziała mu wymijająco. Podejrzywać ją zaczął, iż razem z modami Dyrektoryatu zapragnęła być szczupłą i smukłą,

— Reno! Reno!... — wyrzekł uprzejmie — jak możesz w twoim wieku mieć tak mało rozsądku. Moda jest przemijająca, a organizm zniszczony z trudem powraca do dawnej siły. Proszę cię, jedz po dawnemu... proszę cię o to!

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Ależ... chętnie...

Nie dowierzał jej jednak. Zaczął śledzić i badać służbę co do sposobu odżywiania żony.

Gdyby szło tu o jej chorobliwy objaw,

z pewnością odłożyłby jej kuracyę na później. Ale zachodziła tu kwestya histerycznego uporu modnisi; to Brzeziewicz lubił zwalczać i miał pewien punkt honoru, aby zwalczyć bezwarunkowo. Dowiedziawszy się od służby, że pani oddawna nic nie je po ludzku, postanowił, o ile możności, zjawiać się przy stole i pilnować godzin jedzenia.

Lecz tu nastąpił zwrot niespodziewany. Rena zasiadła do swego »rodzinnego« stołu, pomiędzy mężem i tem zagadkowem dzieckiem, tak wzburzona, tak zdenerwowana, że wszelkie, na prośby męża przełykane potrawy, nie mogły pozostać w jej organizmie. Szalone ataki bólów, torsyi kurczów, połączonych ze spazmami nerwowymi, porażenie wzroku, rąk, twarzy, ciskały nieszczęśliwą i czyniły każdy posiłek raczej katuszą, niż pokrzepieniem organizmu.

Na drugi dzień wybladła, z oczyma podsiniałemi, drżąca, o ruchach niepewnych, o chodzie chwiejnym, robiła wrażenie kogoś powracającego z tamtej strony grobu.

— Nerwica... nerwica... — zadecydował Brzeziewicz.

Walczył jeszcze czas jakiś, chcąc nauczyć żonę »jeść«. Lecz ataki nie ustępowały, cały dzień miał zmarnowany, nie mógł wyjść z domu, czuwając przy Renie. Liczba pacyen-

tów tymczasem wzrastała, reklamowano co chwila doktora, czuł, że traci klientelę..

I przestał narazie się opiekować.

Nakazał odżywianie co dwie godziny białkami, śmietanką. Polecił podawanie tej strawy Natalce, która wykonywała to polecenie z obojętną natarczywością. W kuchni bawiono się tem »menu«, i Natalka, łypiąc złośliwie oczami, mówiła, niosąc tacę, na której błyszczała szklaneczka z trochą cieczy mętnej, żółtawej:

— Niosę obiad!

Lub:

— Niosę kolacyę!

U progu przybierała usłużną minę zainteresowanej stanem chorej pani wiernej służebnicy. Lecz gdy wracała do kuchni, wybuchała chichotem:

Nawet tego nie chce wypić..

A kucharka nie omieszkała dodawać:

— Kara Boska z taką waryatką.

Pokojówka cicho dodawała:

— Lepiej, by ją zamknęli...

Natalka aż pluła ze śmiechu.

— To, to... w Kulparkowie. Będziemy jeździć z Adziem na wizytę i wozić jej pomarańcze...

Bardzo było w kuchni wesoło.

. . . .

— Więc pięć miesięcy tak żyję... — myśli Rena, i wzrok jej śledzi szare, ołowiane niebo, które podłużnym szmatem pomiędzy domami się unosi.

Naprzeciw jej domu ktoś pielęgnuje kwiaty zapalczywie, i oto całe okno zastawiono świeżo kupionymi astrami o różowych i liliowych miłych barwach, utkwionych w bujnej, trochę żółtawej zieleni. Kwiatów jest tyle, że tłoczą się w szyby okna, i Rena patrzy na nie z jakąś dziwną melancholią.

— Cierpią! — myśli — przecież i one cierpią. Ale fizycznie. Ach! gdyby moje cierpienie mogło się zmienić w najstraszniejszą torturę ciała, gdybym mogła zapomnieć... choćby na chwilę.

Załamała wychudłe ręce nad głową.

— Choćby na chwilę.

Nie czesze się teraz z dawną starannością. Włosy w prostych pasmach spadają po obu stronach twarzy. Straciły połysk i barwę. Gdzieniegdzie bieleje nitka. Na skroniach rozciągają się żółtawe plamy. Skrzydła nosa przezroczyste prawie przylegają nieruchomo. Powiało po całej tej wspaniałości kobiecej skrzydłem zniszczenia. Oczy tylko upiornie duże biegną w dal.

— Gdyby chociaż na chwilę...

Lecz łakomie, jak ten, kto już do tortur przywykł, nadsłuchuje w głąb mieszkania. Iść

będzie Adzio z Natalką. Stukot drobnych kroków, o ile mu nie włożyli kaloszów, rozlegnie się dokładnie w jej mózgu i wstrząśnie jej sercem.

— Tak... tak... zaraz... który tak chodzi, który?

Wie, że to pytanie przeszyje ją, jak doskonale wyostrzonym nożem, ale ona zada je sobie, musi je zadać sobie.

. . . .

I nie znajdzie odpowiedzi.

. . . .

Tak, te kroki.

Kiedyś, dwa czy trzy miesiące temu, Brzeziewicz, rozmawiając z nią o bosonogiej tancerce, która nawiedziła miasto, rzucił mimochodem, patrząc na fotografię Duncan:

— Niema nogi profesyonalnej baletnicy. I zaraz, sądząc, że zainteresuje tem żonę, opowiadać zaczął, iż matka jego w latach młodych była tancerką sceniczną i że on w spadku ma nogę wygiętą w sposób, w jaki wyginają dzieciom w szkołach baletowych stopy, układając je do tańca.

— Nazywa się taka dziedziczność: »heredité acquise«, dziedziczność nabyta.

Rena szybko zwróciła się ku niemu:

— A... więc.

Urwała. Lękała się posłyszeć od męża, że Adzio nie odziedziczył po babce owej tancerskiej stopy. Ułuda porwała ją w swe sieci. Szybko postarała się pozostać samą z synem. Pod pozorem przymierzania bucików nowych — studyowała jego drobne, bose nóżki. Lecz nie mogła dojść do żadnego rezultatu. Dziecko miało miękkie podatne kości, które jakby topniały w ręku. Z kocią giętkością dozwalał manewrować swoją różową stopką, bez ujawnienia jakiejkolwiek cechy dziedzicznej.

Rena zniechęcona, pozostawiła dziecko zdziwione, bose, na różach dywanu. Prosto, z wypiekami na twarzy, z nienaturalnym uśmiechem poszła do męża.

— Czy wiesz, co robiłam? — zapytała z jakąś determinacyą — badałam Adzia, czy nie ma owej tancerskiej »heredité acquise...«

Brzeziewicz się uśmiechnął.

— Ja badałem go w tym względzie jeszcze wcześniej. Nie. Nóżki jego są zupełnie normalne.

Renie zabrakło tchu.

— Tak... — zdołała wypowiedzieć z trudnością — może jednak później... gdy zacznie rosnąć...

Patrzyła w męża tak usilnie, jakby go o coś błagała.

Zadziwił się.

— Chciałabyś tego?

W jednej chwili, czuła, że blednie.

— Ja? nie... tylko tak...

— Zresztą, nie wiem, może, chociaż...

Uwisła u jego ust.

To było kilka lat niepewności, a więc wytchnienia.

Lecz wejście lokaja przerwało rozmowę.

— Proszę wielmożnego pana do telefonu.

Brzeziewicz wyszedł. Rena później nie umiała nawiązać rozmowy. Uczepiła się książek. Zaczęła badać, szukać. Lecz anemia jej wzrastała. Trudno jej było porozumieć się w labiryncie słów i faktów medycznych. Gwizd, huk w głowie walił ją co chwila prawie bezprzytomną na karty książki.

Tak zastał ją raz Brzeziewicz. Zdumiony zbliżył się i podniósł ją.

— Reno! skąd ci przyszło czytać moje książki?

Starała się oprzytomnieć.

Było to wieczorem. Sądziła, że mąż powróci późno i siedziała w gabinecie z książką na stole.

Świeca, pokryta delikatną zielonawą jedwabną przysłonką, rzucała na nią jakieś smutne, trupie blaski. Patrzyła na męża zbłąkanym, nienaturalnym wzrokiem. Cała jej postać wskazywała niepewność bolesną.

Brzeziewicz odebrał jej książkę.

— Co ty czytasz?

Chciała mu wydrzeć książkę z ręki. Nie miała siły.

Spojrzał na karty.

— Dziedziczność?... to cię zajmuje?... ciągle.

Milczała.

Brzeziewicz złożył książkę, zbliżył się do szafy.

— A teraz zamknę książki na klucz... nie chcę, ażebyś czytała tego rodzaju rzeczy. Jesteś nerwowa dosyć. Nie potrzebujesz się więcej ekscytować.

Przez umysł jej przesunęło się:

— Kupię sobie...

. . . .

Ale nie kupiła.

Przestała wychodzić. Uczucie trwogi, niepokoju i niepewności napadało na nią coraz więcej, zwłaszcza rankiem. Sama myśl ubrania się, pójścia pomiędzy ludzi przerażała ją. Codziennie myślała o tem, że pójdzie nakupić medycznych książek, traktujących o dziedziczności, i nie szła.

— Albo zaprowadzę Adzia do jakiego lekarza!...

Lecz bała się, iż z konieczności napotka jakiegoś znajomego męża. Przejmowała ją groza i wstyd.

— Domyśli się, o co mi chodzi...

Wreszcie myśli się jej zaciemniły.

— Nie wiem już nic... nic...

. . . .

W oddali słychać było stukot drobychn nóżek dziecięcych.

— Może gdy wyrośnie...

XIV.

Do pokoju wszedł Brzeziewicz.

— List jakiś dostałaś? — zapytał, podnosząc z brzegu sukni Reny porzucony list Jagi.

— Nie czytałaś?...

— Nie.

— Chcesz? Ja ci przeczytam.

Milczała. Zdawało się jej, że mąż mówi do niej z za mgły, z oddali.

— Ach! to od pani Wendowej...

Włożył inną parę okularów, tę od recept, i z udanym dobrym humorem spojrzał na drobne literki.

— No... no... zobaczymy, co młoda mężatka nam powie.

I zaczął czytać list szablonowy, list zwyczajny kuzynki do kuzynki ze szczyptą jakiejś zmiany, jaką małżeństwo w Jadze wywołało.

— »Mąż mój pojechał w sprawie wzięcia Humnisk w dzierżawę — mąż mój« — i tak

co kilka wierszy jakaś czynność przeważnie gospodarcza owego męża, który zdawał się być dalej w Zaleszyńcach owym »paniczem«, zawiadującym i na praktyce.

Więcej nic.

— Ani słowa z tych tajni jakichś, bądź serdecznych, bądź zmysłowych. Mąż mój. Dwa wyrazy. I rzecz skończona.

Rena patrzy w okno, na tłum astrów po przeciwległej stronie ulicy, i głos Brzeziewicza dobiega do niej stamizowany, jak przez mgłę.

— Jej mąż... kto... a!...

Znów zgłoski ogniste w mózgu.

— To... wiesz... może ojciec twego dziecka, może, może...

I coś całe jej nerwy szarpie w stronę doktora.

— A może ten.

Pociera ręką czoło. Pot jej spływa i tu, i tam.

Brzeziewicz w tej chwili czyta zakończenie.

— »Doprawdy, Renusiu, mogłabyś przyjechać do nas na czas jakiś! Gdybyś teraz park zobaczyła. Cudownie piękny. Będziemy ci tacy radzi. Będziesz jeździć konno. Tylko nie na »Szaleństwie«. Wyobraź sobie, iż jest to prawdziwe szaleństwo. Nikt dosiąść go nie może. Cierpi na straszne zawroty, jest to, zdaje

się, koler. Pod siodło nie do użycia. A wielka szkoda. Linie wymarzone. Do amazonki jedyny. Czesiek już kilkakrotnie odzywał się z tem, że należałoby z nim skończyć, ale ja wstawiam się za nim, bo to wnuk »Karmazyna« i ty, będąc u nas, wybrałaś mu przecież nazwę. Więc choćby dlatego trzymam go w stajni. Ale jeździć ci nie pozwolę na nim, skoro do nas z Adziem przyjedziesz...«

Brzeziewicz czytać przestał.

— Kto wie, Reno, może to dobra myśl.

— ?...

— Ażebyś pojechała do Zaleszyniec.

Wyprostowała się aż cała. Zdawała się jeszcze chudsza i bardziej zmieniona.

— Ja? tam?

— Tak. Przyznam ci się...

Tu jakiś uśmiech obleśny przesunął się po jego wązkich ustach.

— Przyznam ci się, że, według mnie, ta zmiana zupełna, to jest wyjazd gdzieś do obcego sanatoryum, jak miałem na myśli, przeraża mnie dla ciebie trochę. Tymczasem — w otoczeniu tak ci blizkich, i w tych stronach, które tak lubisz...

— Tak... tak...

Przyznaje Rena, ale całą siłą ciska się przeciw myśli jechania do Zaleszyniec.

— Sądzę, że byłoby to dla ciebie znakomite. Tem bardziej, że ja...

»Znakomite«, powtarza myśl Reny.

— Tembardziej, że ja... mam właśnie zjazd neurologów w Brukseli. Jechać muszę, to konieczne... Rozumiesz?...

Tak, jak przed laty. Znów zjazd neurologów, teraz w Brukseli, a ona do Zaleszyniec...

— Ma się rozumieć Adzio z tobą. Pomyśl, co za radość dla malca, podczas gdy, będąc w sanatoryum, z konieczności musiałabyś się z nim rozstać na czas dłuższy. A sądzę, że byłoby ci to ciężko.

Tak. Byłoby to jej ciężko. Bardzo, niemożliwie nawet. Oderwałoby się od niej to najstraszniejsze dla niej, a stanowiące teraz główną część jej istnienia, to jakieś śledzenie, podpatrywanie zdradliwe, pełzające istoty dziecka, to wyciąganie macek dla pochwycenia czegoś istotnego, prawdziwego, stanowiącego rdzeń żyjącą i przyczynę życia tej rdzeni.

Brzeziewicz przechylał uprzejmie głowę. Uśmiech jego stawał się coraz obleśniejszy. Był to typowy uśmiech męża, który narazie chciałby umieścić gdzieś żonę, czepiającą się jego schorowaniem swojem już zbytecznie i przeszkadzająco.

— Zajmę się nią później fest... — myślał równocześnie — trochę masażów elektrycznych, kąpiele gazowe, galaretki z cielęcych

nóżek. Przyjdzie do siebie raz, dwa... Teraz jechać muszę. Kongres raz na parę lat. Referat gotów. Właśnie o nerwicach żołądkowych przedstawię mój system masaży... ręczę... zachwycę... podbiję...

Ujął zimną, sztywną rękę Reny.

— Jak myślisz?...

— Nie wiem.

— Nie nacieram. Sądzę jednak, że dla własnego dobra powinnaś to uczynić. Odwiozę was. Parę tygodni w doskonałem powietrzu podolskiem podniosą cię. Gdy powrócę, zabierzemy się do kuracyi na seryo. Raz, dwa — i wszystko będzie po dawnemu.

Tępo spojrzała na niego Rena.

Zawisła mu przy ustach.

Po dawnemu!

Jakże? Kiedy tamto nie zmieni się nigdy. Ona już z tego piekielnego koła nie wydostanie się. Nie wydostanie się...

I znów przy ustach męża zaczyna myśl jej motać się w straszny, przeklęty pacierz.

— Wykrój ust... tak... ale sposób uśmiechu. I co ważniejsze. Czy fizyczna linia, czy wyraz?... Fizyczna linia chyba, bo wyraz mógł przyjść nabrany, naciągnięty przez patrzenie Adzia na usta męża, dzieci naśladują. Ale czy można naśladować ten sposób uśmiechu, to wciąganie warg...

Mimowoli, zapominając się, wciąga wargi

i naśladuje sposób uśmiechu Brzeziewicza. Ten patrzy na nią chwilę zdziwiony, potem wesoło ściska ją za rękę.

— A!... ktoś się śmieje... więc już dobrze. Zgoda? Jedziemy do Zaleszyniec. Zresztą nie żądam w tej chwili odpowiedzi. Idę teraz do moich chorych. Sądzę, że, powróciwszy, zastanę cię zdecydowaną.

Powstał elegancko, jakimś baletowym ruchem. Obejrzał się. Zapragnął być bardzo troskliwym. Ujął szklankę z wodnistą cieczą.

— A!... proszę wypić! proszę wypić zaraz... nie można się pozbawiać kaloryi, choć to białko należy wprowadzić do organizmu, zanim zwierzęce zacznie twą szarą istotę mózgową odżywiać. Proszę, bardzo proszę...

Rena machinalnie wypiła podawane jej białka. Pragnęła pozostać znów samą. Nawet skinęła uprzejmie głową wychodzącemu mężowi.

— Tak... — myślała — muszę się zastanowić, czy powinnam jechać...

Po jego wyjściu, utkwiła znów wzrok w pyszny klomb astrów, cisnących się przez szkło szyb, przez szerokość ulicy. Astry, kwitnące teraz w klombach ogrodu zaleszyńskiego, stanęły jej żywo przed oczami. Z rozpaczliwem ściśnieniem serca pomyślała, że mogłaby powitać je miłośnie, gdyby...

Potarła czoło i zaciśniętą pięścią zaczęła

cisnąć z całej siły oczy w głąb jam. Ten ból fizyczny i potem szafirowe złoto obwiedzione słońca, które zalewały jej źrenice, na chwilę odrywały ją od jej myśli rozpacznych i strasznych. Lecz Zaleszyńce, Jaga, a tam w oddali z poza drzew, z poza węgłów stajen, z mgieł łąk, lub z szarego oparu rozpylonych stert, z za drzwi jadalni, rozpachnionej kwiatami i owocem, wyłaniał się ciągle Wende, silny, rosły, bojko, idący z łagodnym jakimś pokornym w oczach wyrazem.

— Oczy Adzia... Adzia...

Potem zakręciło się przed nią, pokój cały zawirował. Nieznośne uczucie nieokreślonego zdenerwowania przeszyło całą lewą stronę jej ciała. Pot rzęsistemi kroplami oblał jej twarz i szyję.

Postać Wendego zbladła i zaczęła oddalać się, niknąć, zatracać kontury...

— Właściwie nie wiem, nie wiem już teraz. Nie widzę go już dobrze. Nie mogę pochwycić, porównać...

Zaczęła dyszeć, jakby ku jakiemuś chwilowemu wytchnieniu.

— Może dlatego nie mam jasno postawionego odczucia prawdy. Może, gdybym go zobaczyła nagle, znalazłabym to, to właśnie, co rdzeń istoty Adka stanowi, co jest Adkiem właściwie.

Wpiła się rękami w poręcze fotelu.

— Tak... tak sądzę. Ciągle patrzę na męża, ciągle. Tamtego nie widzę wcale. I właściwie od tej strasznej chwili, gdy posłyszałam słowa Maryi Wronowskiej, nie widziałam go. Odchodząc, nie śmiałam spojrzeć na jego twarz, taka żmija hańby spadła na mnie za tę dwulicowość moją... Dziś nie wiem nic, nie widzę go już...

Zdawało jej się, że opuściła siebie, swoje ciało, te zwłoki i stanęła przed sobą.

— Więc co myślisz zrobić?...

Widziała się, jak głowa jej machinalnie zaczyna wykonywać ten ruch bolesny, jakby błagający.

— Nic, nic ci to nie pomoże. Powrócisz i tak znów do siebie, zaplączesz się w te sznury, które wpijają się do ran twej duszy i ociekają potem świeżą, dymiącą jeszcze krwią. Coś musisz postanowić, bo dalej tak trwać nie możesz.

I szyderczy głos, z przeciętej jakby błyskawicami dali dodaje:

— Dosyć już przypatrywałaś się jednemu tatuńciowi, idź obserwować drugiego...

Porwała się nagle, jakby pod uderzeniem rozgwizdanej, stalowej szpicruty.

— Pójdę!... pójdę!...

. . . .

Zdawało się jej, że z chwilą tej decyzyi idzie ku jakiejś ścieżce, pnącej się stromo pomiędzy dwiema przepaściami, najeżonemi odłamkami śmierciodajnych skał. I ona wlecze za sobą jakiś wór pokutny, stopy jej bose krają krzemienie czarne, lśniące, rzucane na drogę przez jakąś rękę potworną, planującą ponad nią w szarej. pełnej skłębionych chmur przestrzeni. A przed nią nieuchwytnie, bez silnie zarysowanych konturów, jakaś drobna zagadkowa istota biegnie, niknie, powraca szydzi, płacze, ucieka, to znów ciska się na nią, jak skrzydło płomiennego ptaka.

I ta istota, szarpiąca nerwami najtajniejszego zakątka jej istoty, wydzierająca z jej mózgu płaty rozranione i palące, uderzająca w jej serce, które czyniło na niej wrażenie ledwo zaciągniętego, a wewnątrz rozbolałego i ropiącego wrzodu, ta istota zagadkowa i dzika w swej bezlitości, to było — jej dziecko.

Jej własne dziecko!

XV.

— Lecz ta kobieta przysięgała...

I tych słów kilka strąciło w jednej chwili Renę z tej gorączkowej wyżyny, na którą się dźwignęła od chwili postanowienia wyjazdu na wieś.

Zajęła się bowiem przygotowaniami z bezprzytomną jakąś zaciekłością. Jak wtedy, gdy powróciwszy ze ślubu Jagi, oczekiwała powrotu Adzia i spojrzenia mu w twarz, aby rozstrzygnąć zrodzoną w sobie niepewność, tak samo teraz jakiemiś szponami uczepiła się nadziei pierwszej chwili ujrzenia Wendego. Włóczyła się pomiędzy kuframi, składając w nie bez celu i planu odzież, drobiazgi, książki — swoje i dziecka — wyczerpana, z hukiem i łoskotem w głowie, z jakimś świstem, miasto oddechu, z nerwami naprężonymi w nieokreślonem oczekiwaniu.

Podniecały ją jeszcze dni wichrowe, jękliwe, dni pędzącej gwałtem rozczochranej

jesieni. Pokój jej sypialni, narożny, był wystawiony na bicia i łomot wichrów. Te jęki i łomot tragiczny, pędzący z tajni wszechświata, rwał jej duszę, i teraz, późno w noc, zapaliwszy dwie świece i lampkę purpurową nocną, zaledwie w koszuli i białej jedwabnej spódnicy, Rena niepewna krąży wśród sprzętów, powtarzając sobie cichym i stłumionym głosem:

— Wezmę ze sobą pluszowy szlafrok, tom »Wiedzy radosnej« i Adzia huśtawkę i...

A w głębi niej:

— Ta kobieta przysięgała...

Zatrzymuje się przy kufrze, który czarnym, lśniącym grzbietem szagrynu, poprzecinanym żółtemi pręgami rzemieni, dźwiga się z szarych osłon pokrowca. Osuwa się na kufer i zanurza wychudłe ręce w rozpuszczoną masę włosów. Skurczona siedzi tak, a w dali od niej migocą szarpiące się światła, któremi wicher kołysze przez źle domknięte okna.

— Przysięgła... więc była pewna. Zresztą mniejsza o nią, mniejsza. Taka Maryanna Płaszcz mogła dla pieniędzy przysiądz wszystko. A potem mogła mieć to samo przekonanie, jakie ona, Rena, przez lat tyle miała w sprawie pewności macierzyństwa; ale tu chodzi o co innego, tu chodzi i...

. Rena zaczęła szukać w sobie resztek sił, aby dokończyć układania rzeczy. Chciała dro-

biazgami odpędzić od siebie precz to wielkie zagadnienie, jakie ją nagłe opadło. Jakto? Więc jeśli prawo, jeśli ludzie rozumni, mądrzy, a przynajmniej za takich się mający, ci »najmądrzejsi«, którzy zagarniają sobie nagle wyłączność stworzenia kodeksów, według których ma tańczyć ludzkość cała, jeżeli tacy »ludzie« postanowili, że kobieta może postanowić coś pewnego, coś, na co aż przysiądz może w sprawie macierzyństwa, a więc chyba...

A tu nauka ostro, brutalnie także przysięga, że kobieta nie wie nic, jest ślepa zupełnie, tak jak ona, Rena, w tej chwili...

Więc co? więc którzy mają racyę? Ci od kodeksów, czy ci od mikroskopu? Skalpelu?

Którzy?

Jakaś zapóźniona dorożka błądzić zaczęła, turkotać w oddali. Renie się zdawało, że to cała olbrzymia fala kamieni toczy się ku niej i zwali się na nią z łoskotem. Przysiadła na brzegu kufra i zakryła uszy rękami. Oczy zacisnęła całą siłą. Mimo to pod powiekami widziała Maryannę Płaszczównę z jej płaską twarzą »Bartolomea di Venezia«, tryumfującą i pewną siebie, przysięgającą w sali sądowej na pewność tajemnicy swego łona. W migocie świecy Chrystus sczerniały i nieruchomy patrzy na nią z pod swej drewnianej korony

cierniowej. Poza nim, poza migotem świecy spokojne, apatyczne twarze sędziów, tych od kodeksu...

A przecież te księgi zamknięte teraz przez Brzeziewicza, te księgi udowadniają. Gdzież więc prawda?

I skoro na mocy słów takiej Maryanny Płaszczówny skazują wskazanego przez nią mężczyznę na ponoszenie skutków ojcostwa? Znaczy się: dopuszczają możność krzywoprzysięstwa, jeśli owa Płaszczówna nie miała nerwu wierności w swym organiźmie. A od istoty, stającej przed sądem z tajnią samych najświętszych, bo życiodajnych dreszczów, wykrzykującej brutalnie to, co winno pozostać w słodkiej, melancholijnej ciszy, czyż można się spodziewać, że spojrzy w twarz Chrysta z trwogą bolesną i złoży mu pod stopy prawdę, »jedynie prawdę...« A gdyby jej przekonaniem powiedziała prawdę, toż jej wolno przeczuciami, a raczej ich legendą negować szperanie i zdobycze wiedzy, lecz tym, którzy ludzkością rządzą, stanowią o porządku i ładzie życia milionów, układają ich namiętności, pragnienia, zapędy — w rzędy i warstwy wygodne — tym nie wolno pominąć wzgardliwie nauki i oprzeć swych praw na fałszu i kłamstwie!

. . . .

Rena uczuła się drobną, małą, żadną. Z oddalonych regionów szły ku niej jakieś potworne, ogromne wały ludzi pewnych siebie, tłoczących wszystko, co spotykali na drodze. Dech milionów piersi, dech podobny do huraganu wiał ku niej, szarpiąc nerwami jej mózgu, kłębiąc jej myśli i wyobrażenia. Czuła, że wszystko jest przeciw niej, że usankcyonowano to, co jej bunt tragiczny zdławia marnością swych argumentów. Jakiś chichot tryumfujący Płaszczówien, podzwanianie pieniędzmi, które zdobyły na swych kochankach, i ta przysięga na rzecz ciemną, niemożliwą do odkrycia, choćby ostatni dech oddać przyszło.

Groza jękliwa i przeszywająca ogarnęła ją całą, nieprawdziwość podstaw życiowych i łamańce, jakie ludzkość wyprawia na dnie przepaści błotnej i bezdennej te maski surowych konturów i linii, surowych i nieposzlakowanych zwaliły się na nią ze zgrzytem i łomotem. Ona czuła, że jest właściwie w prawdzie i w liniach prostych. Ona czuła, że, nie wiedząc nic i przyznając się do tego tak tragicznie, jest bardziej wiary godną, niż te tam z rękami wyciągniętemi w płomieniach świec, przysięgające naprawdę...

Ona to czuła, a przecież rozumiała także, że, gdyby tak stanęła otwarcie i odkryła nagle głąb swej duszy, ten łomot i łoskot do-

skonałych urządzeń przytłoczyłby ją i zagasił blask światła, jaki krwawo biłby z jej wewnętrznej istoty. Padłaby zgnieciona i zwalczona, jak coś niepotrzebnego, kłócącego tak ślicznie ułożone prawa z całą chińszczyzną ich aparatu.

Lampa jej katafalku, gromnica trumny jej życia zgasłaby od tego tchu, wyjącego chromatycznie z oddali. Oświecałaby bowiem to jej »nie wiem«, wtedy gdy dla porządku społecznego »wiedzieć« się musiało.

XVI.

Przed nią w niepewnym blasku świecy stał — mąż.

— Nie śpisz jeszcze? Czy czujesz się niezdrowa?

Spojrzała na niego błędnie.

— Może weźmiesz Validolu? Czy masz cukier?

Oglądał się dokoła.

Ona jednym skokiem porwała się z kufra i rzuciła mu się na szyję. Uczepiła się go gwałtownie, jakby szukając ratunku przed tym ogromem chaosu, który na jej drobną istotę naleciał.

— Chciałabym wiedzieć... — bełkotała wpół-przytomnie.

On był znużony. Długo w nocy przeglądał księgę, w której zapisywał przebiegi chorób swych pacyentów. W oczach miał mgłę i był bardzo senny...

— O co ci chodzi? — zapytał uprzejmie.

Patrzyła na niego, i nagle aż zadławiła ją myśl, że od niej zależy, od jednego jej słowa, aby tu ta tragedya, którą ona się pasie już tyle czasu, stała się jawną i rozsadziła mury tego tak pracowicie lepionego gniazda. Wystarczyło krzyknąć: — »Adzio nie twój syn, może nie twój« — i wszystko będzie inaczej... wystarczy...

Tymczasem jakieś inne słowa wychodzą z jej ust, jakby odwijała coś powoli z osłonek...

— Chciałabym wiedzieć... czy wierzyć można, jak kobieta przysięga?

Cofnął się zdumiony.

— Dlaczego mnie o to pytasz, Reno? Odłożył jej ręce od szyi i patrzył na nią uważnie z pod okularów.

— Tak...

— Może czytałaś coś, co na tobie wywarło takie silne wrażenie?

Uchwyciła się tej myśli.

— Tak jest. Czytałam. Kobieta przysięga — przed sądem...

Twarz pomarszczona Brzeziewicza przybrała wyraz surowy.

— Zwłaszcza, jeżeli przed sądem... — powtórzyła machinalnie.

— Więc musi powiedzieć prawdę?

— Naturalnie.

— I — nic, tylko prawdę?

— Ależ tak. Tak jej każe sumienie.

Rena cofała się do ściany z szeroko otwartemi oczami, trąc ręce jednę o drugą.

— Sumienie? Hm... a jeżeli ona nie może powiedzieć prawdy?

Brzeziewicz wzruszył ramionami.

— Człowiek zawsze może powiedzieć prawdę.

— Nie, nie, czasem jest tak, że kobieta nie może powiedzieć prawdy.

— Zapewne!... lecz daruj!... — tu Brzeziewicz uśmiechnął się wytwornie — takie odgraniczenie się, wyodrębnienie kobiety od obowiązków człowieka powinnoby raz ustać, zwłaszcza z chwilą, kiedy tak przebojem idziecie do owego równouprawnienia. Wszystko więc was powinno zobowiązywać w jednakowej mierze: i mówienie prawdy.

Rena dyszała ciężko. W słabem świetle świecy oczy jej błyszczały fosforycznym blaskiem.

— A jeśli, jeśli to już poszło od gruntu, od tego czegoś najsilniejszego, że kobieta znajduje się w takiem położeniu, iż nie zna sama tej prawdy, nie może jej znać, bo na oczach... natura... przepotężna... niezwalczona... no! Zresztą Bóg, czy jak... położyła jej przepaskę... to co? to co?

Brzeziewicz zaczął słuchać uważnie. Wziął

krzesło, usiadł wśród nieładu sukien i neseserów podróżnych.

— Wytłómacz się jaśniej, nie rozumiem.

Renie się zdawało, że zaczyna iść całą siłą ku jakiemuś punktowi wytycznemu w jej życiu. Równocześnie budziło się w jej duszy ostrożne pełzanie węża. Zaczęła podśmiechiwać się cichutko, jak waryatka, a raczej, jak ktoś, mający waryactwo za skórą.

— No... tak... wyobraź sobie. Takie cudowne urządzenie jakiejś tajemnicy w ciele kobiety. Ona niby arka, w której rodzi się życie. Tak czytałam! I ona nie wie nic! Nic! Skąd to życie, ten ruch, ta istota w niej. Jakie właściwie źródło! Nie wie. Szaleje, a nie wie. Tak czytałam. Czekaj! Pozwól!

Tarła ciągle ręce tak, że aż słychać było suchy łomot palców.

— I nagle każą jej przysięgać... przysięgać właśnie na to, że ona wie, czyje dziecko... rozumiesz...

Wyrzuciła te słowa i umilkła. Tyle dni, tyle nocy miała je w sobie, dławiła się niemi...

Brzeziewicz znów wzruszył ramionami.

— Widzę, że czytasz niemoralne i brzydkie rzeczy, Reno... — podjął poważnie — to źle, tyle jest powieści pięknych i zajmujących. To nie dla ciebie lektura.

— To mniejsza! To nie ma znaczenia! —

podjęła znowu — lecz powiedz ty, czy taka kobieta może przysięgać?

— Zapewne, że nie.

— A przecież przysięga.

— To źle.

— Nie. Dla niej, dla dziecka dobrze. Wygodnie. To prawo, kodeks tak jej zaufał... co? To śliczne takie zaufanie...

Znów zaczęła się podśmiechiwać. Brzeziewicz poważnie kiwał głową.

— To wynik wielkiej wiary w uczciwość kobiety — odparł — dano wam wielką przewagę. Tem gorzej dla tej, która nadużywa.

— Ach nie... tem lepiej. Bez skrupułu powie: — Wiem, czyje dziecko. Wskazuje, przysięga, bierze pieniądze, często nazwisko. Sędziowie się kłaniają. Chrystus słucha przysięgi, ona jest zadowolona, stoi na wyżynie, zdrową ma myśl, spokój w sercu...

Ostatnie słowa Rena rzuciła prawie z jękiem:

— A przecieć ona nic nie wie... nie wie... nie wie...

— Pozwól! — przerwał jej Brzeziewicz — to ustanowienie dochodzenia ojcowstwa jest dla was kobiet ochroną najwyższą. Mężczyzna nie ma prawa opuszczać wtedy dziecka, choćby pod względem materyalnym. To jedno chociaż winien kobiecie, która oddała mu swą sławę, swą wierność...

— A jeśli właśnie nie była mu wierna?

To pytanie padło nagle i zawisło w przestrzeni. Coś się wzmagało w milczeniu, które nagle zaległo pokój. Coś strasznego, stanowczego.

— Ha!...— wyrzekł wreszcie Brzeziewicz — jeśli nie była mu wierna, to już dla takiej kobiety niema nic świętego. Ona przysięgnie krzywo i będzie kłamać bez trwogi przed sądem. Taka kobieta jest pełna złych, najgorszych rzeczy, i dla niej praw nie pisano.

— A jednak ona z nich korzysta.

— Tak. Naturalnie. Tak jak korzysta ze słońca i powietrza płaz i gad szkodliwy. Dla mnie jest tem samem kobieta niewierna. Sądzę, że i dla ciebie, Reno.

Rena zakryła ręką oczy.

— I dla mnie! — powtórzyła głucho.

Nagle śmiać się zaczęła, przeciągle, lękliwie.

— Brzydko, wstrętnie, ohydnie! — zawołała głośno, zmienionym głosem.

Brzeziewicz powstał z miejsca.

— Musisz mi przyrzec, Reno, że czytać nie będziesz rzeczy, które cię tak rozdrażniają. Twoja czysta, zacna, prawa organizacya nie może zrozumieć i ogarnąć szpetoty i brudu, do którego są zdolne, niestety, pewne kobiety. Nie powinnaś myśleć o tem. A teraz idźmy spać. Jutro dokończysz pakowania rze-

czy. Jeżeli chcesz, przyniosę ci na sen Veronalu.

Skierował się ku drzwiom, zatrzymała go gestem.

— Słowo tylko jeszcze...

Zatrzymała się, nabrała oddechu i wyrzuciła ze siebie szybko:

— Gdyby, gdyby los postawił cię wobec dziecka, o którem nic nie wiedziałbyś pewnego, dziecka, które byłoby dla ciebie zagadką, tajemnicą, sfinksem, cobyś począł? Powiedz!

Zmierzyli się wzrokiem.

Jak miecz zatruty, zawisło to nad nimi obojgiem i czuli, że jedno słowo jeszcze z jej ust padnąć może, a miecz ten przetnie nić, wiążącą ich od lat tylu. Ona w jego oczy, poza migotem szkieł okularów, wbiła się swym wzrokiem i cała u tych źrenic przylgnęła. Nim wstrząsnął nagle dreszcz, jakby przed nim powoli stanął wąż uśpiony, o którego istnieniu w pobliżu, w środku swego idealnego domostwa nie miał wyobrażenia.

Była to jedna z tych chwil, które zjawiają się piorunowym zygzakiem, rozdzierają i niszczą wszystko, lecz nie wychwycone i nie przytrzymane przepadają z mocą zaklętych i gnanych wichurą urządzonego życia — bez śladu.

. . . .

Ci dwoje, nieruchomi, ta cudzołożna i ten oszukiwany ojciec-mąż, nie sięgnęli po przytrzymanie tej chwili. Przeciwnie, zaledwie ją wyczuli pomiędzy sobą, już gnali ją precz. Lecz on czuł, że musi dać odpowiedź tym oczom, wbitym w niego. To czuł doskonale. I wiedział, że odpowiedź ta musi być godna chwili i stanowcza, jak taran, a pełna godności, nasiąknięta całą przewagą szlachetności, spotęgowanej trwogą przed utratą tego, co swojem szczęściem mianował.

— Gdyby mnie los postawił wobec takiego dziecka! — wyrzekł powoli — gdyby, przedewszystkiem kochałbym je w dalszym ciągu tak, jakbym miał pewność, że jest moje. Mówię to tylko w wypadku, gdybym to dziecko pokochał gwałtownie i sympatya ta stała się drugą częścią mej duszy. I starałbym się przedewszystkiem uczynić swoją jego duszę. Dać mu każde tchnienie, każdą myśl swoją! Wtedy byłby mój rzeczywiście... mój...

Ona zaprzeczyła cicho.

— Przecież życie właściwe, to życie duchowe w zasadzie mogłoby nie być twoje... lecz innego człowieka...

— Tak, duch lecz kształt duchowy byłby mój, a to znaczyłoby więcej, Reno, i o to jedynie właściwie ojcom odnośnie do ich dzieci chodzi.

— Lekceważysz ciało...

Nieokreślony uśmiech pogardy wypełzł na usta Brzeziewicza.

— Tak, Reno. Lekceważę. Gdybyś, jak ja, wiedziała znaczenie właściwe tego zbioru tak łatwo niszczących się żądz — lekceważyłabyś je. Dbałabyś tylko o — myśl...

— A nazwisko... dałbyś takiemu... tworowi nazwisko swoje?

— Tak. Jako propagatorowi mej myśli wtedy, gdy mnie nie będzie. Uczyniłbym to prawie egoistycznie, ażeby nie zaginąć zupełnie, Reno...

Ostatnie słowo wypowiedział cicho prawie i z melancholią nieopisaną. Jakby z oddali jej dech ciężki i trudny słychać było dokładnie. Czuli oboje, że chwila ważna i stanowcza przeminęła bezpowrotnie. To, co wśród nastroju jakichś nieuchwytnych potęg zdawało się możliwe i odnosiło się do nich dwojga — ginęło zupełnie i spływało do pogadanki nerwowej o kwestyi obok ich życia.

Rena była znów tą nieposzlakowaną żoną i matką, on pewnym siebie mężem i ojcem, a dziecko śpiące tam w oddali ich dzieckiem, jedynie ich dwojga, bez żadnych tragicznych niepewności, wpełzających pomiędzy nich boleśnie i zdradziecko.

— Dobranoc! — wyrzekł uprzejmie Brzeziewicz — uśmiechając się lekko — dobranoc

Renusiu... gdybyś spać nie mogła, Veronal jest na mojem biurku...

— Dziękuję! — uśmiechnęła się z ciemni blademi usty — czuję, że zasnę zaraz...

Rozeszli się jak dwa automaty...

XVII.

Od dwóch tygodni jest Rena z Adziem w Zaleszyńcach.

Jeżeli mogła wzmódz się nędza jej psychicznej rozterki, to wzmogła się w tem środowisku. Od pierwszej bowiem chwili, od tego wysiadania z wagonu na stacyi kolei, na której czekał na nich Wende, od pierwszego rzutu oka, które sokole i gorączką przepojone wybiegło z niej na zwiady, żebrząc o tę możność rozpoznania, która miała być jej ratunkiem, Rena zrozumiała, że jest to ułuda, że tak samo Wende, jak poprzednio mąż, nie przyniesie jej żadnej pewności, nie da jej żadnej nici przewodniej, żadnej cechy charakterystycznej, która odbija się w dziecku.

Wende wydał jej się żaden, jakiś ktokolwiek, banalny i zgrubiały. Nic się w niej nie szarpnęło krzykiem: — To on! — A przecież,

gdy na chwilę pochylił się pokornie i nieśmiało nad Adziem i z bladym uśmiechem podał mu rękę, dziecko, nauczone przez Natalkę i bonę chińszczyzny ukłonów, wykonało przed swym możliwym ojcem ukłon, będący jakby parodyą ukłonu, jaki przed nim żartobliwie składał zmieszany Wende. Coś tam było z tej junakieryi stepowej, złagodzonej ogładą salonową, i jakaś obleśność w miarę, nic nie znacząca zupełnie godności duchowej.

Rena odwróciła głowę, czuła, że to za drobne, za słaba taka niteczka, że i to się zerwie, niedługo, gdy oswoi się z widokiem Wendego. Liczyła na wrażenie piorunujące, na błysk takiej pewności, że wyciągnie wreszcie ręce w przestrzeń wolna i odrodzona. Lecz nie doznała nic podobnego. I wówczas ogarnęła ją rozpacz: dlaczego tu przyjechała, dlaczego narażała się na nowe tortury, które przeczuwała?

* * *

Wende nie spojrzał na nią, gdy wysiadała z wagonu. Uciekał z oczami, cały był uprzejmością grzeczną i szablonową. Widocznie było, iż coś tam czuł, jakieś niewielkie, średnie zmieszanie, ale czemże to było w porównaniu do tortur Reny.

— On ma pewność... — myślała z niena-

wiścią, pewność, że Adzio jest jego dzieckiem. Stąd — nie cierpi, a niepokój jego jest raczej wstydem przed moim mężem, który zawsze odczuwa kochanek, grający bądź co bądź rolę złodzieja. Lecz z tych mąk, z tych cierpień, które ja przechodzę, on nie zna nic, nie wie nic...

Stali teraz obok ekwipaży, oczekujących na nich poza sztachetami budynków stacyjnych. Błękitno ubrani kozacy znosili kufry i pudła.

Brzeziewicz trzymał za rękę Adzia i znów Rena została uderzona jakiemś podobieństwem dziecka z mężem. Odwróceni byli od niej, mieli jednakowe pochylenie i wbicie nóg w ziemię. Odziani, obaj w jednej barwy długie, szare palta, zdawali się być kopią jeden drugiego: Adek w miniaturowej formie ojca. Byli tak ściśle złączeni rękami, taka spójnia była jakaś między tem dzieckiem a tym człowiekiem, że o żadnej rozłące mowy tu być nie mogło. Widoczne było, iż ta nocna scena w sypialni Reny, w przeddzień wyjazdu nie pozostawiła żadnego śladu w umyśle Brzeziewicza. Nastrój chwili wywołał jakiś cień, coś, co mignęło i znikło, odegnane może silną wolą, może samo odbiegło, gnane przez rękę przeznaczenia.

Rena czuła jedno tylko, że — nienawiść do Wendego ogarnia ją wielka i niezaprze-

czona. Czyniła go bezpośrednią przyczyną zła i nędzy swego życia. Myślała: gdyby nie on, wesoło i ufnie stałabym razem z mym mężem i naszem dzieckiem, przeciętna żona, matka...

Lecz w tej chwili, ironicznie — z głębi niej wypełzło:

— A może, gdyby nie on, dziecko to nie istniałoby wcale, nie żyłoby zupełnie. I nie mogłabyś pawić się w roli matki...

Właśnie Wende dopomagał jej do wsiadania do powozu. Uczynił to prawie niezgrabnie. Przez ciężką tkaninę angielskiego, podróżnego płaszcza odczuła dotknięcie jego ręki. Usunęła się szybko.

— Dziękuję! — rzuciła szybko.

On odparł:

— Ostrożnie. Jedna z klaczy zanadto gorąca. Szarpie.

— Piękna czwórka.

Wende rozjaśnił się.

— Rzeczywiście... Miałem z nią trochę kłopotu, ale się opłaciło.

Rena stała już w powozie. Patrzyli oboje na czwórkę klaczy, przedstawiających ideał cugowców pod względem doboru i piękności kształtów. Jednakiej maści, o trochę rudawych, lśniących ogonach, delikatne i rasowe były to konie z »duszą« i ciągnęły ku sobie, jak piękne wabne kobiety.

Mimowoli ogarniało ich »koniarstwo«, stepowość rozlewna, szeroka, ze stadem, puszczonem swobodnie lub zamkniętem w stadarni o ciepłych, specyalnych prądach, unoszących się w przestrzeni.

— A.. Szaleństwo?

— Zobaczy je pani. Piękny, ale jest to, co się nazywa nieprzyjaciel człowieka. Nawet na stadnika go użyć nie mogę.

— Ileż ma lat?

— Zaraz... urodził się w tym roku, kiedy pani była pierwszy raz w Zaleszyńcach. Lat temu... cztery.

— Nie! — odparła sucho Rena — więcej... pięć.

Oboje umilkli i odwrócili się od siebie zmieszani. Ta wizya poprzedniej bytności ciężko zawisła nad nimi. I oto zbliżał się Brzeziewicz, prowadzący Adzia.

Wsadzając dziecko do powozu, mąż Reny wyrzekł, śmiejąc się:

— Adzio jest w ekstazie! Zobaczył zblizka konie prawdziwe, nie tekturowe, rwie się do nich. Dziedziczność masz, Reno, dziedziczność po tobie... widzisz sama najlepiej.

Wende dodał głosem, który Renie zdawał się znów pewnym siebie:

— Mamy tu kucyki. Jeden chodzi pod siodłem. Adzio będzie mógł jeździć na prawdziwym koniu.

Mały, siedząc już pomiędzy Reną a Brzeziewiczem, z uwielbieniem wpatrywał się w twarz Wendego.

— Dasz? — zapytał.

— Dam! — odparł z uśmiechem miłym Wende.

— Konia?

— Ależ tak. Konia! i to cacanego. Zupełnie przypomina w miniaturze »Orłoffa..«

Mały wyciągnął przez Ojca ku Wendemu obie rączki.

— Daj! — wyrzekł, prosząc.

Brzeziewicz śmiać się zaczął.

— Cóż ty myślisz, smyku, że pan Wende nosi kuca w kieszeni?

Lecz Wende nagłym ruchem pochwycił obie wyciągnięte ku sobie rączki, pochylił się nad niemi i ucałował je delikatnie.

Rena zmarszczyła brwi i wyciągnęła już rękę, aby odciągnąć dziecko. Lecz natychmiast przyszło jej na myśl, że nie ma prawa tego uczynić, bo Wende, całując rączki Adzia, może czyni zadość popędowi krwi, idzie za głosem serca, rwącego go do syna. I nigdy może nie czuła się tak strasznie nędzną, upokorzoną, zawstydzoną, jak w tej chwili, gdy dziecko jej, wsparte z całą ufnością o kolana jednego mężczyzny, pieszczone było przez drugiego...

I obaj mogli mieć do niego równe prawa.
Prawa ojca.
Prawa życiotwórcy.
Najsilniejsze, niezwalczone prawa!

. . . .

XVIII.

Nad uchem Reny pochylona, szepce jej Jaga słodką tajemnicę.

— Wiesz, Reno!... i ja będę... mamą!

Uśmiecha się tak ślicznie, tak delikatnie, że ma pozór młodziuchnej dziewczyny, na którą padły różane płomienie słońca.

W liliowym, lekkim szlafroczku, przewiązanym w pasie wstążką, z włosami opuszczonymi na ramiona w gruby złoty warkocz, przysiadła na ławce, biegnącej wzdłuż ścian ganku, i pochyliła się nad Reną, wpół leżącą na fotelu, wieczyście stojącym na jednem i tem samem miejscu.

Ściana z wina dzikiego, już purpurowego od jesiennych słońc, tworzy tło dla tych dwóch postaci kobiecych, z których jedna zda się śmiać cała u progu życia, a druga, strawiona jakby pożarem, zdręczona, z twarzą wychudłą, z plamami oczu niepewnych,

jakby ciągle strwożonych, ma pozór tych, którzy stanęli u kresu.

— »Będę także.. mamą!«

Rena przyjmuje tę wiadomość tępo, napozór obojętnie Spodziewała się jej, czekała na nią od tych kilku dni, które bawi w Zaleszyńcach. Dziwiła się nawet, że jej nikt o tem nie mówił już dawniej. Mimo to przecież wewnątrz zdrętwiała cała. Jaga w tej chwili wydała się jej o tyle wyższą i doskonalszą od niej istotą. Podczas bowiem gdy jej, Reny, macierzyństwo było hańbą i wstydem, macierzyństwo Jagi było całe świętością, urokiem, majestatem.

Wąż oplótł serce Reny.

A Jaga mówi tymczasem słodko, serdecznie:

— Tobie pierwszej powierzam tę tajemnicę. Tobie tylko. Mężowi nawet jeszcze nie powiedziałam Nie wiem dlaczego... coś mnie krępuje.

Rena milczy.

— I wiesz, pragnę gorąco, gorąco... córki. Synka nie chcę. Wolę mieć dziewczynkę. To przytulniejsze, dłużej przy matce. Prawda? Choć taki Adzio to także pociecha niemała. Patrz, jaki dzielny, siedzi tak śmiało na swoim kucu. Czesiek nadziwić się temu nie może.

Dookoła klombu, na czarnym kucu, o dłu-

gim puszystym ogonie, który miał rzeczywiście pozór miniatury »Orłoffa«, tych koni dziarskich, rozpuszczonych, apokaliptycznych, Adzio objeżdżał stępo z nadzwyczaj seryo i skupioną miną.

Kuca prowadził Hryńko, niewielki wyrostek w kozackiej liberyi. Dziecko zdawało się być zrosłe z koniem. Widocznie było, iż naśladuje sposób trzymania się na siodle Wendego. Złote plamy słoneczne słały się pod kopyta konia razem z liśćmi, wirującymi od czasu do czasu w powietrzu

— Powiem ci, Reno, jakie mam marzenie... — ciągnęła Jaga, usuwając się prawie do kolan milczącej Reny. — Oto chciałabym mieć córeczkę śliczną, dobrą, milutką, wychować ją i — i zgadnij...

Przechylała wdzięcznie główkę.

— I... wydać ją za... no... zgadnij...

Ujęła ręce Reny pieszczotliwie, uroczo.

— Za... Adzia! — dokończyła wesoło.

Rena cofnęła się gwałtownie.

— Co? jak?... — zapytała chrapliwie.

— Za... Adzia. Ty wiesz, najlepiej łączyć się tak w rodzinie. Są tacy, którzy mówią, że to źle — ciągnęła z nieporównaną, a czarującą głupotą — co może być w tem złego? Najlepiej byłoby, ażeby nasze dzieci się pobrały i znów osiadły w Zaleszyńcach. Co?...

Wydaje ci się to niemożliwe? Patrzysz na mnie tak dziwnie!...

Odsunęła się instynktownie od kolan Reny. Ta, wyprostowana, z palcami wbitymi w poręcze fotelu, odparła sucho:

— Tak. To niemożliwe.

— Ale dlaczego?... dlaczego...

Rena żachnęła brutalnie:

— Tworzysz projekty, tyczące się dzieci, i to jednego, które jeszcze nie istnieje...

Na twarzyczkę Jagi padł cień.

— Jakto nie istnieje?... ja wiem...

Lecz Rena przerwała jej gwałtownie:

— Nie wiesz nic! Nie możesz wiedzieć. Jesteś ślepa, jesteś skazana na to, ażebyś była biernem narzędziem, siłą podrzędną, rozumiesz? podrzędną. Nie masz z czego być tak dumną. Wierz mi. Rola nasza jest marna i nędzna. Wola nasza jest bezsilna... wola kobieca... pojmujesz? Ziemia, która rodzi ziarno, ma bliższy i większy w tem współudział, niż my, rodzące dzieci... Pojmujesz?

Szeroko rozwarł się błękit oczów Jagi ku płonącym ogniem źrenicom Reny.

— Lecz...

— Ach nie mów nic. Wszystko, co powiesz, będzie marne i bez podstaw. Co wiesz o tem dziecku, które nosisz w łonie? Co wiesz? Choćby czyje ono?...

Jaga cofnęła się zupełnie. Pozostała wszakże na klęczkach.

— Jakto czyje?... mego męża!

Ton wielkiej prostoty, prawości, z jakim wymówiła te słowa, oprzytomnił Renę; zdawało się jej, że ta słodka, łagodna kobieta, klęcząca naprzeciw niej, wymierzyła jej policzek. Potarła czoło rękami i zapadła w nieprzyjazne milczenie.

Tymczasem dokoła klombu dały się słyszeć wesołe okrzyki. Wende ukazał się i zachęcał Adzia do szybszej jazdy. Jaga porwała się z ziemi.

— Czesiek powrócił. Trzeba się zająć podwieczorkiem!

Pobiegła w głąb domu, powiewając lekką tkaniną swej liliowej szaty. Pozostał po niej delikatny zapach saszetek fijołków, które miewała zaszyte na karku. Wende zbliżał się do ganku.

— Jagienko! — wołał — Jagienko!

Lecz nie zatrzymała się. Rzuciła mu tylko w przelocie:

— Czasu nie mam! Czekaj tu na mnie...

I znikła.

Wende stał jakby zmieszany. Od chwili przybycia Reny nie został z nią ani minuty sam na sam. Oboje unikali takiej chwili. Teraz, gdy Brzeziewicz odjechał, a Jaga podczas nieobecności matki, bawiącej w Nerwi

na »Nachkurze«, musiała zajmować się drobiazgami gospodarczymi, chwila ta nadejść musiała i nadeszła.

I oto są oboje naprzeciw siebie, na tym ganku, na którym przed laty tak często Rena oczekiwała przyjazdu Wendego lub, zbiegając ze stopni, wskakiwała ruchem pełnym gracyi do jego wózeczka po to, aby jechać w dal szumiących zbóż lub traw szmaragdowych.

Wende coś także musiał przeżuwać w głębi swej istoty, bo oto krągła i czerstwa twarz jego zasępiła się i stała się prawie pełną jakiegoś wyrazu.

Powoli osunął się na schodki kamienne i usiadł na nich, nie wypuszczając z ręki czapeczki sportowej, którą przed chwilą zdjął z głowy. Patrzył ciągle na Adzia, który rozpoczął znów objeżdżać na kucu klomb. Rena zasunęła się w swój fotel i milczała także.

Gwałtowna, a niespodziewana scena, jaka przed chwilą wybuchnęła pomiędzy nią i Jagą, wyczerpała ją. Po raz pierwszy może Rena dała tak jawnie upust trapiącym ją myślom. — Po raz pierwszy posłyszała ten zgrzyt, który dobywał się z jej wnętrza na wolność i bił taranem o coś niewinnego, siejąc trwogę i niepewność dokoła.

Rena teraz już nie miała na chwilę sił do wyczerpywania się, tem bardziej, że zaczynała

ją ogarniać jakaś melancholia słodkich popołudniowych chwil jesiennych, przepojonych zapachem ziemi i zaczynających butwieć liści...

Z oficyn wyszła powolnym krokiem Tatyana i, podszedłszy do klombu, usiadła na brzegu pomiędzy całą masą astrów liliowych i różowych, o delikatnych, jakby spłukanych tonach.

Odziana w swe białe płótna, siwa już zupełnie, z twarzą spaloną Madonny, wlepiła oczy w Adzia, założywszy ręce właściwym sobie ruchem pod piersiami.

Kuc stąpał cicho po piaszczystej drodze, daleko bardzo, koło kuchni, ktoś rąbał drzewo.

Cisza była tak wielka i tak doskonała, że ani jedna gałązka nie zaszemrała na drzewach.

Dobrobyt i dobra myśl zdawały się mieć swoje siedlisko dokoła tego białego dworu.

Rena przysłoniła oczy nawpół rzęsami i chłonęła w siebie ten spokój o rodzimych barwach i tonach. I nagle opłynęła ją od tak dawna nieznana cisza wewnętrzna, uspokajały się w niej i stygły płomienie ją żrące. Roztopiła się w jakimś błękicie. Czuła, że jest to sztuczne, że jest to chwilowe nalecenie poszumu jakichś kojących skrzydeł, lecz tak była zbolała, iż nawet ta sztuczność ukojenia wystarczała jej i ciągnęła całą siłą.

Milcząc wciąż... zaczęła snuć marzeń całą sieć. Przez wpół przysłonięte rzęsy dostrzegła postać Wendego na tle białego filaru, zarys jego głowy, lśniącą linię włosów, biel czoła, odcinającego się ostro od ciemnej barwy twarzy.

W tej chwili nie wydał się jej dalekim i wstrętnym, przeciwnie. Na ustach jego wykwitał dobry, przychylny uśmiech.

Przed gankiem powoli na grzbiecie kuca nadjeżdżał Adek. Dziecko uśmiechnęło się także, i wyraz jego usteczek zdawał się w tej chwili powtarzać wyraz ust Wendego. Nic w tem nie było z grymasu Brzeziewicza. Lecz Rena nie o tem myślała w tej chwili. Wyzwoliła się, jakby nie była sobą...

Ten mężczyzna, siedzący prawie u jej stóp, mężczyzna, z którym tak blizko była przecież związana — to śliczne dziecko, rozwijające się, jak kwiat, ten dom, spławiony w jesiennem słońcu, dom ukochany i rodzinny, ta biała postać chłopki, nieruchoma na tle astrów liliowych, wszystko to tworzyło nastrój, tak bardzo z Reną złączony, iż zaczęło się jej zdawać, że to właściwie ona, Rena, jest tu Jagą, jest tu żoną, matką, gospodynią, panią tych miejsc ukochanych. I nigdy może nie uczuła w sobie takiego połączenia życia ludzkiego z życiem napozór rzeczy martwych, takiego miejsca równomiernego, jak Zaleszyńce

zajmowały w tej chwili, w jej duszy z ludźmi, którzy tworzyli świat jej blizki.

— Mój mąż, moje dziecko... nasze dziecko, mój dom! — myślała.

Tę chwilę była dobra, łagodna, spokojna. Dyszała nią i wżywała się w rozkosz takiego wielkiego, czystego spokoju i pewności szczęścia o domowych konturach.

— Mój mąż, moje dziecko!... mój dom!...

Nagle drzwi się otworzyły i tanecznym krokiem wysunęła się Jaga.

— Na podwieczorek!

Zbiegła ze stopni i usiadła za mężem. Natychmiast gestem posiadania zarzuciła mu na szyję ręce i przytuliła się do jego ramion.

Czar prysnął.

Rena pobladła i wyprostowała się. W tej chwili Wende spojrzał na nią. Musiał inaczej wytłómaczyć sobie zmianę jej twarzy, bo odsunął się od żony.

— Chodźmy! — wyrzekł i pobiegł, aby zdjąć Adzia z kuca i wprowadzić do jadalni.

Jaga namawiała Renę, aby z nimi poszła.

— Nie, Jago! — mówi Rena — zostaw mnie, jeść nic nie będę. Po co mam iść z wami? W jadalni duszno. Zostanę tutaj.

Za chwilę Jaga i Wende, prowadzący Adzia, wchodzą do wnętrza domu. Rena wiedzie za nimi tępym wzrokiem. Mały uczepił się ręki swego domniemanego ojca tak, jak przedtem

czepiał się ręki tamtego drugiego przypuszczalnego ojca. I tak, jak był podobny do Brzeziewicza, gdy szedł w długiem szarem palcie i czapeczce podróżnej na wzór ojcowskiej tak obecnie, w bucikach, spodenkach szarych i kurteczce, najzupełniej był kopią Wendego.

— Straszne... — myśli Rena — straszne! I co gorsze, to jest to odczucie, że i duchowo dziecko to najdoskonalej zaczyna się spajać i przystosowywać do Wendego. Gdyby dłuższy czas był tak obok męża Jagi tu, w Zaleszyńcach, oddany Wendemu pod wpływ i kierunek, Rena czuje doskonale, że ta »spójnia«, tak ceniona i wysoko stawiana przez Brzeziewicza, ten »kształt duchowy«, który padł płomienną inwokacyą w nocną ciszę, rozpylał się, stawał się niczem.

A natomiast powoli wyrastał zupełnie inny »kształt duchowy«, czerpany z innych źródeł, z równą siłą, jak tamten...

Renie zabrakło sił. Przez tych kilka dni wyczerpywała się do reszty. Odziewała się, chodziła, uśmiechała, starała się przystosować do ludzi, żyjących swobodnie i bez troski.

Bodźcem jej tu głównie była trwoga, aby Wende nie wyobraził sobie, iż to jego małżeństwo i widok jego pożycia z Jagą tak na nią działa.

Lecz sił tych była w niej zaledwie okruszyna. Odżywiając się do tej chwili kosztem

tłuszczu i muskułów, dobrała się do swych nerwów, i te jej zupełnie już starczyć nie mogły. Zaczął się w niej taniec piekielny, i oto myśli jej, chęci, wszystko zawirowało w niej potwornie w to popołudnie czarowne.

— Już nie wiem... już nie wiem... — powtarzało w niej coś mechanicznie — już nie wiem...

Coś jakby zaciemniało przed nią. Cicho, jak cień, po strudze niknącego słońca przebrała się ku niej Tatyana i stanęła przed nią.

— No... co? no co, serce? duszko? — spytała, patrząc wybladłemi od spalonych namiętności oczami w twarz Reny.

Ta wyciągnęła rękę, jak ślepiec.

— Taniu! Taniu!..— czaiło się za jej wargami.

— No co? — powtarzała chłopka.

— Taniu! — krzyknęła nagle Rena.

I to nie był krzyk. To był chrapliwy jęk śmiertelnie ranionego zwierzęcia, które już straciło wszystką krew i czuje, że się gangrena jego zwłok czepia, a ono żyje jeszcze, żyje i sił nie ma, aby żyć przestać.

Tatyana przecież pochwyciła rękę Reny.

— Cyt, baranku... a to posłyszą.

Renie zęby drżały.

— Niech... niech...

— A no, nic. Po co? Nie trzeba. Cóż?

Chodzi ci o niego, że się ożenił?... Wiadomo... podłe ot!... chłop.

Rena rzuciła się.

— Nie to, nianiu! nie!...

Tatyana ramionami wzruszyła.

— Ale... gadaj komu innemu, nie mnie. Ja to myślałam zaraz, jak się to żenienie postanowiło. Cóż ty myślisz? Tatyana głupia. Ja wszystko zrozumiałam i wyczułam, jakeś tu pierwszy raz była. Tylko co mi dziwne, to, że ja się na nim zawiodła.

Zniżyła głos. Zbliżyła się do Reny tak, że słowa jej gorące biły prosto, cicho w twarz młodej kobiety.

— Ja myślałam... — ciągnęła — że to porządny pan, co przynajmniej po swoich gniazdach spokój zostawi. Ale dzie! Taże on wtedy, jak niby z tobą, to też i z tą Melańką Kozaka się wdawał. I po nim jest także ten mały. No... żeby tak pani młoda wiedziała. Ciężkoby jej było. Bo to dobre, niewinniutkie. Ona też życia nie zna. Myśli, że już tak od młodości Czesio był w nią wkochany i nie wie, że takiemu to latanie się należy...

Rena oczy w mówiącą wlepiła.

— Kozaka, mówisz? — spytała.

— No tak. Z tej chaty modrej, co ją widać z tamtej strony domu, z ganku. Melańka, ot taka sobie. My tam nigdy nie myśleli, że to co jest, bo krył się porządnie.

— I... dziecko jest?

— A jakże.

— Syn?

— Aha.

Rena zaczaiła się nagle, jak zwierz w zasadzce.

— Do ojca podobny?

Tatyana uśmiechnęła się.

— A jakże. Wypisz, wymaluj. Ładne dziecko. Ładne!... Sprawiedliwie.

Renie usta wykrzywiały się złym śmiechem.

— A... może to nie jego?

Tatyana pokręciła głową.

— Nie. Melańka durna, kołowata. Ale co, jak co. Nie latawica.

Rena podśmiechiwała się.

— No... w tem grzechu niema. Nawet to zabawnie, Taniu. Dwóch ojców! I przedstaw sobie, Melańkaby sama nie wiedziała czyje. Co? Zabawne?

Wyraz twarzy Reny był tak straszny, tak dziwny, oczy jej miały tyle obłędu poprostu w sobie, że Tatyana się aż cofnęła.

— Bóg z tobą, Reniu... ta ty chora? pójdź, połóż się!...

Rena odtrąciła gwałtownie od siebie rękę niańki.

— Ja? Co znowu? Jestem zupełnie zdrowa. A dlatego wmawiacie we mnie chorobę, że

ja jedna znam prawdę i zapatruję się na kolej życia tak, jak ono jest istotnie. Jeszcze niedługo, a powiecie, że jestem — waryatka!

Jakieś resztki krwi oblały jej twarz.

— Waryatka!... — powtórzyła, przyciskając dziwnie na zgłoskach.

Tatyana skierowała się ku drzwiom.

— Zostań! — wycharczała Rena — zakazuję ci wołać kogokolwiek.

Tatyana zatrzymała się bez ruchu i patrzyła z trwogą na bladnącą powoli i stygnącą prawie twarz Reny.

Z poza winogradowych liści przedzierała się złotawa, delikatna barwa jesiennego zachodzącego słońca.

Rena, przechylona na fotelu oddychała ciężko, wreszcie zdawało się Tatyanie, że uspokoiła się zupełnie.

Wówczas chłopka nakreśliła krzyż zdaleka i cofnęła się cicho z ganku, zdążając powoli w stronę zabudowań gospodarczych.

. . . .

Wieczorem Rena siedziała czas jakiś przy stole w jadalni i piła razem ze wszystkimi herbatę. Była bardzo blada i miała głęboko wpadnięte oczy. Wodziła niemi trwożliwie po obecnych i zdawała się śledzić z pewnem zajęciem Jagę, która na rogu stołu zajęta była

porządkowaniem kartek korespondencyjnych, których niezliczone ilości miała w posiadaniu. Na sofie, na owem miejscu, które zdawało się do tej chwili nosić odcisk drobnego ciałka Reny z czasów jej dziecięcych, spał Adzio, wyczerpany swą jazdą konną i ruchliwością wiejskiego życia.

Wende w drugim pokoju z rządcą konferował nad gospodarskiemi sprawami.

W sieni kucharz oczekiwał już od godziny na dyspozycyę obiadową i rozmawiał półgłosem z chłopcem kredensowym, ustawiającym w szafie szklanki.

Cichy spokój, tchnący dobrobytem i ułożonem dokładnie istnieniem, opadał zwolna, jak ptak wpółsenny.

Rena przez mgły czuła dobierające się do siebie jeszcze dopełnienia obrazów; dziecko Wendego i Jagi, spoczywające zamiast Adka na sofie, a samą siebie wraz z dzieckiem wygnaną gdzieś het na rozłogi, na ścierniska, na pola czarne, beznadziejne, jak paszcza rozwarta dla wchłonięcia jej błądzeń rozpacznych i nieprzestannych.

Porwała się od stołu, dźwignęła, jakby ktoś śmignął ponad nią rózgą rozpaloną i gnał ją już teraz poza progi tego cichego domu...

— Chodź, Adziu! — zawołała zmienionym, nienaturalnym głosem.

Szarpnęła dziecko za rękę.

Jaga powstała szybko.

— Zostań jeszcze trochę! wcześnie.

— Nie.. muszę...

Dziecko, strącone brutalnie na ziemię, opierać się zaczęło. Rena zacisnęła kurczowo palce, wykręcając tę drobną ciepłą rączkę, którą chwyciła. Czuła, że popełnia podłość, a przecież w niej aż coś chichotało, łaskotana zbrodniczą chęcią wyłamania tej ręki. Opamiętała się pod przerażonym wzrokiem Jagi.

— Ależ, Reno!...

Puściła dziecko. Śmiech porwał ją, który zdawał się unosić ją na skrzydłach.

— Co? co? co? — rzucała w tym śmiechu. Bolało ją bezdennie serce, rwała się w niej cała sieć nerwów wzdłuż kręgu, łaskotały ją szalone szpony na karku, Jaga przyklękła koło Adzia, który cicho płakał.

— No... no... nic... nic!... — pocieszała go cichutko — pójdziesz lulu!...

Przechyliła się w stronę Wendego.

— Czesiu! proszę cię!

Na progu ukazał się Wende.

— Może odprowadzisz Renę z Adziem do oficynki?

— Ależ najchętniej!

Zwrócił się ku żonie.

— A ty nie idziesz?

— Nie. Muszę wydać dyspozycye.

Do tej chwili Rena szła jeszcze »za widna« do oficynki, w której wraz z dzieckiem mieszkała.

Wende pochylił się ku Adziowi.

— No... chodź.

Dziecko uczepiło się szyi Wendego, tym samym ruchem, z jakim kryło się w ramionach Brzeziewicza przed surowością Reny.

Podłe... podłe.. — bełkotało coś w głębi Reny — łasi się tu, tam, podłe... bez instynktu... podłe...

Skierowała się ku drzwiom. Czuła, że zacznie lada chwila krzyczeć to, co w niej wyje...

Jaga dogoniła ją i szepnęła, całując:

— Za surowa jesteś dla Adka, Reno! Wierz mi... nie trzeba...

Rena wyrwała się jej. Wende już szedł powoli przez dziedziniec, ku oficynie, której oświetlone okna przysłaniał, jak dawniej, winograd.

Światła kandelabrów migotały z poza drobnych szyb. Rena przeżyła w jednej chwili cały szmat swego cudzołożnego istnienia...

Stanęli u drzwi oficynki. Wysunęła się bona i odebrała Adzia Wendemu...

Ten mimowoli przycisnął rączkę sennego malca do ust.

— Dobranoc, Adziu! — wymówił jakoś łagodnie i miękko.

Mały bezwiednym, sennym, leniwym gestem podał mu do pocałunku twarzyczkę.

— Dobranoc, tatusiu!... — wymówił z zamkniętemi oczkami.

. . . .

Słowo to padło czyste, bezwiedne, dziecięce, jak modlitwa pierwsza, i rozpłynęło się po wilgotnej ciemni jesiennej, bogatej w uroki nocy.

Słowo to wydarło się z głębin ludzkiej istoty i tragicznie, rozpacznie zadźwięczało, jakby ktoś trącił w ściszoną gwałtem i zmuszoną do milczenia harfę.

. . . .

Bona uniosła śpiące dziecko.

Rena pochwyciła drżącą ręką splątane gałęzie dzikiego wina i w ciemności przebijała wzrokiem twarz Wendego. Rozszalały się w niej demony rozpaczliwe zła, i to słowo Adzia zakłębiło je, jak stado wężów wśród wpół zaschłych i wpół gnijących liści.

— Słyszał pan? słyszał pan?... — zaczęła przez zaciśnięte zęby — słyszał pan?...

On cofnął się trochę na drogę i wyrzekł z zakłopotaniem:

— Nic... co?...

— Adzio nazwał pana... tatusiem...

— Na Boga...

— Co? co?... boi się pan? Ale to bezprawnie. Panu się ten zaszczyt nie należy.

— Pani Reno!

Pod chrzęstem łamiących się gałęzi w konwulsyjnie wijących się rękach Reny ginęły całe kępy purpurowych, miedzianych liści.

— To jest... mówię... może!...

— Co? może?...

— Może się panu nie należy.

— Ja pani nie rozumiem.

— Naturalnie. I nie zrozumie pan nigdy. Ja siebie także nie rozumiem. Zginę, a nie zrozumiem. Zginę! Pan wie? I może jeszcze kto...

Wende obejrzał się trwożnie.

— Pani jest chora! Ja zawołam Jagę...

— Nie! niech się pan nie waży.

— Jakiś środek uspokajający.

Wybuchnęła śmiechem.

— Czego?

— Coś.. na nerwy.

— Właśnie. Na te nerwy! O to chodzi. Ściągnąć je na czas jakiś, aby milczały. I przez nerwy, mózg, serce... sumienie. To głównie.

Zatrzymała się chwilę, dysząc ciężko.

— »Tatusiu« panu powiedział... »Tatusiu!...«

Czuła, że jeszcze chwila, a rzuci mu w twarz całą swoją hańbę, całą swą tragedyę i stanie się w jego oczach nędzną, podłą, skalaną, gorszą sto razy od tej Melańki Kozaczki, której dziecko nosi przynajmniej niezaprzeczone piętno jego ojcowstwa.

Porwała się.

— Puść mnie pan!... — krzyknęła.

I pobiegła w sad, w ciemnię, w ciszę.

* *
*

Wende stał chwilę, chciał iść za nią, ale lękał się tej rozszalałej kobiety, której zdenerwowanie biło ku niemu prądami, jakby ktoś odtrącał go i szarpał niewidziałnemi szpony. Lękał się jakiejś sceny, któraby mogła wyjawić ich poprzedni stosunek. Nie życzył sobie tego wcale. Nawet był szczerze niezadowolony, gdy dowiedział się, że Rena z Adziem ma przyjechać do Zaleszyniec. Nazywał to w myśli brakiem taktu. Pokrywał jednak swe niezadowolenie wielką kurtuazyą i pozorami grzeczności. Obecnie rozdrażnienie Reny kładł na karb zazdrości i podrażnienia dumy dawnej kochanki.

— Zapewne... — myślał — sytuacya jej nie jest przyjemna. Ba!... ale po cóż sama w nią weszła? Mogła była nie przyjeżdżać. Zresztą powoli się przyzwyczai do tego stanu rzeczy.

Westchnął.

— Daj, Boże, jak najprędzej.

. . . .

I, zapaliwszy papierosa, poszedł schronić się do małżeńskiej sypialni.

XIX.

Ledwo brzask, Rena podniosła się z łóżka, na które padła ubrana, i tak leżała w pół śnie, w pół jawie. Sny, które na nią napadły, ciągną się jeszcze w jej mózgu. Nieledwie ma je przed oczami. Sny to straszne i krwawe. Ciągle widzi siebie, niosącą jakieś zgony, depcącą po martwych ciałach, topiącą swe ręce w rozpływającej się trupiej mazi. I huk bezustanny towarzyszy tym wizyom, huk, jakby mający swe siedlisko w tyle jej głowy, dobierający się do wnętrza jej mózgu całymi prądami.

Głód czuje zwierzęcy chwilami i znów z sił opada, nie pragnie nic, po to, aby podnieść się podniecona z krzykiem, ukrytym w szczękach, jak gniazda uśpionych gadzin.

— Pójdę... zobaczę tamto dziecko!... — postanawia gwałtownie, przedzierając swą myśl przez ten huk i łomot, wypełniający jej głowę.

Chce się uczepić jakiegoś działania, czegoś, coby jej dało punkt wytyczny postępowania, jak »wszyscy ludzie«,. bo czuje, że ruchy jej stają się bezładne i od woli jej niezależne.

Świece w kandelabrach drgały oddawna, napełniając pokój nieznośnym swędem. Ona tego nie czuje. Wysuwa się z pokoju do sieni. Jest zmieniona bardzo. Dwie silne bruzdy zarysowały się od nosa ku brodzie. — Nieuchwytny wyraz jakiejś trupiej starości bije od jej twarzy.

Coś tam przeziera z tego, co grób ma w swojem wnętrzu, co grób ma i ta walka jakaś rozwichrzona, straszna, resztek nocy i siły życiowej, którą zagarnęły w posiadanie upiorne wiry przeznaczenia.

W sionce zatrzymała się chwilkę Rena. Za drzwiami śpi w osobnym pokoiku pod dozorem bony Adzio!

Z pod brwi zsuniętych oczy Reny przebijają drzwi. I jakaś nienawiść, coś strasznego gnieździ się w tych nawpół przysłoniętych źrenicach. W tej chwili Rena nienawidzi w Adziu męża i kochanka. Nienawidzi swój brud i cudzołóstwo podwójnie, bo oszustwo męża i kochanka w jednej mierze.

— To... egzystuje... to... — snuje się jej krwawą nicią po mózgu.

Ktoś idzie od dworu. Jakaś dziewczyna

niesie Adzia sukienki. Rena resztą woli prostuje się i przybiera postać kogoś, kto wstał wcześnie i chce przejść się w ciszy porannej po sadzie.

— Sława Bogu! — mówi nawet po komedyancku z uprzejmością wielką.

Wychodzi na dziedziniec. Wiatr powolny, lecz chłodny kłoni ku niej szeregi liliowych astrów.

W sypialni Wendów zapuszczona duża, szara stora. Przez nią przebija się drobne światełko nocnej lampki.

Rena idzie drogą ku wsi. Chwilami zatacza się, jak pijana. Widzi w oddali na sino pomalowaną chatę, tonącą w bukietach pożółkłych drzewek. Ku tej chacie przebiera się powoli i jakby zahypnotyzowana.

— Zobacz... porównaj... — tłómaczy sobie resztkami przytomności.

I nagle porzuca drogę, zaczyna iść na przełaj, przez szmaty łączek i pnie się ku górze kamienistej i szutrowatej.

W chacie dojrzała jakiś ruch. Jakaś kobieta wyszła i zawiesiła na płocie kilimek o krasnych barwach. Renie zdaje się, że widzi także jakieś dziecinne postacie, kręcące się na tle płotu. Przyśpiesza kroku. Nie czuje, iż nogi jej zupełnie przemoczone na łące, ociekają wodą i błotem. Z trudnością pnie się ku górze. Wreszcie dostaje się przed

samo obejście Kozaków. Kobieta, stojąca za płotem i filozoficznie patrząca w niebo, przenosi wreszcie swe tępe spojrzenie na Renę. Dziwi się, ale mało. Jest to brzydka, płaska twarz, lśniąca i pokryta na górnej wardze żółtym meszkiem. Nos wpadnięty, czoło wypukłe, obramowane obrzydliwemi pasmami rzadkich, lśniących włosów.

Rena opiera się o płot.

— Wy jesteście Melanka Kozakowa?

Dziewka z pewną uniżonością kiwa okrągłą głową.

— Tak?...

Rena przygląda się chwilę szkaradnej postaci w szarej beżowej sukni, rozdętej w spódnicy, ściśniętej krotkim kaftanikiem w piersiach.

Nieopisana wzgarda nie dla tej kobiety, lecz dla Wendego wypełnia jej serce.

— Macie dziecko? Gdzie ono? Pokażcie mi je!

I Rena ściska w kieszeni portmonetkę, gotowa rzucić ją w twarz Melance, aby przełamać jej opór, na który jest przygotowana.

Lecz Melanka kurczy się pokornie, podciąga nosem i, pokazując palcem, mówi wreszcie:

— O, dzie!

Wzrok Reny, jak zgłodniały sęp, biegnie w tym kierunku.

Milczący, zapatrzony w obcą panią, stoi tam wśród jesiennych burzanów mały chłopak, w zbyt szerokich spodeńkach, przewieszonych na jednej szelce na brudnej koszuli. Jest bosy i ma twarz nie umytą. Musi cuchnąć odstręczająco, i włosy jego zdaleka czernią się jakąś wszawą skorupą.

. . . .

Lecz jest to Wende. Tak! jest to Wende. Jest to ten »dalszy ciąg« istoty Wendego, prawdziwy i niezaprzeczony. Nie jest to owo powinowactwo ducha, bo ciało tu wzięło taką górę, tak zgniotło poprostu dowodami materyalnymi przypuszczalność domysłów duchowych, że niktby nie śmiał zaprzeczyć, patrząc na dziecko Melanki — ojcowstwa ze strony Wendego.

Te same kształty głowy, trochę podłużnej, a czyniącej wrażenie okrągłej, czoło trochę szerokie i kształtne, ujmujący zarys podbródka już pełnego i karku cokolwiek pochylonego, zdrowego i silnego, o kilku mocnych fałdach. Dalej wyraz ust — czajenie się w kącikach — później oczy gwiaździste, dobre i ciche. I te ramiona, cokolwiek w górę wzniesione, cała postać bojka, harda, a przecież złagodzona uległością niewyznaną...

To był... syn Wendego!...

I Rena, chciwie wpatrzona, w pierwszej chwili rozgorączkowana, niewyraźna, czuła, jak zamiera w niej, zastyga wszystko. Nic tam wyłowić stanowczego nie mogła, nic, coby doskonale przypominało jej Adzia.

To dziecko stanowiło swój odrębny świat, który promieniował z niego silnie i niezaprzeczenie, łącząc się nierozerwalnym łańcuchem z tym, od którego pochodził.

Adzio był także istniał, ale Rena nie mogła, nie była w stanie odnaleźć żadnych cech wspólnych pomiędzy swoim synem a synem Melanki.

Natomiast wypełzał ku niej ogromny, hańbiący wstyd i zaciskał się koło jej serca w straszny, potworny sposób.

Rena patrzyła na szafirowe ściany tej chaty, w której wyrosła Melanka z poczuciem swej wierności i godności kobiecej, nie dozwalającej jej przechodzić z objęcia jednego mężczyzny w objęcia drugiego tak, jak to ona uczyniła przed laty.

— Durna... ale nie latawica... — powróciły jej na pamięć słowa Tatyany.

Zgarnęła swe spojrzenie ku stojącej wciąż za płotem Melance. Szpetna, nędzna, głupia. Ordynarne połączenia, płaska twarz i owianie jakąś bezbrzeżną niewiadomością rzeczy pięknych i kulturalnych. A przecież, o ile doskonalsza, potężniejsza, wyższa od

niej, od Reny, czystsza w swem macierzyństwie, w ktorem była wierna i świadoma...

Rena cofnęła się w głąb siebie, zwinęła się prawie fizycznie i moralnie. Patrzyła jeszcze chwilę na Melankę, gasła spojrzeniem, które stawało się szklane, dziwne, grozy pełne.

I powoli odczepiła ręce od płotu i odeszła, wlokąc za sobą suknię, odeszła ciężko, błądząc zygzakiem wśród mokradeł.

A z pod jej stóp wytryskała z cichym, tajemniczym szelestem woda.

Bez promieni, bez światła, bez ciepła wstawało coraz silniej jesienne słońce nad Zaleszyńcami. Renie chwilami zdawało się, że wkracza ona w środek jakiejś krwawej poświaty, która u nóg jej się ściele. Otwierała szeroko usta, jakby chciała wypić tę krew, i znów wszystko dokoła niej blakło, nikło, stawało się żadnem, martwem. A co najgorsza, już przeżytem i znanem. Z bólem jakby rozpalonego noża w ośrodek serca wdzierało się w nią to rozpaczliwe uczucie i ginęło nie dokończone, zmarnowane w swym bólu.

Rena jęczała co chwila głucho, i z koronek jej odzieży wisiały dokoła jej szyi strzępy, na które spadały roztargane włosy.

. . . .

I nagle — poza kępą jałowców Rena natknęła się na jakąś ciemną postać mężczyzny. W pierwszej chwili nie mogła rozpoznać, kto to był właściwie. Stanęła z rękami wtulonemi na piersi i patrzyła szeroko rozwartemi oczami, z których popłynęły strugi łez.

— Kto? co?...

Był to Wende, który szedł do nowo budującego się młyna. Cofnął się, przerażony tak niespodziewanem zjawieniem się Reny, jak i jej strasznym, tragicznym wyglądem.

— To... Pani? tu? o tej porze?

Poznała go. Wyprostowała się, chciała coś odpowiedzieć, nie mogła znaleźć słów odpowiednich. Wszystkie uciekły w głąb jej mózgu i tam zbiły się, jakby stado ptaków. Wende chciał umknąć przed tą wizyą, której grozę wyczuwał z wbitych w siebie źrenic. Obejrzał się dokoła: byli tylko dwoje na szarej płaszczyźnie.

Wyobraził sobie, iż zna przyczynę jej rozpaczy. Tak, nic innego. Kocha go jeszcze! Nie jest w stanie pogodzić się z tą myślą, że on należy do innej. Już wczoraj wieczór...

— Pani Reno! — zaczął, gryząc usta — ja... proszę mi wierzyć, nie przypuszczałem, że pani to weźmie w ten sposób, sądziłem, że jestem pani obojętny...

Ona milczała; tylko, ścisnąwszy usta, wpa-

trzyła się w niego z takiem skupieniem, iż zdawało się, że cała we wzrok się zamienia.

— Takie usta... — wyszeptała wreszcie — takie... same...

I nagle jękła przeciągle i zasłoniła oczy.

— Albo nie, nie...

Wende pochwycił ją za ręce. Gięła się, zdawało się, że upadnie.

— Reno! Błagam cię, opamiętaj się! Już się stało. Ożeniłem się, pogódź się z tą myślą... inaczej być nie może...

Odsunęła ręce od twarzy i ukazała mu oblicze tak wielkiej, nadzwyczajnej piękności, do jakiej są zdolne twarze ludzi, zapadających w mrok szaleńczy na wieczne czasy.

I z wielką, dziwną pogardą odeszła w szarą, chłodną przestrzeń, unosząc ze sobą gasnące swe oczy, cudowną swą twarz, po której pełzały resztki świadomych, stygnących łez.

. . . .

W południe Rena znalazła się koło stajen dworskich. Uczepiła się belki przy wejściu i patrzyła w ciemną głąb, gdzie szczękały łańcuchy i biły kopyta. Coś zbladłe jej wargi szeptały jakby, to znów milkły. Patrzyła z pod powiek, ściągniętych nieufnie i zdradziecko.

Młody chłopak, ledwo odziany, siodłał ślicznego konia o dziwnej, niezwykłej maści.

Z głębi stajen słychać było głos stangreta:

— A ty zostaw »Szaleństwo..,«, już ani ty, ani nikt do niego niech się nie czepia...

Chłopak, porający się koło konia, odpowiedział bojko:

— A odże jak chcę, to na nim pojadę. Ja mu, didkowi, po łbie, i skotina mnie słuchać musi!

Pod delikatną skórą konia migotały drżące żyły. Całe zwierzę mieniło się i drżało. Oczy, krwią nabiegłe, utkwiło w Renę, a ona ten wzrok szalony, krwawy przyjęła w swoje źrenice i wytrzymała całą jego moc, całą dzikość.

— Ty mój!... — chrapnęła, nagle porywając się ku koniowi.

Chłopak spojrzał zdziwiony. Lecz ona już była przy siodle.

— Przerzuć strzemię! — krzyknęła ostro.

Chłopiec usłuchał rozkazu. Rena od dziecka umiała jeździć po kobiecemu na męskiem siodle. Wsiadła i przywarła się do szyi konia. Pochyliła się dziko i równocześnie tak jej, jak i konia nozdrza rozwarły się zwierzęco.

W jednej chwili stała się rzecz dziwna. Ten koń poddał swój nieugięty grzbiet przeznaczeniu i stawał się przeznaczeniem...

Chłopak stajenny poskoczył do cugli.

— Jaśnie pani!... — bełkotał — jaśnie pani... on nosi!

— Puszczaj! — wydarło się z piersi Reny.

Koń przysiadł sekundę na tylnych nogach. Rena, nie przygotowana, cofnęła się w tył, lecz zaraz powróciła do dawnej pozycyi. Jakby wpiła się w kark konia. Krótkim oddechem chłostała go gorąco.

Zawirowały dokoła źdźbła słomy.

— Jaśnie pani!...

»Szaleństwo« wykręcił się kilkakrotnie i nagle pomknął w stronę dworu.

— Ostap! — krzyknął chłopiec, wpadając do stajni — poniósł! poniósł!

. . . .

Brama była otwarta.

Ku niej leciała Rena.

Lecąc, przeżyła tak całe istnienie. Powróciła prawie do przytomności i unosiła się tak w przestrzeni ku jakiemuś nieznanemu sobie celowi. Było jej lekko, doskonale. Wyzbyła się tortur, rozpaczy. Zdawało się jej, że tak od chwili samopoznania przyrosła była do tej szyi końskiej, drżącej namiętnie pod jej twarzą. I takie to było wszystko proste i jasne, że dziwiła się, dlaczego tak długo włóczyła się po świecie oszalała, pomiędzy ludźmi.

Przed nią bielał dwór, liliowa szatka Jagi

na ganku. Wydawało się jej to dalekie, niedoścignione.

— Co mnie z niemi wiąże? — myślała — jestem ponad nimi, ponad nimi!

Koń pędził przez trawnik wprost do ganku. Pod jego kopytami więdły i ginęły astry, chryzantemy, piwonie... Ziemia wylatywała tu i ówdzie. Suknia Reny szalała dokoła ciała zwierzęcia. Włosy jej rozpadły się dokoła twarzy.

Z ganku Jaga czyniła rozpaczliwe gesty. Dominik z płachtą ścierki, ukazał się w progu. Od oficynek wybiegały jakieś postacie. I nagle Rena posłyszała krzyk:

— Dziecko! dziecko!...

Było to dla niej podcięcie bata. Podniosła głowę i na skręcie trawnika dojrzała z przerażającą dokładnością postać Adzia, który biegł ku niej, rozstawiwszy szeroko rączki. Zachwycony widokiem matki na koniu, leciał wprost, ciesząc się radośnie.

— Dziecko! dziecko!...

. . . .

I oto — w sercu, w mózgu, w całej duszy Reny zawirowało, zakłębiło, zawyło potwornie. Wszystko się w niej zbudziło to, co przeszła, co przeżyła, co miała w sobie na dośmiertne katusze.

To dziecko, biegnące ku niej, uderzyło

w nią gromem i objawiło się jej, jako rdzeń jej szaleństwa, które do niej przywarło się na łańcuch lat i nękać ją miało, rozrzucając jej istnienie w krwawych, strasznych cierpieniach.

Żądza zbrodni, żądza zgładzenia tego dziecka zawyła w niej gwizdem i wrzaskiem całej kohorty szatanów. W tej sekundzie rozwinął się w niej potwór dzieciobójstwa, i te kopyta konia, szalejące na kwiatkach, już podnosiły się nad ciałkiem jej syna po to, aby zniszczyć, stratować...

. . . .

To była sekunda.

I nadeszła druga: Rena chce ocalić dziecko, ściągnąć ku sobie cielsko konia, które już wali się prawie podniesieniem kopyt na zmartwiałego z trwogi Adzia. Wspięła się ruchem pantery, opadła koniowi prawie na łeb i — wpiła mu ręce w ślepie.

Instynktownie rwie mu i szarpie oczy cienkimi, zaostrzonymi paznokciami, krew ocieka.

Koń zarżał boleśnie, wstrzymał się w skoku, spiął się na tylne nogi. Rena drze ciągle ślepie. Już nie czuje nic, wydarła gałki oczne, krew ciepła ocieka. Rena dobrała się do kości, koń przechyla się w bok, wreszcie dwukrotnie powiewa przedniemi nogami i wali się

w tył na grzbiet, przytłaczając Renę swym ciężarem. Zachrzęściały kości...

Rena żyć przestała.

A z nią jej zdrady, kłamstwa, cudzołóstwa, tajemnica jej łona, chęć dzieciobójstwa, morderczy jej poryw, samobójczy pęd...

Słowem, cała tragiczna nędza jej zbrodni...

. . . .

A może tylko nędza jej przeznaczenia...

Maryówka we wrześniu 1900.

KONIEC.